

Nasz Głos

CIVITAS
CHRISTIANA

Nr 2 (155)
luty 2010

MIESIĘCZNIK KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA „CIVITAS CHRISTIANA”

ISSN 1507-0420



**Czy Europa odnajdzie
chrześcijański krzyż?**

Zapomniany kontynent

Przez piękno do Boga

Złoczów



Złoczów – ziemia lwowska – zamek, zbudowany przez Jakuba Sobieskiego, ojca przyszłego króla, zachował się prawie w całości, dzięki temu że służył jako więzienie, katownia NKWD, później Gestapo. Otczają go wokoło mosty, oszkarpowania kamienne i baszty. Leży po stronie południowej miasta na wzgórzu. Popijarski kościół Wniebowzięcia NMP z 1731 r. oraz dawny kościół Bernardynów z 1624 r.

Zdjęcia: Jakub Czarnowski



Watykan, 2 stycznia 2010 r.

Szanowny Panie!

Jego Świątobliwość Benedykt XVI z wdzięcznością przyjął wyrazy pamięci i życzenia nadesłane z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

Zwracając się do Polaków obecnych na audyencji generalnej w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, Ojciec Święty powiedział: „Siostry i Bracia, Drodzy Polacy! Wkrótce staniemy raz jeszcze wobec tajemnicy wigilijnej nocy i Bożego Narodzenia. Wraz z Maryją i Józefem będziemy adorowali Boże Dziecię leżące w żłobie. Wam tu obecnym i Waszym Bliskim życzę serdecznie radosnego przyjęcia Bożego Syna, który przychodzi, by przemienić nas w nowego człowieka i udzielić daru zbawienia. Niech Jezus opromieni Wasze życie światłem, miłością, pokojem i nadzieją. Błogosławionych Świąt!” (23.12.2009).

Słowa te Ojciec Święty kieruje również do Pana oraz Jego Współpracowników i modli się, by Jezus opromienił wszystkich swoim światłem, obdarzył miłością, pokojem oraz nadzieją i błogosławił przez wszystkie dni roku, w który wchodzimy.

Z wyrazami szacunku
Arcybiskup Fernando Filoni
Substytut Sekretariatu Stanu

Szanowny Pan
Ziemowit Gawski
Przewodniczący Zarządu Głównego
Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”

* * *

Konferencja Episkopatu Polski

Warszawa, 11 stycznia 2010 r.

Szanowny Panie Przewodniczący!

Bardzo dziękuję za pismo z 17 grudnia ub.r. wraz z przesłanym Oświadczeniem Rady Głównej Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” na temat obrony Krzyża.

Krzyż należy czcić, przed krzyżem klękać, gdyż jest On mocą i mądrością Bożą, znakiem miłości i poświęcenia, znakiem nierozzerwalnie złączonym z naszą kulturą.

Obowiązkiem każdego chrześcijanina jest obrona Chrystusowego krzyża, przez który stało się zbawienie.

Całe Stowarzyszenie „Civitas Christiana”, jego członków i odpowiedzialnych, jego dobre wysiłki i zmagania, Bożej opiece polecam.

Józef Michalik
Metropolita Przemyski

Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski

Szanowny Pan
Ziemowit Gawski
Przewodniczący Zarządu Głównego
Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”

Spis treściTemat numeru: **Czy Europa odnajdzie chrześcijański krzyż?**

Znak, któremu sprzeciwić się będą	2
Artur Stelmasiak	
Post drogą do Boga	4
Adam Wątróbski	
Kościół	
Trzy ekumenizmy	6
Eryk Łażewski	
Zapomniany kontynent	8
Katarzyna Kasjanowicz	
Niezrozumiana świętość	10
Agnieszka Jaroszewicz	
Cena wolności	12
Piotr Stefaniak	
Spółeczeństwo	
Polska szkoła – studnia błędów	14
Anna Sutowicz	
Reforma do poprawki	16
Alicja Dołowska	
Armia pod ostrzałem	18
Petar Petrović	
Ukraińska układanka	21
Łukasz Kobeszko	
W uścisku władzy	23
Paweł Borkowski	
Kultura z ducha i dla ducha	
Przez piękno do Boga	25
Adam Wątróbski	
Echo Objawienia	27
Rozmowa z ks. prof. Jackiem Bolewskim SJ	
Bolesław Prus jako obrońca religii	29
Grzegorz Łęcicki	
Bezcenny skarbiec piśmiennictwa	31
Jerzy Biernacki	
Leonardo i Rembrandt w podróży po Polsce	33
Jarosław Kossakowski	
Tele-durniej	34
Wojciech Piotr Kwiatek	
Przegląd prasy:	45
Historia	
Polska między Niemcami a Rosją w okresie międzywojennym	36
Stanisław Gregorowicz	
Zapomniany Gułag	40
Rozmowa z prof. Dariuszem Tolczykiem	
Kalendarz historyczny:	46
Felietony	
Wektory: Zaskakujący unik Tuska	42
Zbigniew Borowik	
Ćwiczenia z wiary: Kościół z akcentem	43
Robert Hetzyg	
Czekając na koniec świata: Ogranicza nas wyobraźnia	44
Radosław Kieryłowicz	
Spotkania, konferencje	
Wspólnota budująca civitas christiana	47
Z działalności Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”	48

Sytuacja europejskiej cywilizacji przypomina scenę z „Quo vadis” Sienkiewicza, gdy uciekającemu z Rzymu św. Piotrowi ukazuje się Chrystus. Apostoł wówczas zapytał: „Quo vadis, Domine?”

Znak, któremu sprzeciwić się będą

Artur Stelmasiak

Historia dyskryminacji symboli i wartości ewangelicznych jest tak stara, jak chrześcijaństwo. Można powiedzieć, że właśnie rozpoczęła się na krzyżu, który do dzisiaj jest znakiem, któremu świat się sprzeciwia i sprzeciwić się będzie. Nie chodzi tu jednak o sam symbol religijny, ale przede wszystkim o wartości, które niesie ze sobą od 2000 lat.

Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry – odpowiedział Chrystus w znanej scenie z powieści Henryka Sienkiewicza. Te słowa sprawiły, że św. Piotr wrócił do miasta i oddał swoje życie na krzyżu... Czy Europa odnajdzie chrześcijański krzyż, na którym wyrosła?

Minarety zamiast krzyża

Ataki na krzyż, który jest najważniejszym chrześcijańskim symbolem, nie są niczym nowym. Pojawiły się dosłownie w chwilę po tym, gdy wyznawcy Chrystusa zaczęli się nim posługiwać. Już w rzymskich katakumbach bowiem odkryto malowidło przedstawiające ukrzyżowanego osła. Bohomaz ten miał ośmieszyć chrześcijan w oczach ówczesnych obywateli cesarstwa.

Krzyż na dobre wpisał się w europejskie korzenie kulturowe dopiero po edykcji mediolańskiej z 313 roku, kiedy to chrześcijaństwo z religii prześladowanej stało się wyznaniem państwowym. Od tego czasu każdy atak na krzyż był atakiem na kulturę, wartości i cywilizację ogólnoeuropejską. A chrześcijaństwo stało się siłą, która spajała, regulowała i budowała tożsamość cywilizowanego świata.

Nic więc dziwnego, że w czasach, gdy na horyzoncie pojawiło się realne zagrożenie islamem, chrześcijańscy władcy stanęli murem w obronie wspólnych wartości. Organizowano wyprawy krzyżowe i zakładano zakony rycerskie. Dziś

często przytacza się te wydarzenia historyczne tylko po to, by atakować Kościół, pokazując nadużycia i wypaczenia, jakie niesie ze sobą każda wojna. Niewielu pamięta jednak, że w wojnach, jakie toczyły się w obrębie Morza Śródziemnego, nie chodziło jedynie o religię, ale cały dorobek i przyszłość naszej cywilizacji.

Zagrożenie ze strony islamu nadal jest jednak aktualne. I to nie w postaci Talibów czy innych wojujących terrorystów, ale w postaci ich przywiązania do rodzinnych wartości. Wszystko wskazuje na to, że po prostu podbijają nas demograficznie. Widać to doskonale na przykładzie Hiszpanii, gdzie w latach 70. było zaledwie 10 tys. muzułmanów, a teraz jest ich aż 1,5 mln. Liczba ta nadal dość szybko rośnie. Wszystko wskazuje na to, że za kilkadziesiąt lat w niektórych rejonach będą mogli demokratycznie przejąć władzę. Już bowiem w 2001 roku Szejik Omar Bakri mówił, że po Konstantynopolu przyjdzie pora także na Rzym.

– Żaden muzułmanin nie ma wątpliwości, że Italia ulegnie stopniowej islamizacji, a muzułmański sztandar będzie powiewać nad kopułą św. Piotra – podkreślił Bakri w wywiadzie dla włoskiego dziennika „La Repubblica”.

Nauka wyrzuciła Boga

Średniowiecze było dla naszego kontynentu okresem, w którym wykuwała się państwowość poszczególnych narodów. Wraz z przyjęciem chrztu również Polska stała się członkiem europejskiej

rodziny. Chrześcijaństwo dało nam nie tylko wiarę w krzyż i zmartwychwstanie, ale także zaszczepiło uniwersalny system etyczny i prawny. W średniowieczu powstała duchowa jedność świata zachodniego i wykrystalizował się obraz jego uniwersalnej kultury.

Średniowiecze niesprawiedliwie postrzegane jest dziś jak okres zabobonów i ciemnoty. Jego krytycy są jednak bardzo wybiórczy i rzadko wspominają, iż „czasy ciemnoty” były złotym okresem uniwersytetów, na których obok teologii rozkwitała także filozofia oparta na spuściźnie starożytnej Grecji. To właśnie czasy owego „ciemnogrodu” dały nam podwaliny pod całą współczesną naukę, kulturę i cywilizację.

Krytyka średniowiecza, od wielu stuleci, jest nieodłącznym elementem atakowania Kościoła. „Ciemnota” tego okresu jest do tej pory ściśle łączona z „ciemnotą” wiary. A jako przełom i krok ku wyzwoleniczej nowożytności traktuje się renesansowych myślicieli. Jednocześnie większość z krytyków średniowiecza nie jest w stanie wymienić choć jednego prądu filozoficznego doby renesansu. Według najnowszych badań, ówczesni uczeni nic nie wnieśli do filozofii, a jedynie ją popsuli na rzecz pomieszania jej z gusłami i magią. Odrodzenie bezkrytycznie zachłysnęło się także kulturą pogańską. Jeden z czołowych przedstawicieli neotomizmu Étienne Gilson wykazuje, że renesans jest tylko „zepsutym średniowieczem”. Upatruje on w tej epoce początku rozwoju pomiędzy nauką a prawdziwą filozofią. Zdaniem Gilsona, to niebezpieczeństwo dostrzegał już św. Tomasz z Akwinu. Konsekwencją tego rozdziału było odarcie człowieka z jego bosko-

ści i uczynienie go „zwyczajnym” tworem natury.

Błąd ten kontynuowany był później w oświeceniu, które rozwinęło intelektualny rozłam metafizyki od filozofii, co zredukowało późniejszą myśl naukową do racjonalizmu, deizmu i w konsekwencji do materialistycznego ateizmu. Teologia – według ówczesnych myślicieli – nie miała więc żadnych naukowych podstaw. Dlatego też od końca XVII wieku panem świata nie jest już Bóg, ale człowiek. A wkrótce zamiast kościołów zaczęto zakładać loże masońskie.

Chrześcijaństwo nauczyło Europejczyków samodzielnego myślenia. Teologia zaś podkreślała, że każdy z nas ma wolną wolę. Nikt jednak nie spodziewał się, że ta naukowa wolność i myślenie bez skrupułów pozbędzie się swojej Matki – Kościoła.

Półnagie kobiety na ołtarzu

Zgubna jednak okazała się wolnomyślicielska filozofia bez Boga, o czym dość szybko przekonała się Francja podczas swojej wielkiej rewolucji. I choć 1789 rok uważa się za przełomowy moment nowoczesnej Europy, to jednak czar pryska, gdy zajrzemy za kulisy rewolucyjnych wydarzeń. Wówczas jasno widać, że fakty historyczne nie dają powodów do dumy, a jedynie obnażają krwawe wydarzenia. Do dziś niezrozumiałe jest, jak Francja może być dumna z tego, że w ramach przemian społecznych wyrżnięto ok. 100 000 jej mieszkańców. Aby wówczas stracić życie, wystarczyło być duchownym, arystokratą albo tylko „być dobrze ubranym”.

Zdobyczą francuskiej myśli oświeceniowej była m.in. akcja dewastacji kościołów. Niszczono w nich wszelkie oznaki kultu – obrazy, pomniki, rzeźby, relikwie. Większość świątyń wówczas zamknięto, a część z nich zamieniono na „świątynie rozumu”. Tak stało się na przykład z paryską katedrą Notre-Dame, gdzie odbywały się huczne uroczystości „na cześć Rozumu”, podczas których na ogłoconych ołtarzach występowały półnagie kobiety – miały być alegorią rewolucyjnych cnót. Tak więc za pomocą po-

pulistycznych haseł wolności, równości i braterstwa wyrwano dotychczasowy ład społeczny ówczesnej Francji.

Śmierć Boga

Spadkobiercami oświeceniowej myśli Woltera, Diderota, Rousseau byli pozycywiści z Augustem Comte na czele. Określił on zakres filozofii, ograniczając ją do realnie istniejących przedmiotów, o których jedynie można uzyskać wiedzę pewną i ścisłą – czyli do przedmiotów fizycznych. Jednocześnie odrzucił całą metafizykę, która nie może być przedmiotem rzetelnej wiedzy. Taka koncepcja



Czy Europa odnajdzie chrześcijański krzyż, na którym wyrosła?
Fot. Dominik Różański

filozofii i nauki zlekceważyła dociekania co do istnienia absolutu, a więc Boga. Ponieważ tego typu wiedza znajduje się poza rzetelnym doświadczeniem. Wyrzucenie z filozofii wszystkiego, co empirycznie nieweryfikowalne, spowodowało, że nauka nie zadawała sobie już pytania, skąd wziął się człowiek i dokąd zmierza. A więc i Bóg przestał być przedmiotem akademickich dociekań.

Wiemy nie od dziś, że przyroda nie znosi próżni. Skoro w filozofii nie ma już Boga, to trzeba znaleźć Mu jakies zastępstwo. I tak Karol Marks wprowadził w miejsce Boga nowy absolut: materię i społeczeństwo. Religia pozostanie

więc „opium dla ludu”, a nowym bogiem stanie się człowiek, który ma całkowitą autonomię i może się zbawić sam siebie poprzez przekształcanie świata.

Historia Europy pokazuje, że odejście od absolutu, Boga i Chrystusowego krzyża, zawsze źle się dla niej kończy. Ateistyczna filozofia Marksa posłużyła do zbudowania imperium zła w postaci komunizmu, a na relatywizmie i absolutyzacji ludzkiej siły Nietzschego (tego, który ogłosił światu śmierć Boga), III Rzesza zbudowała podwaliny ideologiczne faszyzmu. W rezultacie obie te ideologie pochłonęły dziesiątki milionów istnień ludzkich.

Quo vadis, Europa?

Obydwie totalitarne zmyślenia XX wieku, pośrednio lub bezpośrednio, walczyły także z chrześcijaństwem, które od 2000 lat niezmiennie głosi, że każdy człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga. I dlatego też jego życie ma niezbywalną, nienaruszalną wartość. Zarówno komunizm, jak i faszyzm, nie liczył się z Bogiem, a co za tym idzie – również z człowiekiem. Walka o krzyż, która toczy się obecnie w Europie, nie jest wcale walką o... jakiś tam symbol religijny. Jest obroną człowieka, gwarancją jego prawa do życia.

Bezbożna rewolucja francuska okazała się niczym innym, jak tylko „matką chrzestną” XX-wiecznych totalitaryzmów. Zarówno komunizm, jak i faszyzm były pokłosiem tego, co wykluczyło się w głowach oświeceniowych filozofów, a uwidoczniło wtedy, gdy zdobyto Bastylię. Wówczas bowiem człowiek po raz pierwszy w historii chrześcijańskiej Europy zobaczył, że wyrwony do góry nogami świat wartości nadal istnieje. I choć nie jest on ani o jotę lepszy od tego, który był wcześniej, to jednak jest rzeczywistością zaprojektowaną według ludzkiego, a nie Bożego zamysłu. Pewnie dlatego wciąż istnieje silna pokusa, by pozbyć się „chrześcijańskiego balastu”, który Ukrzyżowanego Boga stawia na pierwszym miejscu, tym samym poskramiając ludzkie ambicje do stawiania się na miejscu Boga. ■

Post prowadzi do otwarcia na Boga i uzdalnia do postawy radykalnej miłości

Post drogą do Boga

Adam Wątróbski

Czas radości ze Zmartwychwstania jak co roku poprzedza okres sześciotygodniowego przygotowania — Wielkiego Postu. Tradycyjnie można mówić o poście jako o jednej z praktyk pokutnych polegających na powstrzymaniu się od jedzenia. Jednocześnie mówimy o Wielkim Poście, mając na myśli okres czterdziestu dni poprzedzających obchody Świąt Śmierci i Zmartwychwstania Pańskiego.

Gdyby spojrzeć na sprawę historycznie, to trzeba by wyróżnić trzy źródła, z których wyłania się chrześcijańska tradycja postu: źródła pogańskie, biblijne i liturgiczne.

Już bowiem starożytni Grecy mieli zwyczaj powstrzymywania się od niektórych pokarmów. Na przykład pitagorejczycy powstrzymywali się od jedzenia bobu, wierząc, że pozwoli im to na zachowanie czystości rytualnej.

Biblijne źródła

Biblijne wskazania dotyczące postu można podzielić na dwie grupy: starotestamentalne wskazania dla starożytnego Izraela wskazujące na nieczystość pewnych pokarmów (zalecenia te pełniły podobną funkcję jak w wypadku greckich filozofów) oraz liczne obrazy pokazujące wpływ okresowego powstrzymywania się przyjemnych doznań, co pozwalało na odnowienie i pogłębienie relacji z Bogiem. Nieprzypadkowo zresztą podejmowany w współczesnym Kościele post

trwa czterdzieści dni. Potop, który Bóg zesłał na grzeszną ludzkość, modlitwa Mojżesza na górze Synaj, okres, gdy Goliat urągał Żydom, trwały właśnie czterdzieści dni. Wędrowka narodu wybranego przez pustynię rozciągnęła się w czasie na czterdzieści lat i można na tej podstawie wysnuć wnioski, że sama liczba 40 oznacza właśnie pokutę, oczyszczenie, zmaganie się i ćwiczenie się w drodze do Boga. Zresztą sam Pan Jezus, zanim rozpoczął publiczne nauczanie, wyszedłszy na pustynię, modlił się właśnie czterdzieści dni. Dlatego warto zwrócić uwagę na fakt, że chociaż wszelkie pokarmy zostały oczyszczone mocą Jego doskonałej ofiary, Kościół w całej swojej historii zalecał post jako jedną z praktyk ascetycznych.

Praktyka ta sięga samych początków chrześcijaństwa, a pierwsze wzmianki o rzeczywistości liturgicznej, którą dziś nazywamy Wielkim Postem, pochodzą od Tertuliana, natomiast jako czterdziestodniowy okres wzmożonej modlitwy i wyrzeczenia zaistniał on w rzeczywistości kościelnej na skutek decyzji podjętej przez Sobór w Nicei w 325 roku.

Gdyby z kolei spojrzeć na sprawę postu, mając na uwadze sytuację religijną ludzi współczesnych, trzeba by zwrócić uwagę na zjawisko, które można nazwać sekularyzacją postu. Feliks Koneczny wyraził kiedyś przekonanie, że cywilizacja łacińska opiera się na pięciu podstawowych filarach: prawdzie, dobru, pięknie, zdrowiu i dobrobycie. W naszym wypadku sprawa dotyczy przede wszystkim sposobu, w jaki rozumiane jest zdrowie, post dziś redukowany jest często do diety, ćwiczenia wspomagającego pielęgnację dobrej kondycji fizycznej własnego ciała. Chociaż pozornie niczym to się nie różni

od praktyki ascetycznej podejmowanej przez chrześcijan, jednak uzasadnienie podejmowanych wyrzeczeń jest z gruntu inne.

Chrześcijański sens postu

Nasuwa się tu kilka odpowiedzi. Post można rozumieć jako dopełnienie modlitwy, jako, można by rzec, modlitwę ciała.



Hieronim Bosch — „Kuszenie św. Antoniego”

Starożytni mnisi, poważnie traktujący ascezę, widzieli głęboki związek między ciałem a duszą. W Księdze Psalmów czytamy: „Ciebie szukam; Ciebie pragnie moja dusza, za Tobą tęskni moje ciało, jak ziemia zeschła, spragniona bez wody” (Ps 63,2) – dlatego właśnie zarówno na płaszczyźnie ciała, jak i duszy podejmowano trud, aby Bóg mógł dokonać w życiu chrześcijanina tego, czego chciał – oczyszczenia z grzechu i zbawienia. Chrześcijańska praktyka postu ma zatem głębokie antropologiczno-teologiczne uzasadnienie.

Post to również czas próby. Człowiek, biorąc się w karby, nakładając sobie utrudnienia, dążył do rozpoznania samego siebie. Poszczący, wystawiając ciało na próbę, stawał jakby przed lustrem, post dawał mu możliwość rozpoznania prawdziwego gruntu jego dobrego samopoczucia. Wiadomo skądinąd, że człowiek syty, jest ospały, poszczący zaś skłaniał swoje ciało do wysiłku, otwierając się jednocześnie na łaskę Bożą, która tworzyła w nim „serce czyste”, umacnia jego prawość i odnawiała „moc ducha”. Podczas zeszłorocznej liturgii Mszy św. w Środę Popielcową Benedykt XVI zwrócił się do wiernych, mówiąc: „Szczególnie trafne wydają się nam słowa z Drugiego Listu do Koryntian: »W imię Chrystusa prosimy: pojednajte się z Bogiem!« (5, 20). To wezwanie Apostoła brzmi jak dodatkowa zachęta, by poważnie potraktować wielkopostne nawoływanie do nawrócenia. Paweł w szczególny sposób doświadczył mocy łaski Bożej, łaski misterium paschalnego, która ożywia Wielki Post”.

Jednym z elementów, dziś niestety zapomnianym, jest połączona z postem praktyka jałmużny. Co prawda w tradycji kościelnej post często podejmowany był we wspólnocie modlących się przede wszystkim dlatego, że we wspólnocie łatwiej było zachować wierność podjętym wyrzeczeniom, lecz podejmowano go również po to, aby zaoszczędzone dobra spożytkować wspierając ubogich.

Duchowa głębia postu

Ale istota postu ma charakter ogólniejszy. Przecież podjęcie wyrzeczeń nie może być celem samym w sobie, lecz ma

prowadzić do otwarcia na Boga. Jednym ze sposobów wprowadzania swojej duszy w stan medytacji jest uczestnictwo w kulturze. Hieronim Bosch, ilustrując na swoim słynnym tryptyku duchowe zmagania św. Antoniego Pustelnika, dostarczył znakomitego malarskiego studium chrześcijańskiego postu, odsłaniając nie tylko płaszczyznę ascetyczną, lecz także ukazując głębię duchowego zmagania.

Otoczony przez diaboliczne postaci, bełkoczące demony, św. Antoni, choć zewnętrznie targany przez diabły (co widać na lewej części tryptyku), w głębi duszy trwa przy Chrystusie, a post stanowiący podstawową praktykę pustelnika uzdalnia go do postawy radykalnej miłości. Tryptyk Boscha obfituje w symboliczne obrazy, na głowie jednej z postaci znajduje się sowa – symbol herezji albo niskiego wzrostu starzec pomaga sobie w chodzeniu, korzystając z niemowlęcego balonika, i trzyma w ręku wiatraczek. Rekwizyty te wskazują na bezmyślność dojrzałego wiekiem człowieka, który mentalnie i duchowo pozostał na poziomie małego dziecka, niezdolny do wytrwałej modlitwy, wytrwałej wiary. Święty Antoni został przedstawiony na środkowej części tryptyku jako człowiek przygnieciony trudami, lecz oddany poszukiwaniu Boga, pragnący rzeczy najważniejszej: poświęcić się temu, co wartościowe, nieprzemijalne, znalezieniu samego Życia.

Wystawiony na najprzeróżniejsze pokusy Antoni trwa niewzruszony: nieczystość, co symbolizuje postać nagiej kobiety wysuwającej się spoza kotary odsłanianej przez ropuchę, a także obżarstwo, które Bosch zilustrował, przedstawiając przygotowany do posiłku stół obierający się na kilku nagich demonach. Perwersja otaczającego św. Antoniego grzechu, wobec którego pozostaje on niezłomny, sięga tak daleko, że na stole tym znalazły się chleb i dzban z winem, odnoszące do najświętszej rzeczywistości – Eucharystii. Brutalność polega tu na tym, że w dzbanie znalazła się świńska noga plugawiąca Najświętszą Krew Zbawiciela.

W swoich świętokradczych igraszkach demony pozostają nieposkromione, jeden z diabłów przygrywa sobie na harfie, instrumencie służącym aniołom do wychwalania samego Boga. Nie jest to jedyne odniesienie do muzyki na tym tryptyku. Jedna z postaci, uwięziona w brzuchu bezgłowej kaczkę, zdaje się śpiewać melodię jakby wprawiającą w ruch półzwierzęce postaci pływające się nieopodal niezłomnego świętego, który trwa w eschatologicznym nastawieniu; za tym, co przemijające, szuka tego, co ostateczne.

Haniebne swawole demonów dotyczą także kościoła. Do groty, różnako interpretowanej przez historyków sztuki, często jako pustelni, lecz także jako karczmę albo domu publicznego, zmierza procesja będąca parodią procesji kościelnej. Diabeł z mitrą na głowie i pastorałem w ręku prowadzi zakapturzonego diabła-mnicha obdarzonego wielkim nosem do przybytku cielesnych uciech, towarzystwa dotrzymuje im jeleń – symbol czystości duszy obmytej łaską Zbawiciela, co całemu epizodowi przedstawionemu na lewym skrzydle tryptyku nadaje tym bardziej obrzydliwej wymowy. Chociaż groźne, demoniczne stwory zdołały w końcu porwać świętego Antoniego i kusić go tłustą, bładą rybą – symbolem grzechu. On, jakby pozostający w innym wymiarze, składa ręce w nieprzerwanej modlitwie. Jego pełna heroizmu, prowadząca do zbawienia postawa, była możliwa jedynie dzięki wytrwałemu ćwiczeniu duchowemu, którego integralnym elementem był post.

Na samym początku rozważań użyłem sformułowania „czas radości ze Zmartwychwstania”. Do takiego, głębokiego, otwartego na łaskę z wysoka przeżywania może doprowadzić właśnie okres dobrze przeżytego postu, a wzorem może się tutaj okazać święty Antoni. Nie chodzi oczywiście o to, by na pustyni toczyć boje z zastępami demonicznych przeciwników, lecz o to, by poprzez refleksję, intensywniejszą modlitwę i drobne, lecz zdecydowane postanowienia, wejść w przestrzeń spotkania ze Zbawicielem. ■

Trzy ekumenizmy

Eryk Łażewski

Kolejny Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan, tradycyjnie obchodzony w Kościele w trzecim tygodniu stycznia, powinien skierować nasze myśli na zagadnienie ekumenizmu. Owa modlitwa o jedność to przecież jedna z postaci ekumenizmu duchowego polegającego, między innymi, na wspólnej modlitwie przedstawicieli różnych wyznań chrześcijańskich.

Oprócz ekumenizmu duchowego występują oczywiście również inne typy tego zjawiska. Jan Paweł II w encyklice *Ut unum sint* wskazał, że chodzi jeszcze o dialog ekumeniczny oraz współpracę praktyczną chrześcijan. Jednak to właśnie ekumenizm duchowy ma stanowić według Papieża-Polaka podstawę ruchu ekumenicznego.

Złożona definicja

Samo słowo „ekumenizm” pochodzi od greckiego wyrazu *oikumene* oznaczającego całą zamieszkaną ziemię, cały świat. Dlatego też sobory i synody Kościoła nazywa się od starożytności ekumenicznymi (ich uczestnicy pochodzą z całego znanego świata). Od początku XX wieku nazwą tą zaczęto też określać wzajemne relacje chrześcijan z możliwie wielu kościołami i wspólnotami. W Kościele katolickim o ekumenizmie zaczęło się szerzej mówić od czasu *Dekretu o ekumenizmie* Soboru Watykańskiego II. Ruch ekumeniczny określano w nim jako „działalność oraz przedsięwzięcia zmierzające do jedności chrześcijan”. Podobnie cel swojej działalności określa Światowa Rada Kościołów zrzeszająca większość wspólnot niekatolickich. W skrócie więc ekumenizm to zmierzanie ku jedności chrześcijan.

Chrześcijanie jednak różnią się między sobą, jeżeli chodzi o to, w co wierzą i jak praktykują wiarę. Ze względu na owe różnice zasadniczo przynależą do jednego z trzech głównych wyznań chrześcijańskich: katolicyzmu, prawosławia lub protestantyzmu. Należy zapytać, czy każde

z nich tak samo rozumie jedność chrześcijan.

Trudna jedność

Za pierwsze znaczące naruszenie jedności Kościoła uważa się Wielką Schizmę Wschodnią z 1054 roku, kiedy to Patriarchat w Konstantynopolu, a za nim rozmaite kościoły wschodnie zerwały więź podporządkowania papieżowi w Rzymie. Od tej chwili zaczęło kształtować się prawosławie, podzielone na szereg w pełni niezależnych od siebie kościołów. Łączy je jednak wspólna wiara oparta na Piśmie Świętym oraz Tradycji przekazanej przez Ojców Kościoła i pierwsze siedem soborów, a także szereg własnych obrządków liturgicznych wraz z Komunią św. pod dwoma postaciami i specyficzna praktyka celibatu, zakładająca bezżenność duchowieństwa zakonnego, spośród którego później wyświęceni są biskupi. Jedność chrześcijan w prawosławiu polega zatem na jedności wiary, obrządku, Komunii św. oraz realizacji celibatu, ale nie na jedności w rządzeniu czy administracji.

Drugim momentem naruszenia już uszczuplonej jedności była reformacja, zapoczątkowana w 1517 roku przez Marcina Lutra, a zakończona powstaniem protestantyzmu. Stanowią go wspólnoty całkowicie od siebie odrębne i różniące się wieloma elementami doktryny i praktyki religijnej. Tym, co je jednak łączy, jest przede wszystkim zasada „Sola Scriptura (Samo Pismo)”. Oznacza ona, że jedynym źródłem prawd wiary jest okrojona wersja Pisma Świętego (bez niektórych ksiąg),

interpretowana w sposób właściwy danej grupie czy nawet poszczególnym wierzącym. Za konsekwencje owej zasady należy uznać odrzucenie wszystkiego w katolicyzmie i prawosławiu, co nie wynika wprost z Biblii. Chodzi tu głównie o odrzucenie sześciu przyjmowanych przez katolicki Zachód i prawosławny Wschód sakramentów (z wyjątkiem chrztu) oraz idące za nim zanegowanie kierowniczej roli duchowieństwa. Zostaje ono tu sprowadzone do roli urzędników delegowanych przez wspólnotę do pewnych posług religijnych. Oczywiście, odrzuceniu podlega również kult maryjny, świętych i ich relikwii, a także niezakotwiczony w Piśmie Świętym. Jedność chrześcijan-protestantów ma zatem skromny wymiar pozytywny oparty głównie na wspólnym uznawaniu zasady „Sola Scriptura”, a także wynikającej z niej sakramentalności chrztu wyraźnie opisanej w Biblii.

Katolicki = powszechny

W przeciwieństwie do prawosławia i protestantyzmu Kościół katolicki tworzy szereg wspólnot lokalnych (kościół partykularnych), z których każdy związany jest z kościołem rzymskim. Wszystkie te kościoły, łącznie z rzymskim, stanowią Kościół powszechny, czyli katolicki. Inaczej więc niż pozostałe dwie gałęzie chrześcijaństwa, katolicyzm ostatecznie utożsamia się tylko z jedną wspólnotą. Jest ona co prawda zbudowana z wielu wspólnot, ale połączonych ze sobą wspólnotą kościelną Rzymu. Kongregacja Nauki Wiary przypomina, że biskup jest widzialnym źródłem i fundamentem jedności Kościoła partykularnego powierzonego jego posłudze duszpasterskiej. Papież jest zatem fundamentem jedności swojego kościoła, a biskupi pozostałych kościołów są podstawą jedności kościołów party-

kularnych. Jeżeli biskup Rzymu stanowi o jedności powierzonej mu wspólnoty lokalnej, łączność zaś z nią powoduje jedność katolicką wszystkich innych wspólnot, należy wnioskować, że jedność zapewniana kościołowi rzymskiemu przez jej zwierzchnika rozciąga się na wszystkie inne kościoły partykularne, łącząc je w jeden Kościół katolicki. W ujęciu katolickim podstawową jednością nie jest jedność liturgiczno-doktrynalna ani jedność źródeł chrześcijaństwa lub też jedność w negacji (jak w protestantyzmie).

Każde z trzech głównych wyznań chrześcijańskich inaczej rozumie jedność chrześcijan. Skoro zaś ekumenizm to dążenie do jedności chrześcijan jako do

Soboru Florenckiego (XV wiek). Również w okresie nowożytnym nie brakowało prób przywrócenia ciągle nadszarpywanej jedności chrześcijan. Sobór Trydencki zaprosił przedstawicieli protestantów na swoje obrady, aby dojść z nimi do porozumienia. Gdy jednak goście najpierw zażądali uznania wyższości soboru nad papieżem, a następnie przyjęcia przez ojców soborowych protestanckiego wyznania wiary, czyli faktycznie przejścia całego katolicyzmu na protestantyzm, próby rozmów zakończyły się fiaskiem. Także w czasach już nam bliskich pojawiały się wezwania do powrotu do jedności katolickiej. Pius XI w encyklice *Mortalium Animos* z 1928 roku zwrócił się do wszystkich

im wejście do katolickiej jedności z sobą i licznymi kościołami lokalnymi.

Za początek ekumenizmu protestanckiego można uznać rok 1878, kiedy w Londynie zwołano I Międzynarodową Konferencję Misyjną. Miała ona na celu likwidację obecnej wśród protestanckich wspólnot działających w koloniach walki, która utrudniała działalność chrystianizacyjną. Po I wojnie światowej dążenia te przeniosły się do Europy i Ameryki Północnej, gdzie powołano różne stowarzyszenia ekumeniczne. Efektem protestanckiego ekumenizmu stała się dość powszechna obecnie wzajemna akceptacja odmienności doktrynalnych i obrzędowych wspólnot protestanckich. Uznają one prawo każdej z nich do ustalania własnych reguł wiary i życia. Domagają się też uznawania owego prawa przez katolików i prawosławnych, których kościoły traktuje się, co najwyżej, tak samo jak grupy protestanckie. Należy jeszcze dodać, że protestanci współpracują ze sobą na wielu polach aktywności społecznej (na przykład w działalności charytatywnej). Dla chrześcijan prawosławnych jedność Kościoła oznacza jedność w wierze, liturgii i Komunii św. Aby ją osiągnąć, konieczne są jednak wewnątrzchrześcijańskie ustalenia, czyli dialog teologiczny. Uczestnictwo w liturgii jest już znakiem jedności wiary, a dialog je poprzedzający musi dotyczyć prawd wiary. Jest to tym bardziej konieczne, że według niektórych radykalnych przedstawicieli prawosławia, w wyniku rozłamu w 1054 roku to właśnie Kościół katolicki stał się wspólnotą niepełną i odszedł od korzeni apostołskich. Ekumenizm w ujęciu prawosławnym to stały dialog doktrynalny, rozumiany też jako świadczenie o posiadanej Prawdzie, którą inni powinni przyjąć.

Zarysowane wyżej rozumienia jedności chrześcijan oraz wynikające z nich rozumienia ekumenizmu skłaniają do zastanowienia, czy cele Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan są takie same dla wszystkich jego uczestników? Czy w związku z tym w ogóle cele osób zaangażowanych ekumenicznie w różnych kościołach są choć zbliżone? Od odpowiedzi na owe pytania zależą sukces lub klęska ekumenizmu międzywyznaniowego. ■



Nabożeństwo ekumeniczne podczas Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan | Fot. Artur Stelmasiak

celu, trzeba wnioskować, że przy różnym ujmowaniu tego celu różnice występują także w ekumenizmie właściwym danemu wyznaniu.

Jeden czy wiele ekumenizmów?

Najstarszym z ekumenizmów jest oczywiście ten katolicki. W XIII wieku II Sobór Lyonński podjął wysiłek przywrócenia katolickiej jedności chrześcijan. W odpowiedzi bizantyjski cesarz Michał VIII Paleolog uznał prymat biskupa Rzymu oraz katolickie rozumienie pochodzenia Ducha Świętego. Z uwagi na szybkie wycofanie się prawosławnych z tych ustaleń, zostały one na nowo podjęte w trakcie

chrześcijan odłączonych, aby zbliżyli się do Stolicy Apostolskiej i oddali się w opiekę Jego urzędu nauczycielskiego i Jego kierownictwa. Pius XII w encyklice *Mystici Corporis Christi* zapraszał niekatolików do wejścia w jedność katolicką, czyli do zjednoczenia z nim jako biskupem Rzymu. Paweł VI z kolei, realizując zalecenia soborowego *Dekretu o ekumenizmie*, pisał, że Kościół katolicki ma realizować jedność w prawdzie i świadczyć wobec chrześcijan niemających pełnej z nim łączności o tej pełni Objawienia, której depozyt przechowuje. Już zupełnie nam współcześnie Benedykt XVI, odpowiadając na prośby tradycyjnych anglikanów, umożliwia

Kościół na Czarnym Łądzie musi być głosem tych, którzy nie mają głosu, rzecznikiem ubogich i głodujących

Zapomniany kontynent

Katarzyna Kasjanowicz

Kiedy mówimy o bogactwach Czarnego Łądu, mamy na myśli przede wszystkim liczne surowce naturalne. Dlaczego większość z nas wciąż nie zauważa wielkiego potencjału kulturowego i duchowego tego kontynentu?

Afryka, ze swoimi 950 milionami ludzi, jest drugim pod względem wielkości kontynentem na kuli ziemskiej i najbiedniejszym. Na Czarnym Łądzie nie znajdziemy krajów wysoko rozwiniętych gospodarczo. Państw o słabym rozwoju, gdzie główną gałąź gospodarki tworzy mało dochodowe rolnictwo, jest aż 44, a mieszka w nich większość ludności Afryki. Problemy tego wielkiego kontynentu to synteza najpoważniejszych dramatów dotykających świat XXI wieku: liczne choroby, powszechne ubóstwo, konflikty zbrojne, niedobór wody pitnej i oczywiście głód.

W imieniu najuboższych

Ale ubóstwo materialne nie oznacza ubóstwa duchowego, a to, że dziś jedne kraje pozostają w ekonomicznym tyle za innymi państwami, nie znaczy, że można zaniechać działań pomocowych i skoncentrować się wyłącznie na obecnych partnerach gospodarczych. Ta sytuacja może ulec zmianie, ale tylko z pomocą reszty świata. W imieniu najbiedniejszego, najbardziej zapomnianego kontynentu, przemówił pod koniec ubiegłego roku Kościół, zwołując trzytygodniowe obrady II Zgromadzenia Specjalnego Synodu Biskupów dla Afryki, w których wzięło udział 239 ojców synodalnych. Wydarzenie śledziło tysiące wiernych, którym los słabszych i uboższych braci nie jest obojętny. Papież Benedykt XVI przypomniał, że Kościół jest „Rodziną Boga” i przestrzegł, że nie może w niej dochodzić do podziałów według kryteriów etnicznych, językowych czy kulturowych. Obrady synodu toczyły się pod hasłem „Kościół w Afryce w służbie pojednania, sprawiedliwości i pokoju”.

Ważnych tematów było znacznie więcej, jak chociażby te dotyczące stanu zdrowia ludności czy sytuacji wykluczonych. Kościół w Afryce jest jedną z głównych instytucji walczących z epidemią AIDS oraz niosących pomoc chorym.

Zaledwie co trzecia osoba zarażona wirusem HIV i chora na AIDS otrzymuje należną opiekę, ponieważ leczenie nadal nie jest dostępne dla wszystkich. Sytuację

„Kościół musi być głosem tych, którzy nie mają głosu, prawdziwym rzecznikiem ubogich. Ma też gromadzić słowem prawdy i miłości wszystkie rozproszone dzieci Boże” – powiedział arcybiskup Kigali na zebraniu regionalnym do księży i braci palotynów w 1997 roku. To wezwanie, zarówno po bratobójczej wojnie w Rwandzie, jak i dzisiaj, jest tak samo aktualne.

Wspólne dziedzictwo

Europejczyku, ile razy w ciągu roku pomyślałeś o Afryce? Załóż się, że najwyżej kilka i to prawdopodobnie dlatego, że obejrzałeś w telewizji wstrząsający reportaż,



Kościół pomaga leczyć rany, które pozostawił w afrykańskiej duszy europejski kolonializm | Fot. Archiwum

pogarsza ubóstwo i głód, co skłania wiele osób do traktowania usług seksualnych jako sposobu zdobywania pieniędzy na doraźne przetrwanie. Ponadto wciąż wzrasta liczba sierot, których rodzice zmarli na AIDS, oraz dzieci zarażonych wirusem HIV. Dramat pogarsza specyfika afrykańskich kultur, w których takie osoby są silnie napiętnowane społecznie. Podczas ubiegłorocznego synodu najsilniej chyba zabrzmiał apel w obronie najsłabszych – chorych, niepełnosprawnych, kobiet i dzieci.

albo twoja parafia robiła zbiórkę darów dla krajów Trzeciego Świata. Problem w tym, że tematy, jakie zazwyczaj interesują widzów rozpartych w wygodnych fotelach przed szklanym ekranem, to klęski żywiołowe i wojny. Równie dramatyczna, choć znacznie mniej spektakularna codzienność mieszkańców odległego kontynentu mało kogo obchodzi. I właśnie tylko jakiś większy konflikt zbrojny może paradoksalnie być dla Afryki szansą zwrócenia na siebie uwagi.

Według naszych standardów ubogi jest właściciel kawalerki na rencie, ale w Afryce o takich luksusach nikt nawet nie śmie myśleć. W Europie niezadowoleni rolnicy w akcie protestu wylewają mleko na pola – w większości krajów Czarnego Łądu koza traktowana jest jak „żywicielka” rodziny i nikomu nie przysłoby do głowy zmarnować choćby kropli białego, życiodajnego płynu. Nie mamy świadomości, że w tych krajach Afryki, których rolnictwo jest uzależnione od sezonowych opadów, do 2020 roku plony mogą zmaleć o 50%. Na pozór tyle nas dzieli...

A jednak, choć to właśnie w Europie mieszka prawie jedna czwarta wszystkich katolików – ich liczba wzrosła zaledwie o 1 procent. Natomiast w Afryce liczba ochrzczonych zwiększyła się o 22 procent. Ponadto na statystycznego księdza z Czarnego Łądu przypada dwa razy więcej wiernych niż w Europie. Również w Afryce najdynamiczniej rozwija się Kościół katolicki. Zatem czy istotnie nie mamy ze sobą nic wspólnego?

Papież Benedykt XVI przypomniał, że kontynent afrykański to „ziemia, która przyjęła Zbawiciela świata, kiedy jako dziecko musiał uchodzić wraz z Józefem i Maryją do Egiptu, by ocalić życie przed prześladowaniami króla Heroda”.

Wołanie o pokój

Europejski kolonializm pozostawił w afrykańskiej duszy głębokie rany. Oprócz wciąż żywego kompleksu cywilizacyjnej i kulturowej niższości wobec białej rasy czy rabunkowej eksploatacji zasobów naturalnych w wielu państwach Czarnego Łądu najbardziej brzemiennym w skutki okazało się łączenie plemion, niemających tego samego dziedzictwa patriarchalnego i niepowołujących się na tę samą symbolikę władzy. Tak powstały kolonie o dużych odrębnościach kulturowych, które nie scałiły się w jednorodny twór, mimo że znalazły się w granicach tych samych jednostek terytorialnych. W całej Afryce nie ma prawdopodobnie jednego kraju, o którym można by powiedzieć, że jest narodem. Wrogość między walczącymi niegdyś ludami nadal zbiera swoje żniwo podczas wybuchających co chwila potyczek plemien-

nych, przerażających się niejednokrotnie w większe konflikty zbrojne. Ten najbardziej nagłośniony przez media to krwawa wojna domowa w Rwandzie w połowie lat 90. ubiegłego wieku, która w krótkim czasie pozbawiła życia około miliona ludzi.

Oczywiście rywalizacje plemienne, walka o władzę, ziemię czy wodę to stały element historii Afryki. W ciągu tysięcy lat zmieniły się tylko narzędzia – tradycyjne dzidy zostały zastąpione łatwo dostępną bronią maszynową. Dziś w wojnach bierze udział coraz więcej osób, w tym także dzieci.

Dyskusje o konfliktach zbrojnych stanowią dużą część ubiegłorocznych rozważań ojców synodalnych. Potępili oni nielegalny handel bronią, zaapelowali o ograniczenie jej produkcji i wyeliminowanie broni nuklearnej, biologicznej, min przeciwpiechotnych oraz wszelkiego typu broni masowego rażenia.

Synod opowiedział się za poszerzeniem dialogu z muzułmanami oraz wyznawcami tradycyjnych religii afrykańskich. Zdecydowanie przeciwstawił się fanatyzmowi religijnemu, wymieszanemu z interesami politycznymi i gospodarczymi, co papież Benedykt XVI określił mianem „jednego z wirusów zagrażających Afryce”. Według ojców synodalnych dobrze ukierunkowana gorliwość religijna prowadzi do dobra, pokoju i pojednania, a dialog między religiami stanowi integralną część głoszenia Ewangelii.

I chyba tak właśnie należy myśleć o wprowadzeniu pojednania i pokoju na Czarnym Łądzie, jako o wspólnym wysiłku każdego chrześcijanina i każdego muzułmanina.

Kierunek: Pojednanie i działanie

Minęło 15 lat od pamiętnego ludobójstwa w Rwandzie. Liczbę Hutu, którzy wzięli udział w masakrach, ocenia się na blisko milion, ale w Rwandzie nie ma dość prawników mogących osądzić tak wielu morderców, dlatego uwaga Międzynarodowego Trybunału Karnego koncentruje się przede wszystkim na tych, którzy podejmowali decyzje. Niedawno uwolniono pierwsze grupy zabójców z kilku więzień w kraju. Ci, którzy stracili swoich bliskich, i mordercy znów zamieszkają obok siebie.

Siostra Genevieve Uwamariya, należąca do grupy Bożego Miłosierdzia, w trakcie spotkania katechizacyjnego, powiedziała: „Jeśli jesteś ofiarą przebaczenia, jeśli dokonałeś zbrodni – proszę o przebaczenie”. Wtedy z grupy więźniów wyłonił się dawny sąsiad zakonnicy i wyznał, że zamordował jej ojca; opisał też, w jaki sposób zginęła jej rodzina. W odpowiedzi siostra Genevieve podeszła do niego i, obejmując go, powiedziała: „Byłeś i na zawsze pozostaniesz moim bratem”. „Kiedy wypowiedziałam te słowa, poczułam, jak ogromny ciężar spadł mi z ramion” – wyznała zakonnica w trakcie spotkania synodalnego. Od tamtego dnia siostra Genevieve działa w Rwandzie na rzecz pojednania zbrodniarzy z rodzinami ofiar. Projekt ten nie opiera się jednak tylko na słownych deklaracjach. Więźniowie zbudowali osiedle dla wdów i sierot, które z ich winy straciły najbliższych.

Podobnie wymownych świadectw pokazujących, jak ogromną misję do spełnienia ma Kościół w Afryce, było wiele. Potwierdziły one synodalne hasło, że bez pojednania pokój nie jest możliwy.

Równie cenny i ponadczasowy dokument stanowi świadectwo Immaculee Ilibagizy, zawarte w książce *Ocalona, aby mówić*. Chciałoby się dodać, ocalona również po to, by pokazać, że nawet z najgorszego cierpienia można wyjść nie tylko bez duchowego uszczerbku, ale też z mocą kruszącą poczucie największej straty i chęć zemsty na oprawcach.

Od takich ludzi, jak siostra Genevieve Uwamariya i Immaculee Ilibagiza, każdy z nas może uczyć się doświadczania autentyczności wiary w codziennych dramatach ludzkiego życia i budowania w swoich sercach prawdziwego dobra. Bo Afryka jest kontynentem szans, także dla Kościoła, który coraz częściej wskazuje na konieczność poszanowania różnorodności etnicznej i dążenia do jedności w różnorodności. Afryka jawi się w kryzysie wiary i bezmyślnej konsumpcji jako pulsujące źródło nadziei, ale bez pomocy świata, inwestycji w edukację młodzieży i nowe technologie może sobie nie poradzić. Pomoc nie tylko materialna, ale także ta polegająca na zmianie myślenia i działania wobec słabszych jest zadaniem dla każdego chrześcijanina. ■

Świętą Różę i świętego Marcina łączy miłość do Boga i ludzi, ale też wspólne jest im niezrozumienie w najbliższym otoczeniu

Niezrozumiana świętość

Agnieszka Jaroszewicz

Świętość nie zaczyna się aktem kanonizacji. Zaczyna się w sercu Boga i sercu człowieka wielkim spotkaniem miłości i realizacją planu zbawienia. Jeżeli przeceniamy znaczenie samych tylko procedur, to zdradzamy powołanie własne i całego Kościoła.

Kościół nie ogłasza ludzi świętymi dla sprzedaży kolorowych obrazków i dodawania imion do litanii. Czyni to dla ukazania całego bogactwa odpowiedzi na powołanie do świętości. Jeżeli skupiamy się na rozgłaszaniu kultu i dumie z „posiadania” nowego świętego – zdradzamy świętość.

Tuż za wzniosłą i piękną katedrą w Limie o imponującej architekturze znajduje się kościół św. Dominika, połączony klasztorem dominikanów z XVII wieku, a dalej szkołą imienia św. Tomasza z Akwinu. Ale i w tym uroczym miejscu by mnie nie było, gdyby nie cel mojej wizyty – boczny ołtarz w prawej nawie kościoła, w którym znajdują się relikwie dwojga największych świętych peruwiańskich: św. Różę z Limy i św. Marcina z Porres, obranych głównymi patronami kraju.

Ona – kobieta wyjątkowej urody, córka rodziny „czystej” krwi, on – Mula, zrodzony z obywatela hiszpańskiego i córki afrykańskich niewolników. Sąsiedzi, ludzie jednego ducha, a wskutek podziałów społecznych z konieczności oddaleni od siebie. Połączyła ich miłość do Boga i ludzi. I świętość. Doczekali się wspólnego ołtarza i kultu jednakowo głęboko zakorzenionego w kulturze i świadomości peruwiańskiej. A jednak... Największa zdrada świętości to jej niezrozumienie.

Z niezrozumieniem spotyka się każdy święty już w swoim najbliższym otoczeniu. Okazuje się, że nawet w bardzo pobojnych środowiskach radykalizm pójścia

za Chrystusem jest powodem pomówień i krytyki. Święta Róża, a właściwie Isabel, bo takie imię otrzymała na chrzcie świętym, przez swoją mamę była zarazem ukochana i odrzucana. To właśnie matka, ujrawszy niezwykłą piękność dziewczynki,



Święta Róża z Limy | Fot. Archiwum

czynki, nazwała ją Różą. Imię to nadał jej później podczas bierzmowania biskup limeński, Toribio de Mogrovejo, notabene także jeden z największych świętych peruwiańskich, który jednocześnie prowadził w wierze tę młodą duszę rozkochaną w Bogu. Pewnego dnia w przypływie czułości matka ofiarowała dziewczynie wianek z róż. Ta nie protestowała, lecz dopilnowała, żeby ciernie różane na dłużej

raniły jej skronie. Szybko odkryła w sobie ducha ascezy, lecz przede wszystkim służby. Oddała się służbie chorym, w sercu już dawno oddając się na własność boskiemu Oblubieńcowi. I tu znów rozeszły się drogi jej i jej rodziców. Mimo ubóstwa planowali dla pięknej córki dobre zamążpójście i nie chcieli zrozumieć decyzji Róży. Kilka lat trwało to męczące zawieszenie między pragnieniem serca a posłuszeństwem rodzicom, którego nigdy nie uchyliła mimo wielu konfliktów i obstawianiu przy pewności swojego powołania. Złożyła prywatne śluby czystości i obok drobnych prac gospodarskich, którymi pomagała w utrzymaniu domu, oddała się służbie ubogim i chorym. Szczególnie upodobała sobie tych zapomnianych i budzących odrazę. Pewnego dnia, gdy wróciła do domu, jej mama szybko wyczuła nieprzyjemny zapach, który przyniosła od „swoich” chorych i nie omieszkała opatrzyć tego spostrzeżenia wyjątkowo złośliwym komentarzem. Róża zasmuciła się, lecz jedynymi słowami, którymi odpowiedziała, były: „Ja w tych ludziach służę Chrystusowi i to jest Jego zapach, więc go ukochałam”.

Heroizm miłości jest skandalem. Święty Marcin z Porres przekonał się o tym nawet w klasztorze. Najpierw jednak musiał zmierzyć się z odrzuceniem, „nieufnością” związaną z jego kolorem skóry. W zasadzie od dzieciństwa napotykał na same problemy, począwszy od metryki urodzenia, na której widniało „ojciec nieznan”. Obywatela kraju konkwistadorów dużo kosztowało uznanie syna – Mula. Marcin wzrastał w przekonaniu o własnej „niższości”, ale jednocześnie zdobywał doświadczenie i szybko pojmował wszystko, czego się uczył. Zdobył zawód golarza i bogatą wiedzę farmaceutyczną. Jego pragnieniem było

wstąpić do konwentu dominikanów, lecz najpierw, ze względu właśnie na pochodzenie, przez dziewięć lat przebywał przy klasztorze jako chłopiec do posług. Do tej pory mówi się o nim „święty od miotły” i z takim właśnie atrybutem, obok glinianego naczynia na zioła, krzyża czy różańca, jest przedstawiany w ikonografii. Nie mógł też zostać kapłanem.

Nadszedł jednak upragniony moment, gdy Marcin został dopuszczony do złożenia ślubów zakonnych i został włączony do wspólnoty braci. Od tego momentu zaczęły się dziać wielkie rzeczy zarówno w życiu duchowym pokornego braciszka, jak i w życiu całej społeczności klasztornej, a nawet i poza murami konwentu. Marcin służył jako pielęgniarz i ogrodnik. Udawał się do chorych, a w zanadrzu zawsze miał zioła na wszelkie schorzenia, wprost z klasztornej ogrodu. Nie odwracał się od nikogo potrzebującego. Do legendy przeszło, jak zbierał chorych z ulic, a kiedy brakowało miejsca, lokował ich we własnym łóżku. Bracia krzywym okiem patrzyli na jego poczynania, mówiąc: „Jak tak dalej pójdzie, gotów przemienić klasztor w szpital”.

Na szczęście nie wszyscy byli przeciwni. Choćby jednak tak było, Bóg miał swoje sposoby, by nic ani nikt nie przeszkodził wierzniemu służyć w pełnieniu czynów miłosierdzia. Zamknięta brama nie stanowiła problemu. Marcin, pytany o sposób dostawiania się do klasztoru, odpowiadał: „Już ja mam swoje sposoby”. Lecz cóż może zdziałać jeden człowiek, gdy potrzeb jest tak wiele? Czy się rozdzieli? Owszem, tak. Widywano go w dwu miejscach w tym samym czasie, podobnie jak widywano go nieco nad ziemią, zatopionego w modlitwie, o odmienionym obliczu i całkiem nieobecny. W tych momentach nie istniał świat, nieważni byli przedstawiciele władz miasta, a i sam wicekról musiał cierpliwie czekać przed drzwiami do celi świętego od miotły, aż ten powróci ze stanu

ekstazy. Zgadza się, nawet wielcy odwiedzali go, pytając o radę, prosząc o pomoc. I nic dziwnego, skoro sława o jego cudach i świętości lotem błyskawicy rozniosła się po Limie. Marcin uzdrowiał chorych, czasem sama jego obecność sprawiała, że do zbolałych serc i ciał wracał pokój i ukojenie. Sam święty mawiał: „Ja leczę, Bóg uzdrowia”. W swojej pokorze nie pro-



Święty Marcin z Porres | Fot. Archiwum

testował, gdy biskup Limy zabronił mu czynienia cudów, obawiając się ogromnego rozgłosu, a niekoniecznie pogłębienia wiary w ludzi. I zdarzyło się podobno, że przechodząc ulicą, zobaczył człowieka spadającego z rusztowania. Miał wówczas wyciągnąć rękę i powiedzieć: „Poczekaj”, na co spadający zawisł w powietrzu, a Marcin cierpliwie wytłumaczył: „Muszę iść do biskupa i zapytać, czy mogę”. Pewnego razu ciężko zachorował sam biskup i poprosił, żeby braciszek go odwiedził. Marcin wszedł i wyraził szczere zdumienie tym, że „Jego Ekscelencja chce się widzieć z biednym Mulatem”. Ale właśnie tak było.

Świętość tego człowieka sprawiła, że przekraczał wszelkie granice, zarówno społeczne, jak i obyczajowe, fizyczne, biologiczne. Różne legendy-anegdoty opowiadają pobożni Peruwiańczycy. Dzieci w pierwszej klasie szkoły podstawowej czytają, jak to św. Marcin sprawił, że z jednej miski jedli kot, pies i mysz. Jeszcze inni mówią, że zadziwiało, kiedy buszujące po spizarni myszy posłusznie szły za braciszkiem do ogrodu. Możemy wierzyć lub nie we wszystkie cuda, których dokonywał św. Marcin. Najważniejsze jest dostrzeżenie sensu tych przekazów. Człowiek, zwykły człowiek, w dodatku stojący nisko w hierarchii społecznej, który z Bogiem dokonuje rzeczy burzących porządek ustalany przez ludzi czy prawa przyrody. Pokorny brat, obdarzony łagodnością i ciepłym humorem, dla którego nie istnieją granice, aby czynić dobro. Mogło zachwycać, mogło szokować. Świętość ukazuje zupełnie inny porządek rzeczy, ustala właściwą hierarchię wartości, pod dyktando Najwyższego. Jednak okazuje się, że właśnie istota rzeczy jest nie do przyjęcia, że jednak zasadne jest mówienie o zdradzie świętości, nawet tej postawionej za wzór społeczeństwom.

Zastanawia mnie, jakich świętych zdradzamy my – Polacy, my – Europejczycy. Jak daleko odeszliśmy od dialogu kultur, o który walczyli misjonarze Cyryl i Metody, od benedyktyńskiego porządku pracy i modlitwy oraz radykalizmu w konfrontacji ze złem, co ukazał nam założyciel klasztoru na Monte Cassino? Jak rozwiązujemy napięcie między radykalizmem a kompromisem, pamiętając o św. Stanisławie, albo ile jest w nas człowieczeństwa i umiłowania Kościoła na miarę Jana Pawła II? Czy rozumiemy świętość, czy też ją zdradzamy, ignorujemy? Wówczas ominęłoby nas to, co nieprzemijalne. A szkoda by było. W niebie granice i podziały są bezużyteczne. ■

Świadek zakonnicy za żelaznej kurtyny

Cena wolności

Piotr Stefaniak

W niewielkim miasteczku Göd, leżącym na prawym brzegu Dunaju na północ od Budapesztu, przy ulicy Madách znajduje się położone w obszernym, pięknym i dobrze utrzymanym ogrodzie, wśród jabłoni i śliw, Monasterium Rosarium. Żyją w nim dwie mniszki dominikańskie: Ilona Szegedy i Dominika Nagybelteki. Są one jedynymi dominikankami klauzurowymi na Węgrzech. Ich losy mocno wpisały się w dzieje węgierskiego Kościoła katolickiego, tak bardzo doświadczonego zniewoleniem i bezpardonową walką, jaką wyznawcom Chrystusa wydały władze totalitarnego reżimu komunistycznego.

Obecnie 95-letnia siostra Ilona, srebrna staruszka o dobrych oczach podpierająca się dwoma laseczkami, jest żywym świadectwem wiernego trwania przy Jezusie Oblubieńcu, mimo niebawomych trudności i prześladowań; bo przez 40 lat musiała w ukryciu i konspiracji wieść życie mniszki klauzurowej i w związku z tym być w każdej chwili gotową na świadczenie o swojej wierze w obliczu grożącego więzienia i licznych prześladowań.

Powołanie w trudnych warunkach

Urodzona 10 sierpnia 1914 roku w Szombathely panna Szegedy w 1937 roku wstąpiła jako czwarta Węgierka do klauzurowego klasztoru ss. dominikanek w Luksemburgu – Limpertsbergu. Tamtejsza międzynarodowa wspólnota chętnie podjęła się projektu przeszczerpienia zakonu na Węgry, gdzie dominikanki miały swoje klasztory do czasu najazdu tureckiego w XVI w. 5 sierpnia 1939 roku siostra Ilona złożyła swoje pierwsze śluby zakonne. Niebawem jednak (zimą 1941 r.) niemieccy naziści zlikwidowali klasztor dominikanek w Luksemburgu, więc mniszki musiały się rozproszyć. Wówczas trzy węgierskie siostry powróciły do ojczyzny i zatrzymały się w klasztorze dominikanek św. Małgorzaty w Koszycach. Przebywały w nim do 1944 roku, kiedy Rosjanie zajęli miasto. Koszyce zostały włączone do Czechosłowacji, więc rozpoczęło się usuwanie Węgrów z miasta.

Jedenaście węgierskich dominikanek musiało wyjechać do Hódmezovásárhely. Wtedy mniszki (Ilona, Antonia i Bartolomea) pojechały do Budapesztu, gdzie podjęły pracę w gospodarstwie dominikanów w Peszcie.

dominikański jako fundacja klasztoru luksemburskiego. Trzy mniszki stały się załącznikiem nowego klasztoru klauzurowego, który za patronkę otrzymał niedawno uznaną za świętą Małgorzatę Węgierską. Mniszki zamieszkały w niewielkim domu przy ulicy Madách 3 i niebawem otrzymały ze strony Kościoła prawne zatwierdzenie. Przeoryszą została siostra Ilona Szegedy, mimo że nie miała jeszcze ślubów wieczystych. Także inne mniszki nie miały ślubów, więc co roku składały profesje proste. Równocześnie w kościołach na terenie Węgier został odczytany komunikat, że



Siostry Ilona i Dominika zamieszkały w domu zakonnym w Göd

Fot. Archiwum

W 1948 roku siostry rozpoczęły realizację fundacji w Szegedzie. Tam wdowa, Michałowa Tohti przekazała mniszkom swój dom z zastrzeżeniem, że może w nim przebywać aż do śmierci. W związku z tym, że mniszki miały gdzie mieszkać, ich wspólnota została prawnie uznana przez Kościół i zakon

powstaje kontemplacyjny klasztor Zakonu Kaznodziejskiego i można do niego wstępować. Informacja ta dotyczyła zwłaszcza członkiń zgromadzeń apostołskich, które pragnęłyby życia w ścisłej klauzurze.

Przez dwa lata mniszki przystosowywały się do życia klauzurowego i wypra-

cowywały własne rozwiązania w prowizorycznym wciąż klasztorze. W połowie 1950 roku ich wspólnota składała się z pięciu mniszek i jednej postulantki, Olgi. Wspólnota rozwijała się pomyślnie, mimo że sytuacja polityczna na Węgrzech się skomplikowała.

Czas prześladowań

Władze komunistyczne przystąpiły do walki z Kościołem: w 1949 roku książę-prymas Józef Mindszenty z wyrokiem dożywocia znalazł się w więzieniu, następnie upaństwowiono całe szkolnictwo wyznaniowe, przejęto dobra kościelne i brutalnie skasowano 63 zakony (23 męskie i 40 żeńskich). Także kasata dotknęła dominikanki kontemplacyjne. Wprawdzie wysłani przez władze komunistyczni policjanci nie znaleźli domu mniszek, gdyż był on niewielkim budynkiem, a oni szukali zakonnic w okazałej kamienicy, ale wspólnota się rozproszyła. Rano dwie mniszki udały się do seminarium duchownego, gdzie je przyjęto z wielkim zdziwieniem, że nie zostały aresztowane w nocy, i oświadczono im, że muszą się szybko przebrać w świeckie szaty i wrócić do klasztoru.

Biskup Csanad, Andrzej Hamvas, poinformował przeoryszę, która przybyła z towarzyszką do seminarium, żeby się szybko spakowały i o godzinie szóstej rano 9 czerwca 1950 roku opuściły klasztor. Mniszki wykonały polecenie, a pośpiech wynikał z wielkiego zagrożenia aresztowania siostr przez komunistyczną bezpiekę. Przeorysza Ilona Szegedy wszystkie pieniądze klasztorne podzieliła między siostry, które miały udać się każda w swoją stronę, bez informowania, dokąd wyjeżdżają, z uwagi na bezpieczeństwo innych zakonnic.

Siostry prawdopodobnie wyjechały do rodzin lub znajomych. Przeorysza przyjechała do swojego domu rodzinnego w Szombathely, jednak jej wystraszona matka nie chciała jej przyjąć, bojąc się trzymać pod swoim dachem zakonnic.

Ilona Szegedy znalazła więc schronienie w Budapeszcie. Zamieszkała w XVI dzielnicy Pesztu-Mathyasföld u świeckiej tercjarki dominikańskiej Andrzejowej Sthrilinger. Wraz z nią za jakiś czas kupiła dom przy ulicy Csömöri 101. Zaraz po przyjeździe do stolicy podjęła pracę w męskim gimnazjum jako pomoc kuchenna. Następnie pracowała w kilku różnych miejscach.

Lody stopniowo topnieją

Dopiero po 1956 roku państwowa polityka wobec katolików zelżała i zakonnikom także było nieco łatwiej, więc siostra



Siostra Ilona | Fot. Archiwum

Ilona została zatrudniona w powołanej dla byłych zakonników spółdzielni pracy *Solidarność*. Tam przez dziesięć lat szyła rękawice. W 1970 roku przeszła na emeryturę i wówczas otrzymała paszport (wcześniej jej go odmawiano), by mogła wyjechać do klasztoru dominikank w Luksemburgu. W tym klasztorze zamieszkanym przez wielonarodową wspólnotę przebywała pół roku. W 1970

roku na ręce tamtejszej przeoryszy Pii Habaru złożyła swoje śluby wieczyste. Mimo że luksemburskie mniszki chciały, aby siostra Ilona Szegedy pozostała w ich wspólnocie, ona zdecydowała się powrócić na Węgry.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych siostry spotykały się okazjonalnie, przy okazji urodzin i imienin. Wtedy też mogły odczuwać więź zakonną między sobą. Równocześnie ojciec Józef Szigeti organizował zakonspirowane rekolekcje i spotkania siostr ze zgromadzenia dominikank św. Małgorzaty. Zaproszenia otrzymywała też siostra Ilona, która na nich się pojawiała.

Te spotkania były jedyną formą wspólnotowego przebywania zakonspirowanych członków Zakonu Kaznodziejskiego na Węgrzech.

W 1989 roku na Węgrzech nastąpiła wolność, więc siostra Ilona mogła rozpocząć życie zakonne. W Nágylózs w tym samym czasie uformowała się niewielka wspólnota siostr, z którymi siostra Ilona nawiązała kontakt. Gdy siostry przeprowadziły się do Tápiószentmárton, do wspólnoty dołączyła siostra Ilona.

Wierne świętemu Dominikowi

W 1997 roku grupa młodych siostr wyjechała do Niemiec, aby tam odbyć swoją zakonną formację. Na Węgrzech w dość obszernym domu przy ulicy Madách 40 w Göd pozostały trzy mniszki, w tym przeorysza Margit Molnár. Przeorysza jednak zaraz zmarła, więc siostra Ilona i siostra Dominika zamieszkały razem i żyły na wzór zakonne. Dom w Göd nie został uznany przez zakon za placówkę mniszek dominikańskich. Jedną z przyczyn tego jest fakt, że siostra Dominika nie ma prawnie uznanych przez zakon ślubów zakonnych, natomiast dziś siostra Ilona nie może zmienić istniejącej sytuacji prawnej domu.

Mimo trudnej sytuacji trwają nadal wierne swojemu dominikańskiemu powołaniu i świadczą o swojej miłości do Ukrzyżowanego Oblubieńca na ziemi węgierskiej, tak mocno dotkniętej piętnem sekularyzmu i nowego pogaństwa. ■

W polskiej szkole wdraża się pod osłoną nowoczesności system edukacji obciążony błędami dawno temu popełnionymi w Unii Europejskiej

Polska szkoła – studnia błędów

Anna Sutowicz

Uczniowie mają pokoleniowe prawo do buntu, któremu warto się przyjrzeć, zapominając na chwilę o wytycznych ministerstwa na temat szerzenia wiedzy o prawach człowieka i obywatela. To prawo wynika z natury i nie wolno go ignorować. Młody człowiek, przekraczając próg szkoły, w coraz młodszych wiekach natyka się na nieznane sobie dotąd problemy.

Na koniec każdego tzw. etapu edukacyjnego rodzic i dziecko dostają komunikat, z którego jasno wynika, że zdolności malca nie są jeszcze w pełni wykorzystane, a szkoła nadal podejmuje swoje dziejowe wezwanie wychowania i wykształcenia tej nieświadomej swojej marności jednostki ludzkiej. Nie jest to wychowanie socjalistyczne jak za dawnych lat, ale niemniej znaczące, bo pragniemy uzyskać obywatela świata, uczestnika kultury i kreatora nowoczesności.

Egocentryczna szkoła

Poddane temu procesowi dziecko rozumie tylko tyle, że jest jeszcze nad kreską wymagań społecznych lub już znajduje się pod nią i rozwijające się społeczeństwo raczej zacznie się obywać bez niego w przyszłości. Na dalszych etapach uczenia się jeszcze, iż jego nieco bystrzejsi koledzy nauczyli się radzić sobie z tym niedostosowaniem społecznym. Cóż, że sposoby te często odbiegają od powszechnie akceptowanych i bywają co najmniej tym, co ukulturalniona większość nazywa patologią, a co w niektórych kręgach patologią od dawna już nie jest. A co z tymi zdolniejszymi uczniami, którzy znaleźli się w swoim czasie nad kreską? Chwaleni przez nauczycieli mają szansę podążać kilka lat wytyczonymi ścieżkami polskiej edukacji. Ich punkty gratyfikacyjne będą się mnożyć już nie tylko na diagnozach przedmiotowych, ale także na licznych konkursach i olimpiadach. Tylko że i ci

szybko pojmą, iż z tymi ich zdolnościami szkoła przestanie pewnego dnia zaspokajać ich potrzeby. I stanie się to dużo szybciej, niż dotrą do ostatniego konkursu szkolnego, jakim jest matura. Na razie karmią swój egocentryzm, budują poczucie przewagi nad starszym pokoleniem i wkrótce znajdą ciekawszą ścieżkę swojego rozwoju, bynajmniej nie w szkolnej ławce.

Osamotniony nauczyciel

Nie bardziej idylliczna jest sytuacja nauczycieli. Dyrektorzy placówek bowiem ze swoimi licznymi problemami menedżerów nie podlegają żadnej klasyfikacji w tym względzie. Wprawdzie jeśli chodzi o nadzór pedagogiczny w tym roku ministerstwo ulżyło nieco dyrektorskim głowom. Tekst piszę pod koniec listopada, a więc półrocze „za pasem”, a w szkołach ani widu, ani słyhu kuratorskich zarządzeń odnoszących się do celu i sposobu hospitacji. Któż więc sprawdzi jakość pracy nauczycieli? Czy kuratoria? Nic bardziej mylnego. Owszem, ilość organów kontrolujących uległa od dawna pewnemu zwiększeniu, ale bynajmniej nie odnosi się to do oglądu bezpośredniej pracy nauczycielskiej. Zwykle dotąd odbywał się zapowiedziany nalot na szkołę w postaci pani lub pana wizytatora (kto w końcu spamięta, jak teraz będą się zwać: kontrolujący? wspierający? ewaluujący?) znajdującego się na papierkowej robocie, który kamuflował się na tydzień w jakimś gabinecie i śledził podsuwane przez dyrekcję niezwykle ważne dokumenty. Sprawdzał

wszystkie istotne kropki i kreski w dziennikach, podpisy pod kartami wycieczek i absolutnie fikcyjne stopy zaświadczeń wszelakiej maści i gatunku. Nie wiem, dlaczego wciąż jeszcze zadaję sobie pytanie, czy ci ludzie naprawdę myślą, że tak wygląda praca szkoły.

Reformy czy psucie?

Reformy od kilku lat podporządkowują się tzw. strategii lizbońskiej określonej przez Komisję Europejską, a która obecnie ulega przedawnieniu i naprawdę jeszcze nie wiadomo, jaki plan ma rzeczony organ władzy do 2020 roku. Ta strategia teoretycznie nie ma nic wspólnego z edukacją, a bardziej z przygotowaniem siły roboczej w UE, co we współczesnym zglobalizowanym świecie stanowi jeden z paritetów ekonomicznych. Szkoła ma więc przygotować młodego człowieka do podjęcia pracy po ukończeniu edukacji i to tak szybko, jak możliwe, bo emerytów przybywa. Pozornie słuszna strategia. A ja nie wiem, dlaczego wciąż mam idealistyczne wyobrażenie, że człowiek w swoim życiu nie tylko pracuje, nie tylko wytwarza kapitał, nie tylko produkuje i konsumuje dobra materialne. Przecież od co najmniej pięciu tysięcy lat istota określona przez Darwina jako *homo sapiens*, ale to także *homo politicus*, *homo ludens*, *homo religiosus*, uczestniczy w życiu swojej gromady, spisując jej dzieje, tworząc filozofię, opisując otaczający świat, wreszcie kochając i rodząc potomstwo. Czy naprawdę w nowoczesnej Europie nikt już nie będzie potrzebował filozofii, analizy zjawisk świata i ludzkiej natury? Przecież wszystko wskazuje na to, że właśnie przeciwnie, im bardziej kapitalistyczna rzeczywistość wmawia człowiekowi zanik takich potrzeb, tym silniej

dopomina się on możliwości zadawania pytań i dochodzenia prawdy.

Nauczyć samodzielności

To właśnie powinno być wyzwaniem współczesnej szkoły: dać młodzieży klucz, którym sami będą sobie otwierali wybrane przez siebie drzwi mądrości. Jeżeli szkoła tego nie zrobi, wyważą wrota, otworzą je na oścież i wtedy trudno będzie powstrzymać jakieś nieprzewidywalne „jutro”.

Młodzież nie chce zostawać w szkole po ostatnim dzwonku. Zresztą nie ma też dla niej tam miejsca. Nauczyciele i dyrektorzy skarżą się tu i ówdzie, że uczniowie przed lekcjami przesiadują na korytarzach bez potrzeby i robią tłok. A młodzi często szukają kontaktu ze sobą, choć jest on coraz słabszy. Po południu komunikują się w sieci i to im wystarcza. W tym roku w związku z reformą oświatową ministerstwo, a za nim kuratoria zaleciły rezygnację z wycieczek szkolnych. Pytam, gdzie nauczyciel może nawiązać lepszy kontakt z wychowankami, jak nie na wycieczce, podczas wspólnie spędzonych godzin swobodnej wędrówki lub przygotowania projektu przedmiotowego? Od lat obserwowałam, jak wtedy właśnie ujawnia się zupełnie inne oblicze młodych ludzi, zaczynają opowiadać o sobie, pokazują o wiele miłszy rewers swojej buntowniczej osobowości.

Studnia błędów

No właśnie, oto kolejny problem rzeczywistości szkolnej: młodzież niedostosowana, opóźniona, indywidualistyczna, ze specyficznymi zdolnościami, upośledzona. Ktoś powiedział, że integracja stanowi najskuteczniejsze lekarstwo na wszelkie niedobory ludzkiej natury. Pewnie to prawda. Tylko że ten ktoś, kto pewnie nigdy nie liźnął nawet filozofii antropologii, pomieszał pojęcia i włożył do jednego worka dzieci upośledzone ze zwykłymi dewiantami, wykolejeńca-

mi i pospolitym chamstwem. W efekcie z jedenastoletnimi dziećmi w normalnej podstawówce siedzą w ławkach zdemoralizowane piętnastolatki, których litościwi rodzice nie chcą oddać na pastwę Ochotniczych Hufców Pracy lub Ośrodków Szkolno-Wychowawczych. Cóż, że innym rodzicom taka sytuacja przeszkadza. Zawsze mogą przecież wybrać szkołę prywatną, gdzie na dodatek oferuje im



Szkoła musi dać klucz, którym młodzi będą sami otwierać drzwi mądrości

Fot. Dominik Rózański

się wysoki poziom zdawalności egzaminów zewnętrznych.

Krótko mówiąc, współczesna szkoła to studnia błędów, popełnionych dawno temu na antypodach Unii Europejskiej, a obecnie wdrażanych pod osłoną nowoczesności w Polsce. Czy nie ma w tym doświadczeń doby polskiego socjalizmu? Owszem, nikt mi nie każe organizować Dnia ORMÓ, ale cóż, skoro w szkole powinno funkcjonować Koło Europejskie. Na szczęście po tym, jak UE sama poradziła sobie z felernym systemem wprowadzenia konstytucji europejskiej, nauczyciele przestali organizować masówki pod hasłem projektu o traktacie lizbońskim. Zresztą może ja mam trochę szczęścia, ponieważ od kilku lat uczę na wsi, a tutaj omija mnie wiele z tej burzy ideologicznej,

która najpierw uderza w placówki miejskie.

Młodzież widziana z oddali

Instynktownie nastolatki czują się nie tylko obywatelami świata, ale najpierw Polakami. Odrzucając zło, dostrzegają głęboki rozdział między tym, co mówią im w podręcznikach do WOS autorzy świetlanej wizji kapitalistycznej ojczyzny, a tym, co dostrzegają dookoła siebie. Czy mam się podpisywać pod rozdziałami, w których szumnie opisuje się nowy wspaniały świat wolności i swobód demokratycznych, skoro kilka stron dalej wskazuje się na najważniejszy aspekt obywatelskiej sielanki: obowiązki podatnika i wyborcy? Czy tylko ja wyczuwam swoisty fałsz zakryty lekkim retuszem postindustrialnej nowomowy? Niestety albo na szczęście, nie tylko ja, ale dostrzega to również nastoletnia młodzież, wtłoczona w ławki, nieodłączny element szkolnej rzeczywistości, zmuszona do pisania w zeszytach długopisem, choć już w sposób naturalny posługuje się raczej klawiaturą komputerów. Jak dawniej, 50 i 40 lat temu, muszę wybierać między zgodą z własnym sumieniem i wiedzą a wytycznymi minister-

stwa, ponieważ jestem urzędnikiem państwowym. Jak dawniej błogosławię fakt, że moi przełożeni nie zmuszają mnie do organizowania odpowiedników zakładowych POP, ale w zamian za to sami poddawani są własnym rozliczeniom z systemem.

Przejmując młodzież po tych siłaczkach, które pracowały tu przede mną, rozmyślałam nad sensownością zamykania małych szkół wiejskich, nad odpowiedzialnością za tych, których mi powierzono, i za tych, których pozostawię przyszłym pokoleniom. Cięży mi wielce ta odpowiedzialność i wcale nie czuję się rozgrzeszona błędami systemu edukacji, tak jak nie czuły się rozgrzeszone te wszystkie dobre dusze pracujące w tak obłąkanym systemie, jakim był polski socjalizm. ■

Po ostatniej reformie powstał w Polsce system, w którym przyszła emerytura staje się wielką niewiadomą

Reforma do poprawki

Alicja Dołowska

Po dziesięciu latach od reformy emerytalnej nie została ona dokończona. Również z tej przyczyny, że pierwsze wypłaty świadczeń z Otwartych Funduszy Emerytalnych okazały się dla niektórych emerytów sumą 19 złotych z groszami i budżet państwa musi do nich dopłacać. Jest to zatem problem nie tylko samych emerytów, ale nas wszystkich.

Od stycznia ubiegłego roku, kiedy dla kobiet – bo to one przechodzą na emeryturę pięć lat wcześniej niż mężczyźni – rozpoczęły się pierwsze wypłaty z II filaru, nastąpił moment konfrontacji marzeń z rzeczywistością. Przeszliśmy wreszcie mówić o czasach pod palmami, choć takie wizje akwizytorzy Otwartych Funduszy Emerytalnych roztaczali przed przyszłymi emerytami, chcąc złowić do funduszy grupę ludzi urodzonych w latach 1949–1968 (mogli oni wybierać między emeryturami ze starego systemu a nowym z kapitałową częścią II filaru). Kto dał się wtedy skusić reklamom i akwizytorom, pluł sobie potem w brodę, że nie wybrał jednofilarowego ZUS-u. I denerwował się, gdy podczas kryzysu fundusze emerytalne zaczęły gwałtownie tracić aktywa ulokowane na pikującej warszawskiej giełdzie.

Z alternatywą w tle

Około 2 tys. kobiet należących do OFE osiągnęło w 1999 roku wiek emerytalny. Wiedząc wcześniej, co się święci, parlament w 2007 roku stworzył możliwość, by podczas składania wniosków o emeryturę, ludzie mogli poprosić o przekazanie zgromadzonych w OFE środków do budżetu państwa i przejść pod skrzydła ZUS. Ustawa emerytalna jest bowiem tak skonstruowana, że choćby wszystkie OFE ogłosiły klępkę, gwarantem wypłaty emerytury do wysokości najniższego świadczenia emerytalnego, jest budżet państwa.

Jest to bezpieczne dla obywatela, ale mało bezpieczne dla budżetu. Tym bardziej że wchodząc do strefy euro, do czego aspirujemy, musielibyśmy ostro ciąć wydatki publiczne, gdyż w Polsce deficyt budżetowy jest w stosunku do wymaganych wskaźników Komisji Europejskiej wciąż za wysoki.



Przyszła emerytura staje się wielką niewiadomą | Fot. Dominik Różański

Można się tylko dziwić, że dopiero po ostrym kryzysie finansowym, który – jak można było przeczytać nawet w klasycznych podręcznikach ekonomii kapitalizmu – jest zjawiskiem cyklicznym, naturalnie wpisanym w system koniunktury gospodarki kapitalistycznej, specjalistom od emerytur przyszło do głowy, aby OFE były zobowiązane do oferowania starszej grupie członków fundusze bezpieczne, tzw. fundusze „B”.

Dziś zachodzimy w głowę, dlaczego dotąd nie musiały tego robić, a pomysły rzuciła dopiero minister pracy i polityki społecznej Jolanta Fedak, narażając się na ostracyzm. Tym bardziej że prze-forsowała pomysły, by od stycznia tego roku o połowę obciążyć prowizje pobierane przez OFE z puli przekazywanych składek z 7 proc. do maksymalnie 3,5. W tym miejscu trzeba przypomnieć, że u zarania reformy prowizja wynosiła maksimum 3,5 proc., ale za czasów koalicji SLD-PSL w latach 2001–2003 lobbyści funduszy „wydeptali” w Sejmie decyzję o podwojeniu opłat za obsługę prowadzenia kont i inwestowania, co uszczupliło dochody przyszłych seniorów.

Duet Jolanta Fedak i minister finansów Jacek Vincent Rostowski forsuje również rozwiązanie, by do OFE nie trafiało aż 7,3 proc. emerytalnej składki, tylko 3 proc., a reszta z tej puli zasilałaby dodatkowo konto ZUS-u. To było powodem medialnej awantury, która rozgrywa się na naszych oczach.

Kto co chce ugrać?

W bitwie na argumenty i racje przeróżnych ekonomistów przeciętny obywatel jest na ogół słabo zorientowany. Ba! Im więcej populizmu i krzyku, tym bardziej czuje się zagubiony. Skąd może wiedzieć, że owi „obiektywni” eksperci są stroną w tym sporze? Gdy sprawdzić, okazuje się, że wielu z nich zasiada w zarządach lub pobiera wynagrodzenia za doradztwo.. właśnie w OFE.

Jedno jednak przyszły emeryt wie na pewno: jak nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. W tym przypadku jego ciężko zarobione pieniądze. Zwłaszcza



Fot. Dominik Róznicki

cza, że odkąd z pracą krucho i bezrobocie znów rośnie, pracodawcy płacą kłopotliwie i pensje – choć statystycznie rosną – dla wielu nie są wcale wysokie. Część załóg pracowniczych, aby utrzymać zatrudnienie i ratować zakład pracy, godzi się na cięcia płac.

Nieliczni tylko, odważni i niezależni ekonomiści skłonni są do krytyki. Reszta ma cienką skórę lub nie chce ryzykować wypadnięcia z łask OFE. Takim *enfant terrible*, który od początku niezmiennie krytykuje zasady, według których funkcjonują na polskim rynku kapitałowym fundusze emerytalne, jest liberalny ekonomista Robert Gwiazdowski z Centrum im. Adama Smitha, a jednocześnie były przewodniczący rady nadzorczej ZUS-u. Jego uwagi, choć uznawane nawet trochę za szalone, nie są jednak pozbawione sensu. Trudno odmówić Gwiazdowskiemu racji, gdy mówi, że wysokość prowizji pobieranej przez OFE powinna zależeć od wypracowanych przez fundusz zysków. Również prof. Wojciech Otto (prodziekan Wydziału Nauk Ekonomicznych UW) uważa, że potrzebna jest opłata uzależniona od wyników OFE.

Tymczasem OFE miały luksusową sytuację, bo nawet wtedy, gdy przynosiły straty, przyszły emeryt musiał im po prostu płacić 7 proc. „za obsługę”. Działalność Otwartych Funduszy nie wymaga wielkiej filozofii: 70 proc. składki przeznaczają na zakup obligacji skarbo-

wych, które wypuszcza państwo, a zwykły obywatel może bez prowizji kupić w banku.

– Pieniądze te natychmiast wracają do budżetu państwa, co tworzy zamknięte koło – twierdzi Gwiazdowski. – Dalsze 30 proc. OFE inwestują w 20 krajowych spółek notowanych na giełdzie.

Gwiazdowski nie kryje, że przyszła emerytura to jedna wielka niewiadoma, bo część kapitałowa poddana grze giełdowej będzie zależała od hossy lub bessy na giełdzie. Jest zwolennikiem państwowej emerytury minimalnej i zwolnienia pracownika z obowiązkowej przynależności do OFE. Uważa, że człowiek sam powinien odpowiadać za zabezpieczenie własnej starości. Z tym ostatnim argumentem zgadza się prezydent Lech Kaczyński, ale zauważa: „Dobrze by było, gdyby ludzie dobrowolnie ubezpieczali się na starość”. Problem jednak w tym, że tego nie robią”.

Mało nas do pieczenia chleba

Nowy system emerytalny był ucieczką do przodu. Polskie społeczeństwo dramatycznie szybko się starzeje. Brak jest prostej zastępowalności pokoleń. Celem reformy było mniejsze obciążenie budżetu państwa, które ciężaru przyszłych emerytur nie będzie w stanie udźwignąć. Dziś na jednego emeryta przypada czterech pracujących, ale za 20 lat będzie ich tylko dwóch. Coraz odważniej mówi się o konieczności wydłużenia w Polsce wieku emerytalnego.

Tak jak zrobiono m.in. w Niemczech i Skandynawii. Z wyliczeń wynika, że trzydziestoletnie dziś kobiety będą mogły liczyć na to, że ich emerytura będzie wynosiła zaledwie jedną trzecią obecnej pensji. Jak za to przeżyć?

W fazie bezrobocia pracodawcy przebijają w pracownikach jak w ulęgałkach. Nie chcą już nawet zatrudniać ludzi po pięćdziesiątce. Fiaskiem okazał się ministerialny program aktywizacji zawodowej „50 plus”. Bo dramatem Polski znów jest dziś bezrobocie. Bez pracy może być nawet 12 proc. czynnych zawodowo Polaków. Pokolenie wyżu demograficznego z lat 80., które powinno pracować w kraju, tu odkładać na swoje emerytury i w końcu finansować bieżące emerytury rodziców, wyjechało za chlebem na Wyspy Brytyjskie i tam, jako „konsument dóbr wszelakich”, nakręca koniunkturę. Cyfry biją na alarm: 40 proc. absolwentów nie ma pracy!

– Musimy mieć więcej ludzi na rynku pracy – mówi w dyskusji na temat systemu emerytalnego prof. Ewa Kotowska.

Bo praca to podstawa. I trudno się nie zgodzić z premierem Tuskiem – nawet jeśli się go nie lubi – gdy mówi, że „emerytury nie są po to, żeby instytucje finansowe zarabiała kokosy”. W końcu za niskie emerytury lub ich brak zapłacimy wszyscy. Wyższymi podatkami na pomoc społeczną i ochronę zdrowia, na wspomaganie biednych i wykluczonych. Zatem dwa razy się zastanówmy, gdy usłyszymy krzyk twórcy reformy emerytalnej prof. Marka Góry ze Szkoły Głównej Handlowej, że rząd, obniżając z 7,3 do 3 proc. wkład składki do OFE, „chce przejąć nasze pieniądze”. Żaden z krajów UE – poza Polską – nie skonstruował tak ryzykownego systemu dla seniorów, tak mocno poddanego fluktuacjom rynku. Szwedzi, którzy reformę emerytalną rozpoczęli wraz z nami, powierzyli funduszom kapitałowym tylko 3,5 proc. emerytalnej składki. Polacy – dwa razy więcej. Czy warto było? Komu daliśmy zarobić? Nad bilansem zysków i strat powinniśmy się poważnie zastanowić. ■

Rzeczywista profesjonalizacja polskiej armii to proces, który będzie trwał kilkanaście lat. Kolejne cięcia budżetowe mogą go jednak skutecznie zahamować

Armia pod ostrzałem

Petar Petrović

Według styczniowego raportu przygotowanego przez BBN, proces profesjonalizacji polskiej armii może zostać zahamowany. Mimo że od kilkunastu miesięcy mamy armię zawodową, powodów do radości nie dostarczają kolejne informacje o dramatycznej sytuacji w siłach zbrojnych. W zeszłym roku cięcia w MON wyniosły 3 mld złotych, minister finansów Jacek Rostowski argumentował je złą sytuacją ekonomiczną państwa, wynikającą z kryzysu.

W raporcie BBN czytamy, że przewidywane jest okrojenie tegorocznego budżetu o ok. 2 mld złotych. Co więcej, jeszcze kilka miesięcy temu MON zapowiadał, że budżet armii zwiększy się o 4%, do ponad 25 mld złotych. Szef BBN, były minister obrony narodowej Aleksander Szczygło, uznał zeszły rok za najgorszy dla wojska od 1989 roku. Główną przyczyną tak surowej oceny był przede wszystkim brak pieniędzy, który powodował oszczędności na szkoleniach, remontach i zakupie sprzętu. W takich okolicznościach nasuwa się pytanie o to, za co i po co reformować armię, skoro rządzący w rzeczywistości uważają ją za „piąte koło u wozu”. Czy zapewnienia premiera Donalda Tuska o zakończeniu procesu profesjonalizacji polskiej armii do końca tego roku można włożyć między bajki? Według założeń przedstawionych przez ministra obrony Bogdana Klicha, do tego czasu armia ma liczyć do 120 tys. żołnierzy, w tym 20 tys. Narodowych Sił Rezerwy. Jednak nawet tak duże zmniejszenie ilości wojsk nie oznacza wzrostu ich jakości. Zarówno eksperci wojskowi, jak i politycy wszystkich opcji, zgadzają się, że na sytuację polskiej armii wpływa suma zapóźnień i wieloletnich zaniedbań.

A jednak postęp

– Zmiany, które zaszły w polskiej armii w stosunku do początku lat 90. są kolosalne – uważa Andrzej Kiński, re-

daktor naczelny miesięcznika „Nowe Technologie Wojskowe”. – Pamiętajmy, że u schyłku Układu Warszawskiego siły zbrojne PRL liczyły 450 tysięcy lu-

wali sobie z tego sprawę, zarówno urzędnicy w resorcie MON, jak i politycy oraz generałowie. Lata 90. to okres stagnacji, jedyny nowo dostarczany sprzęt pochodził jeszcze z transakcji zakontraktowanych w poprzedniej dekadzie. W taki sposób udało się wymienić z Czechami „Sokoły” na „Migi 29”, dzięki czemu mogliśmy wyekwipować całą, jedną, eskadrę w Mińsku Mazowieckim. Oprócz tego wdrożyliśmy czołgi PT-91 „Twardy”. I na tym właściwie



Żołnierze polscy w Afganistanie | Fot. Wikipedia

dzi i były przestarzałe technologicznie nawet w porównaniu z innymi armiami państw Układu Warszawskiego m.in. z powodu kryzysu ekonomicznego lat 80.

Zdaniem ppłk Artura Goławskiego, wojskowego eksperta tygodnika „Polska Zbrojna”, głównymi problemami polskiej armii w latach 1989–2001 były słabe planowanie i brak stabilności budżetowej.

– Trudno mówić o rozwoju armii w tych czasach. Plany jej modernizacji były w dużej mierze fikcją. Wszyscy zda-

zakończyło się unowocześnianie polskiej armii – podkreśla ppłk Artur Goławski.

Planiści już podczas przedstawiania pomysłów zdawali sobie sprawę, że hasła reformy były tylko pobożnymi życzeniami kolejnych ministrów. W tym czasie dekapitalizowała się infrastruktura stacjonarna, koszary, poligony, trenażery.

Eksperti wojskowi podkreślają, że sytuacja w polskiej armii zmieniła się dopiero po naszym wejściu do NATO w 1999 roku. Członkostwo w Sojuszu wymusiło

na naszych politykach rzeczywiste działania reformatorskie. To, że NATO zagwarantowało nam bezpieczeństwo, pozwoliło nam przeprowadzić długo oczekiwaną reformę, bez ryzyka zmniejszenia bezpieczeństwa kraju.

– W 2001 roku przyjęto pierwszy program modernizacji sił zbrojnych, rozpisano trzy wielkie przetargi: na samolot wielozadaniowy F-16, kołowy transporter opancerzony „Rosomak” i rakiety przeciwpancerne „Spike”. Oprócz tego doszło do zintensyfikowania zakupów uzbrojenia, konsolidacji przemysłu obronnego i redukcji sił zbrojnych – wylicza zmiany Andrzej Kiński.

Misje – zapłon czy hamulec?

Kolejne zmiany w myśleniu o armii były powodowane wysłaniem naszych żołnierzy do Iraku i Afganistanu. Realizację zadań szkoleniowych i stabilizacyjnych w Iraku polscy żołnierze rozpoczęli w maju 2003 roku, a skończyli po pięciu latach. Rozminowywanie terenu, chronienie lotniska w Kabulu i odbudowa kraju – z takimi zadaniami wysłaliśmy 16 marca 2002 roku pierwszych żołnierzy do Afganistanu. Początkowa liczba ok. 120 żołnierzy powiększyła się z czasem do obecnych 2 tys. Po ostatniej decyzji rządu liczbę tę zwiększono o dodatkowych 600 żołnierzy. Decyzja ta spotkała się z krytyką i licznymi pytaniami o to, czy stać nas na utrzymywanie drogiej misji afgańskiej, którą, w przeciwieństwie do częściowo refundowanych misji ONZ, musimy opłacać w całości z budżetu MON.

Zdaniem ekspertów, stabilna sytuacja polityczna powoduje, że polscy politycy myślą o ograniczeniu finansowania sił zbrojnych, gdyż i tak nie będą one w najbliższym czasie „potrzebne”, i za podstawowe zadanie uznają udział naszych żołnierzy poza granicami kraju. Jest to jednak sprzeczne z zapisem w Konstytucji, mówiącym, że głównym celem naszych sił zbrojnych jest obrona granic ojczyzny.

– Gros środków w ramach MON, które powinny być skierowane na modernizację armii, pochłania misja afgańska – podkreśla Andrzej Kiński. – Nie



Polacy w Iraku | Fot. Wikipedia

można jednak zapominać, że ma ona dla nas kluczowe znaczenie polityczne, nie mniej inni członkowie NATO potrafili znaleźć skuteczniejszy model finansowania tego typu operacji, chociażby przeznaczając na nie środki spoza bezpośrednich budżetów obrony.

– Powiększenie liczebności naszej misji w Afganistanie o 600 żołnierzy, to w rzeczywistości zaangażowanie jeszcze dodatkowych 1800 żołnierzy w celu rotacji. Do tego należy dodać kolejnych 400 żołnierzy w rezerwie, na wypadek bardzo trudnej sytuacji w tym kraju – zaznacza Wojciech Łuczak, redaktor naczelny magazynu „Raport – Wojsko, Technika, Obronność”.

Afgański test

Wszyscy są zgodni co do tego, że nasza armia powinna być na tyle silna i nowoczesna, aby odstraszała od snucia planów agresji na nasz kraj. Tak profesjonalna, by każdy żołnierz wchodzący w jej skład mógł być natychmiast wrzucony w wir zmagania wojennych. Czy udział w misjach, które pochłaniają tak wiele środków i w pewien sposób spowalniają proces modernizacji jednostek znajdujących się w kraju, zwiększa nasze bezpieczeństwo? W końcu większość nowoczesnego sprzętu nie pozostaje w granicach Polski, ale jedzie do Afganistanu. Co więcej, na potrzeby misji środki MON-u przeznaczone są nieraz na uzbrojenie, które nie

należy do pierwszoplanowych potrzeb polskiej armii, jak choćby na pojazdy minoodporne, które doskonale spisują się w warunkach wojny partyzanckiej, ale nie są uważane przez specjalistów za pierwszoplanowy sprzęt w teatrze konfliktu pełnoskalowego. Jednocześnie polska armia niewątpliwie nabiera nowych doświadczeń i podnosi swój poziom, będąc oko w oko z realnym wrogiem i ucząc się współpracy z natowskimi sojusznikami. Dowódcy, którzy taką służbę mają za sobą, przyznają, że misje miały przełomowe znaczenie i zmieniły mentalność polskich oficerów. Bardzo ważna jest też możliwość sprawdzenia sprzętu w sytuacjach bojowych. Niewątpliwie postawa naszych żołnierzy podniosła też znaczenie Polski na arenie międzynarodowej.

Skoro nie stać nas na to, żeby w ciągu krótkiego czasu radykalnie podnieść poziom naszego wojska, to wyszkolenie w realnej sytuacji zagrożenia kilkunastu tysięcy żołnierzy jest dla bezpieczeństwa kraju dużym atutem. Staje się on tym cenniejszy po tym, jak z powodu opieszałości rządzących polityków straciliśmy szansę na trwałą bazę amerykańską na naszym terytorium, będącą częścią tarczy antyrakietowej Stanów Zjednoczonych. Ruchoma bateria rakiet „Patriot”, uzbrojonych bądź nie, nie pokryje tej straty. Co więcej, wielu politologów i specjalistów zajmujących się tematyką wschodnią apeluje o poważne

traktowanie rosyjskich prowokacji (nie-dawne ćwiczenia armii rosyjsko-białoruskiej „Zachód 2009”), planów rozbudowy przez ten kraj arsenału konwencjonalnego i licznych zmian prawnych, umożliwiających Kremlowi szybszą „interwencję” na terytorium byłej „bliskiej zagranicy”.

Mimo tych zagrożeń uwagę części mediów i polityków przykuwają raczej kłopoty naszego państwa z zamienieniem sukcesu wojskowego na ekonomiczny i podpisywaniem intratnych kontraktów gospodarczych w Afganistanie i Iraku. Krytyka ta bardzo często łączy się z wnioskami, że powinniśmy wycofać stamtąd nasze siły, gdyż generują one tylko wydatki, a nie przychody, i powodują, że narażamy się na oskarżenia o wspieranie amerykańskiego imperia-
lizmu. Czy w takim razie pozostawianie w Afganistanie ma sens?

– Jesteśmy tam po to, aby dowieść swojej sojuszniczej lojalności – podkreśla płk Artur Gołowski. – Zależy nam, aby w chwili zagrożenia oni przyszli nam z pomocą, tak jak my przychodzimy im z pomocą teraz, gdy próbują ustabilizować i odbudować upadłe państwo, jakim był i w dużej mierze wciąż jest Afganistan. Oczekiwanie jakichkolwiek korzyści materialnych dla Rzeczypospolitej z tytułu służby naszych żołnierzy w Afganistanie świadczy o nieznamości kuchni polityki międzynarodowej i obronnej. Jesteśmy tam, bo tam jest NATO – podsumowuje ekspert „Polski Zbrojnej”.

Kilkunastoletnia reforma

Profesjonalizacja armii, operacja w Afganistanie, wprowadzanie do użytku bojowego samolotów F-16 to w ocenie ekspertów poważny ciężar dla kruszego budżetu MON-u. Z tego powodu

ministerstwo powinno się zastanowić nad tym, czy liczba 120 tys. żołnierzy nie jest zbyt wygórowana. Najbliższe lata to kolejne gigantyczne wydatki. Zarówno raport BBN, jak i inne opracowania wskazują, że najgorsza sytuacja jest w marynarce. W ciągu ostatnich lat wycofano 62% okrętów bojowych i innych jednostek pływających. Braki nie zostały uzupełnione nowym sprzętem. Zmniej-



Żołnierze 1 kompanii Zgrupowania Bojowego B strzegą reaktywowanego mostu na drodze A1 w Afganistanie | Fot. Wikipedia

szono o połowę stan lotnictwa morskiego, a o prawie jedną trzecią liczebność marynarzy. Na pozór sytuacja w lotnictwie prezentuje się trochę lepiej, zakupiono w końcu nowoczesne F-16. Tylko że ich przyszli piloci nie mają się na czym szkolić, gdyż MON nie rozpoczął nawet procesu zakupu samolotu szkolno-bojowego. Zdaniem Wojciecha Łuczaka, obecnie najważniejsze jest dokonanie modernizacji naziemnego systemu obrony przeciwrakietowej, gdyż zobowiązaliśmy się wobec NATO, że będzie on zawierał elementy zwalczania rakiet balistycznych małego i średniego zasięgu. Cena całego projektu będzie wynosić według wstępnych szacunków ponad 10 mld dolarów.

Polska armia jak służba zdrowia

Wydaje się, że polska armia jeszcze długo nie pozbędzie się określenia „bieda-armia”. Z mediów co chwila dowiadujemy się o kolejnych zaniedbaniach, brakach

i słabościach naszego wojska. Jednocześnie rządzący politycy twierdzą, że proces profesjonalizacji przebiega bez zarzutów, a krytyka ma wyłącznie podłoże polityczne lub spowodowana jest poszukiwaniem sensacji. Warto jednak zapytać ministra Klicha, czy przypadkiem profesjonalizacja armii nie została pomyślona z uzawodowieniem. Rezygnacja z poboru spowodowała nie tylko zwiększenie sympatii niedoszłych poborowych do urzędującego premiera, ale także szanse na inne rozłożenie środków finansowych. Etap uzawodowienia mamy już praktycznie za sobą, czas przejść na o wiele trudniejszy stopień – profesjonalizacji. Od tego momentu dopiero zaczynają się schody, gdyż nowoczesna, zawodowa, profesjo-

nalna armia wymaga większych nakładów finansowych niż nieefektywny pobór.

– Od jej poziomu finansowania będzie zależeć, jak szybko nasi zawodowi żołnierze staną się profesjonalistami. Ten proces zajmie kilkanaście lat. Cięcia powodują nie tylko rezygnację z zakupów sprzętu, ale też zmniejszenie szkoleń, a jak istotne są godziny treningu dla żołnierzy, świadczą choćby katastrofy lotnicze, do jakich doszło w minionych latach – podkreśla Andrzej Kiński.

Na sytuację w polskiej armii należy patrzeć przez pryzmat innych obszarów państwa, z których praktycznie żadne, mimo wielu obietnic, nie doczekały się w ciągu ostatnich dwóch lat reformy.

– Dopóki nie dojdzie do katastrofy, takiej jak powódź, nie mówiąc już o zagrożeniu konfliktem, może nam się wydawać, że siły zbrojne nie są nikomu potrzebne – podsumowuje Wojciech Łuczak. ■

Autor jest dziennikarzem Polskiego Radia.

Wybory prezydenckie na Ukrainie w kontekście polskiej polityki wschodniej

Ukraińska układanka

Łukasz Kobeszko

Wydarzenia na ukraińskiej scenie politycznej zawsze budziły u nas spore zainteresowanie. Niezależnie od tego, jaka ekipa sprawuje rządy w Kijowie i Warszawie, obydwa kraje muszą dbać o dobre stosunki bilateralne. Polska w równym stopniu powinna więc współpracować z Wiktorem Janukowyczem, jak i Julią Tymoszenko, którzy po drugiej turze wyborów prezydenckich na Ukrainie (7 lutego) zastąpią Wiktora Juszczenkę. Obydwoje z prezydenckich pretendentów to przecież znani i w sumie - przewidywalni partnerzy Polski.

Pod koniec 1991 roku Polska była pierwszym krajem Europy, który uznał odradzającą się ukraińską państwowość. Wbrew sarkastycznym opiniom niektórych publicystów, raczej trudno uznać, że polska dyplomacja zdecydowała się na ten gest ze swobodnego lęku przed pozostawioną w ukraińskich arsenałach radziecką bronią atomową czy też groźbą rewizji granic ustalonych podczas konferencji pokojowej w Poczdamie latem 1945 roku. Czy tego chcemy czy nie, ważną (choć oczywiście nie jedyną) częścią tradycyjnego etosu polskiej polityki zagranicznej było mniejsze lub większe wsparcie dla niepodległościowych dążeń narodów wchodzących w skład ZSRR. Co ciekawe, stanowisko takie nie było tylko i wyłącznie domeną środowisk piłsudczykowskich. Od pewnego momentu zgadzały się z nim wszystkie ważne nurty polskiego myślenia politycznego – stronnictwa chadeckie, ludowe, socjalistyczne i narodowe. Oczywiście nie oznacza to, że istniała wśród nich jednomyślność co do metod i zakresu zaangażowania na Wschodzie.

Plusy dodatnie, plusy ujemne

Generalny kierunek obrany przez naszą dyplomację wobec Wschodu po 1989 roku był dobry i powiedzmy szczerze – była to jedyna opcja w nowej sytuacji geopolitycznej. Rozpad ZSRR był koniecznością dziejącą i trudno wyobrazić sobie dzisiaj inny scenariusz wydarzeń za Bugiem i Sanem, niż ten, który obserwowaliśmy na począt-

ku lat 90. W kręgach naszej dyplomacji istniało przekonanie, że w procesie wspierania budowy niepodległych państw na obszarze poradzieckim należy postawić na współpracę z lokalnymi siłami prodemokratycznymi, a najlepiej – prezentującymi chęć zbliżenia ze strukturami politycznymi i gospodarczymi Zachodu.



Julia Tymoszenko | Fot. Archiwum

Było to podejście logiczne i konstruktywne. Widząc chociażby krwawy rozpad Jugosławii, wiążący się z najsilniejszą od dekad eksplozją nacjonalizmów i szowinizmu małych narodów, Polacy w jakimś stopniu obawiali się powtórzenia takich wypadków na podwórku byłego ZSRR, w tym także, odrodzenia długotrwałego antagonizmu polsko-ukraińskiego. Stąd zrozumiałe wydaje się dążenie do tego, aby Ukrainą lub innymi krajami Wschodu

du rządziła administracja pragmatyczna i skoncentrowana na współpracy przynoszącej obopólne korzyści. To samo przeświadczenie odnosi się do samej Rosji.

Te ogólnie słuszne założenia teoretyczne spotkały się jednak na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia z realną rzeczywistością, odbiegającą od założeń budowanych w ośrodkach analitycznych i na łamach mainstreamowych mediów.

Chybione rachuby

W większości krajów b. ZSRR scenariusz jugosłowiański nie powtórzył się. Rozpoczynający karierę jeszcze w czasach radzieckich liderzy ukraińscy, białoruscy czy mołdawscy nie postawili na krwiożerczy szowinizm, a swoje zaplecze polityczne i administracyjne utrwalili na dość elastycznych i przypadkowych grupach nomenklaturowo-biznesowych, którym można z pewnością zarzucić wiele, ale nie to, że mogą być szalone i nieprzewidywalne. Fakt, że wielu z tych przywódców od początku nie miało na Zachodzie dobrej prasy, automatycznie spowodowało również przeniesienie takich negatywnych opinii (i uczynienie z nich fundamentu długofalowej praktyki politycznej) na polski grunt. Nie bacząc na specyficzny, interes regionalny i konieczność utrzymywania relacji dobrosąsiedzkich, „nieprawyomyślne” elity polityczne Ukrainy czy Białorusi stały się dla wielu naszych środowisk dyżurnym „chłopcem do bicia”.

Popierając budowę niepodległej Ukrainy czy Białorusi nie wzięliśmy pod uwagę złożonej specyfiki i skomplikowanej konstrukcji tamtejszych społeczeństw. Samo pojęcie suwerenności często oznaczało bowiem co innego dla Polaka, a co innego dla Białorusina, a jeszcze inne znaczenie przybierało dla mieszkańca Ukrainy Zachodniej, Zakarpacia lub Doniecka. Często sami

nie chcieliśmy przyjąć do wiadomości, że większość Białorusinów popiera prezydenta Aleksandra Łukaszenkę i zwyczajnie woli mówić po rosyjsku, w którym to języku zostali wychowani. Niepodległość Białorusi niekoniecznie oznaczać musi dla wielu naszych wschodnich sąsiadów wejście w całkowitą orbitę Zachodu – z drugiej zaś strony, sporym uproszczeniem jest ukazywanie białoruskiego lidera, obecnie intensywnie flirtującego z UE, jako bezpośredniego eksponenta wpływów rosyjskich.

Podobnie było w kwestii ukraińskiej. Warszawa miała często tendencje do traktowania tego dość podzielonego ludnościowo, religijnie i politycznie kraju jako jeden organizm. Klasyczna logika określiłaby taką sytuację mianem błędu *pars pro toto* (cześć brana za całość). Popieranie polityków mających swoją bazę głównie w zachodniej części kraju i demonstracyjna wręcz niechęć do przedstawicieli świata po prawej stronie Dniepru – Doniecka, Charkowa i Ługańska obserwowana podczas wyborów pod koniec 2004 roku (w których główne starcie odbyło się między Wiktorem Janukowyczem a Wiktorem Juszczenką) zaowocowała później sporym paraliżem naszych ośrodków decyzyjnych na odcinku ukraińskim podczas drugiego premierostwa Janukowycza w latach 2006-2007. Aż dziw bierze, że większa część naszych specjalistów po zwycięstwie Juszczenką poważnie brała pod uwagę hipotezę, że pokonany w wyniku „pomarańczowej rewolucji” umiejętny wyjadacz polityczny Wiktor Janukowycz, cieszący się realnym poparciem prawie połowy Ukraińców, na zawsze zniknie z ukraińskiej sceny.

UE jest daleko

Anno Domini 2010 trudno brać poważnie powtarzane jak mantra zaklęcia o „Polsce będącej adwokatem Ukrainy na drodze do integracji tego kraju z UE”. Przez lata stanowiła ona nieodłączny rytuał polsko-ukraińskich spotkań rządowych. Można pewnie zgodzić się, że zagraniczna aktywność wielu polskich polityków w kwestii ukraińskiej (np. na forum Parlamentu Europejskiego) przynajmniej zasygnalizowała elitom Zachodu proble-

my naszego wschodniego sąsiada, lecz w znaczeniu praktycznym, polski lobbying wschodni nie zaowocował żadnymi konkretnymi.

Już przed kilkoma laty wielu ekspertów wskazywało, że Ukraina nie ma w gruncie rzeczy, szans na wejście do UE. Kraj od długiego czasu cechuje niestabilność sytuacji politycznej, ostre konflikty polityczne oraz niebotyczny poziom korupcji i powiązań pomiędzy oligarchicznymi strukturami biznesu, a światem polityki. Stan



Wiktor Janukowycz | Fot. Archiwum

taki pozwala bez ogródek na konstatację, że Kijów wciąż nie spełnia nawet najbardziej podstawowych standardów unijnych. Z drugiej strony, samą UE przeraża przyjęcie w swe szeregi prawie 50-milionowego kraju z olbrzymią sferą ubóstwa, odmienną stratyfikacją społeczną i wielkim sektorem przemysłu ciężkiego zlokalizowanym w mateczniku Janukowycza – na wschodzie i południu Ukrainy.

Nie oznacza to jednak, że Kijów nie może liczyć na uprzywilejowane stosunki gospodarcze z UE, zwłaszcza, że związany z Janukowyczem tzw. „klan doniecki” dysponujący większością ukraińskiego przemysłu hutniczego i wydobywczego aktywnie stara się na Zachodzie konkurować z Rosją w poszukiwaniu nowych rynków zbytu.

Koniec paternalizmu

Wiktor Janukowycz, jak i Julia Tymoszenko to politycy dobrze w Warszawie znani. Podczas swojej pierwszej kadencji na fotelu premiera kraju (2002-2004) lider Partii Regionów sprawdził się jako przewidywalny i przede wszystkim pragmatyczny partner Polski. Z naszej perspektywy bardzo ważna wydaje się jego silna niechęć

do rehabilitacji dziedzictwa OUN i UPA, która była tak widoczna u Wiktora Juszczenki (jedna z ostatnich decyzji ustępującego prezydenta w sprawie uznania przywódcy UPA Stepana Bandery za bohatera narodowego Ukrainy przetrwała oczy jego nawet najbardziej bezkrytycznym polskim zwolennikom). Z pewnością przywódca zachowujący niechęć wobec banderowszczyzny jest dla naszego kraju lepszym partnerem.

Powielanie mało twórczych analiz z czasów „pomarańczowej rewolucji” nie ma dziś sensu. Sporym błędem jest uparte przykładanie do Janukowycza etykiety polityka prorosyjskiego. Skupiony na interesie ukraińskiego przemysłu lider „niebieskich” może być dla Moskwy o wiele trudniejszym partnerem niż powiązana z wielkim rosyjskim biznesem Julia Tymoszenko i werbalnie antyrosyjski Wiktor Juszczenko. Potwierdza to sama strategia Moskwy, nie powtarzającej dziś błędu sprzed pięciu lat, polegającego na obstawianiu jednego tylko kandydata do fotela przywódcy Ukrainy. Domniemania o zastosowaniu przez Rosję szantażu gazowego wobec Ukrainy przed drugą turą wyborów są w tym kontekście pozbawione podstaw i stanowią wyraz uwięzienia w przestarzałych schematach.

Wydaje się, że w stosunkach polsko-ukraińskich (w podobnym stopniu dotyczy to też relacji z innymi krajami Wschodu) nastąpił koniec paternalistycznej polityki pouczenia naszych sąsiadów, jaki model rozwoju politycznego i orientacja geopolityczna będzie dla nich najlepsza. Aby pozytywnie i z sukcesami rozwijać współpracę, trzeba często zejść z poziomu mentora i zwyczajnie zaakceptować wybory innych.

Nie oznacza to, że w relacjach ze wschodnimi sąsiadami nie powinniśmy dbać o własne interesy – w przypadku Ukraińców powinno być to przede wszystkim zabieganie o dobry poziom wymiany handlowej, inwestycyjnej oraz naukowo-kulturalnej. W sferze zaś polityki historycznej, Warszawa musi wyraźnie przeciwdziałać rehabilitacji tradycji banderowskiej. Nowa administracja sprawująca władzę w Kijowie może być w tej strategii sojusznikiem. ■

Gniew króla zwiastunem śmierci (...)/ W pogodnym obliczu króla jest życie” (Prz 16, 14–15)

W uścisku władzy

Paweł Borkowski

Władza, będąca jednym z najpowszechniejszych zjawisk w świecie, ma podwójne oblicze: raz odczuwamy ją jako brzemię, raz jako błogosławieństwo, zależnie od tego, jakie cele sobie wyznacza i jak nas traktuje.

Boska geneza władzy

Sam wyraz „władza” też jest dwuznaczny: może oznaczać zarówno sam fakt władania kimś lub czymś, jak i uprawomocnienie do sprawowania takich rządów. Mamy zatem władzę *de facto* i *de iure*. Znamy też różne jej odmiany: świeckie i sakralne, publiczne i prywatne, boskie i ludzkie, diabelskie i anielskie, które Biblia określa jako „Moce”, „Zastępy”, „Trony” itp. Różnią się one między sobą zadaniami i charakterem, a także ustąpieniem (hierarchia władz).

Pismo Święte poucza, że wszelka władza – tak jak życie, piękno, dobro itp. – pochodzi od Boga. Tę prawdę dobitnie głosi św. Paweł w słynnym i często przytaczanym fragmencie Listu do Rzymian: „Każdy niech będzie poddany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga” (Rz 13, 1).

Jak to – chciałoby się zapytać – czy więc Bóg ustanowił nie tylko władzę w ogóle, lecz także *in concreto*? A władza

Hitlera, Stalina, Fidela Castro, Mao Tse-tunga, Baracka Obamy, władza różnej maści demagogów i partyjnych podżegaczy też została nadana im przez Boga?

Na to pytanie pośrednio odpowiedział sam Pan Jezus, mówiąc do Piłata w pretorium: „Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry” (J 19, 11). Nasuwa się wniosek, że jeśli Bóg w którymś momencie dziejów powierzył Poncjuszowi Piłatowi władzę nad swoim Synem, to tym bardziej mógł powierzyć Adolfowi Hitlerowi władzę nad synami narodu niemieckiego, czeskiego, polskiego itd., jak również Józefowi Wis-

sarionowiczowi Dżugaszwilemu (pseudonim partyjny „Stalin”) władzę nad ludem rosyjskim, litewskim, gruzińskim itd. Wprawdzie wydaje nam się to dziwne i niezrozumiałe, ale pamiętajmy o tym, co powiedział Pan Bóg ustami proroka Izajasza: „Bo myśli moje nie są myślami waszymi/ ani wasze drogi moimi drogami (...). Bo jak niebiosa górują nad ziemią,/ tak drogi moje – nad waszymi drogami/ i myśli moje – nad myślami waszymi” (Iz 55, 8–9). Wy tłumaczenie to, jakkolwiek bardzo ogólne, musi nam chwilowo – to znaczy do końca świata – wystarczyć.

Ucisk i ulga

Pan Jezus wypowiedział też inne znamienne słowa dotyczące władzy: „Wiecie, że ci, którzy uchodzą za władców narodów, uciskają je, a ich wielcy dają im odczuć swą władzę” (Mk 10, 42). Rzeczywiście tak jest, o czym boleśnie przekonujemy się na własnej skórze. Weźmy pod uwagę państwowe tajne służby: czy ich struktury i stosowane przez nie metody różnią się chociaż trochę od tego, jak funkcjonują wysoce zorganizowane grupy przestępcze? A wszelkie cła, podatki, talmudyczne przepisy prawne, które coraz liczniej się mnożą i coraz bardziej przeszkadzają ludziom w pracy, nauce, handlu, wypoczynku? Wszystko to jest zatrutym owocem ludzkiej władzy, która nie chce znać żad-



Św. Tomasz z Akwinu wskazał wyraźnie, że posłuszeństwo wobec władzy ma granice

nych granic i powiększa się *ad infinitum*. Doświadczenie bowiem wskazuje, że z rozszerzaniem zakresu rządzenia jest tak samo jak z jedzeniem solonych orzeszków albo prażonej kukurydzy przed telewizorem: łatwo zacząć, bardzo trudno przestać.

W takim razie można by powiedzieć: „Zlikwidujemy wszelką władzę i żyjemy jedynie pod słońcem Boga”. Tak chyba było w epoce dziecięctwa ludzkości, czyli w Raju, gdzie Stwórca powierzył człowiekowi władzę nad pozostałymi rodzajami stworzeń żywych i nad całą planetą: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi” (Rdz 1, 28). Jeszcze nie było mowy o tym, że Bóg powierza ludziom panowanie nad sobą nawzajem. Władza w stosunkach międzyludzkich – przynajmniej w swojej skrajnej formie dominacji – pojawiła się dopiero po grzechu pierwszych rodziców. Wtedy to Bóg powiedział do Ewy: „(...) ku twemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienia, on zaś będzie panował nad tobą” (Rdz 3, 16). Pierwszym zaś władcą politycznym, o którym wspomina Stary Testament, był Nimrod, syn Kusza (zob. Rdz 10, 8–12). Możliwe zatem, że władza pomiędzy ludźmi powstała z woli Boga jako pewne remedium na zło chaosu wynikające z grzechu Adama i Ewy.

Pomysł na życie społeczne, który zmierza do zniesienia wszelkiego rodzaju władzy, nazywamy anarchizmem. Wydaje się on atrakcyjny, ale w gruncie rzeczy prowadzi donikąd. Po pierwsze, trzeba pamiętać, że *abusus non tollit usum*, czyli nadużywanie nie odbiera prawomocności używaniu; na przykład jeżeli ktoś je za dużo, to z tego nie wynika, że powinien w ogóle powstrzymać się od jedzenia, więc jeżeli władza bywa zła, to nie znaczy, że w ogóle powinna przestać istnieć. Po drugie, władza w żadnym wypadku nie zniknie, bo zawsze znajdują się chętni do tego, żeby ją uchwycić i dzierżyć, chociażby za cenę oszustw i krwi (a zatem „władza anarchistów” wcale nie byłaby paradoksem!). Po trzecie wreszcie, władza nie tylko wywiera presję, lecz także przynosi pewną ulgę, przynajmniej zabezpieczając nas w jakiejś mierze przed

chciwością i dominacją bliźnich, a czasami także dbając o dobro wspólne, mianowicie o jego tworzenie, zabezpieczenie i rozdzielanie. Uścisk panujących okazuje się więc zarówno przyjaźielski, jak i wężowy.

Korzyści z pełnienia władzy

Powiedzieliśmy, że zawsze i wszędzie znajdują się chętni do rządzenia. Wynika to z faktu, że władza (polityczna, biznesowa itp.) przynosi pewne istotne korzyści. Spośród nich możemy wymienić następujące:

- 1) Ten, kto rządzi, sam nie podlega rządowi, a przynajmniej podlega im w ograniczonym zakresie, odwrotnie proporcjonalnym do zakresu swojej władzy. Mówiąc po prostu, z poddanego czy niewolnika staje się on panem, niezależnym od nikogo albo zależnym tylko od nielicznych. Dzięki temu może sobie pozwolić na wiele, chociaż oczywiście przeważnie stara się zachować pewne pozory, zgodnie z prawidłem, które celnie ujął Jerzy Orwell (Eryk Artur Blair): „Przestrzegając błahych praw, można łamać wielkie” (*Rok 1984*).
- 2) Władza daje, aczkolwiek z reguły tylko czasowo, rozmaite przywileje szczegółowe, określane jako jej zewnętrzne znamiona: luksusy codziennego bytowania, bezpieczeństwo itp. – a więc to wszystko, do czego ogół ludzi dąży z wielkim wysiłkiem i najczęściej z mizernym skutkiem.
- 3) Dochodząc do rządów, stajemy się częścią pewnej elity, a istotą elity jest to, że pozostaje ona oddzielona od „hołoty”. Dzięki panowaniu nad innymi możemy więc czuć się lepsi.
- 4) Władza pozwala się wzbogacić, zarówno sposobami uczciwymi, jak i nieuczciwymi czy bezprawnymi – w tym drugim przypadku na ogół bezkarnie. To sprawia, że wielu sięga po nią jedynie dla zaspokojenia (w nadmiarze) swoich potrzeb materialnych.

Czy władza musi być zła?

Czy władza lub polityka musi być zła i czy praktyczne zajmowanie się nią musi kłaść człowieka? Tak zwykło się mniemać

(mając oczywiście na względzie władzę publiczną). Niektórzy wprost przyznają, że kto chce pełnić władzę, ten musi się wyżyć wszelkich skrupułów. Najstynniejszym chyba przedstawicielem tego nurtu myślenia stał się florencki myśliciel i urzędnik Mikołaj Machiavelli. Z kolei starożytny mędrzec Sokrates uważał, że w polityce, a zwłaszcza w demokracji, nie ostości się żaden człowiek prawy, gdyż młotłoch go przewróci i zadecze: „Nie ma takiego człowieka, któremu by (...) tłum przepuścił, jeżeli mu ktoś szlachetnie czoło stawia i nie pozwala na krzywdy i bezprawia w państwie; człowiek, który naprawdę walczy w obronie słuszności, (...) musi koniecznie wieść żywot prywatny, a nie publiczny” (Platon, *Apologia*).

Opinie te, choć radykalne, kryją w sobie niemałe ziarno prawdy. Na ogół bywa tak, że ludzie dobrzy nie bardzo umieją lub chcą rządzić, dlatego władza przypada złym albo i najgorszym, którzy potrafią ją zdobyć i utrzymać bez względu na koszty (oczywiście cudze koszty). Wszyscy pragniemy mieć władców zarazem silnych, dobrych i mądrych, tacy jednak trafiają się niezmiernie rzadko. Nic dziwnego, że wdzięczna pamięć o ich życiu i działalności, a także tęsknota za nimi utrzymuje się w narodach przez wieki.

Granica posłuszeństwa

Pomimo wszelkich nadużyć jesteśmy winni władzom posłuszeństwo, o czym nam przypomina Apostoł Narodów. Posłuszeństwo to jednak ma granicę, na którą wyraźnie wskazał św. Tomasz z Akwinu. Idąc za jego myślą, autorzy *Katechizmu Kościoła katolickiego* zwracają uwagę, że „jeśli sprawujący władzę ustanawiają niesprawiedliwe prawa lub podejmują działania sprzeczne z porządkiem moralnym, to rozporządzenia te nie obowiązują w sumieniu” (pkt 1903).

W Polsce – a właściwie w Unii Europejskiej, gdyż relatywnie samodzielne państwo polskie niedawno przestało istnieć – szybkimi krokami zbliżamy się do tej niewidzialnej granicy, a na niektórych odcinkach już ją przekroczyliśmy. Dlatego rodzi się obowiązek obywatelskiego nieposłuszeństwa. ■

Kontemplacja dzieł sztuki zbliża nas do Boga i do drugiego człowieka

Przez piękno do Boga

Adam Wątróbski

Dzieło sztuki rodzi się i funkcjonuje zawsze na granicy dwóch światów: świata zewnętrznego, zmysłowego i materialnego oraz świata wewnętrznego, świata emocji, intelektu i ostatecznie ducha. Oba światy są ze sobą nierozzerwalnie połączone na płaszczyźnie dzieła, i w obu w równym stopniu ów dzieło ma swój udział.

Etap percepcji zmysłowej dzieła sztuki w płynny sposób przechodzi w fazę wewnętrznego przyjmowania treści przekazywanej za jego pośrednictwem. Innymi słowy dusza, za pośrednictwem zmysłów dotknięta ładunkiem piękna, ulega jego wpływowi i może zostać poddana działaniu wynoszącemu i uwrażliwiającemu ją na Boga.

Jaka kultura prowadzi do Boga?

Warto w tym miejscu zrelacjonować równoległe dwa niedające się ze sobą pogodzić rozumowania. Choć oba obecne są w historii myśli estetycznej reprezentowanej przez myślicieli chrześcijańskich, to jednak odpowiedzi na powyższe pytania oparte na nich są radykalnie różne.

Z jednej strony można, przytaczając myśli mistrzów średniowiecznych, pokazać klasyczne rozstrzygnięcia dotyczące wzajemnej relacji piękna i Boga. Święty Albert Wielki pisał „Wśród rzeczy istniejących aktualnie nie ma takiej, która by nie miała udziału w pięknie i dobru.” Oznacza to, że wszystkie byty stworzone są

zarazem piękne i dobre, to co wyszło z „rąk Boga” musi takie być, gdyż sam Stwórca jest doskonały. Dlatego uczeń św. Alberta, Ulryk ze Strasburga, mógł



Michał Anioł – „Pieta”

wyrazić myśl: „Bóg jest nie tylko doskonale piękny i najwyższym stopniem piękna, ale jest też przyczyną sprawczą, wzorcową i celową wszelkiego stworzonego piękna.” Nie tylko więc jest tak, że wszystko to, co stworzone zawdzięcza swą doskonałość pochodzeniu od Boga, lecz także wszystko znajduje swój

ostateczny sens w Bogu. Skoro tak, to i prawdziwa, będąca sposobem odnalezienia się człowieka do transcendencji sztuka, niosąc w sobie ładunek piękna, prowadzi duszę do Boga.

Jeśli jednak podobnie jak Kierkegaard skonstatujemy, że między wrażliwością etyczno-religijną a estetyczną istnieje głęboka przepaść, to napełnianie duszy przez treści dostarczane przez sztukę (choćby nawet była ona przepełniona treściami religijnymi) wcale nie musi prowadzić do odnalezienia Boga. Jak każe sądzić obserwacja, bywa, że wręcz przeciwnie – osoba pozostająca w tak zwanym „estetycznym stadium życia”, choćby nawet i obcować ze sztuką sakralną, czyni to pozostając jedynie na poziomie smakosza, poszukiwacza różnorodności. Okazuje się zatem, że warunkiem *sine qua non* religiotwórczego oddziaływania sztuki na osobę jest wewnętrzna dyspozycja duszy. Człowiekowi potrzeba jakiegoś szczególnego uwrażliwienia, które pozwoliłoby mu na poznawanie Boga obecnego w kulturze.

Kontemplacja piękna jako dar

Owo dobrowolnie zaakceptowane przez odbiorcę, będące wynikiem Boskiego działania, wpływanie sztuki na duszę odbywa się zasadniczo w dwóch wymiarach: wertykalnym i horyzontalnym. Z jednej strony bowiem dusza

na skutek kontemplacji piękna dotyka piękna samego Boga. Oczywiście, należy mieć w pamięci fragment Ewangelii św. Jana „Boga nikt nigdy nie widział, Ten Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, /o Nim/ pouczył.” (J 1,18), niemniej obcowanie ze sztuką owocuje nie tylko wyrabianiem się gustu człowieka, lecz także uwrażliwia jego wewnętrzne zmysły. Owa zbieżność między doświadczaniem Boga w relacji religijnej a odkrywaniem piękna w sztuce jest oczywiście ograniczona.

Snując refleksje nad bliskim problematyce recepcji sztuki zagadnieniem twórczości, ks. Jan Sochoń tak pisze o teoretycznych intuicjach malarza i znawcy sztuki Józefa Czapskiego: „Oczywiście, należy rozróżnić pomiędzy doświadczeniem religijnym a doświadczeniem estetycznym. Łączy je – co najwyżej – wspólny moment, zwany przez Czapskiego <<wizją>>, która jest pewnym syntetycznym, jedynym widzeniem otaczającego świata. Trudno wyjaśnić jej źródła. W twórczym przeżyciu zjawia się niespodziewanie, nieoczekiwanie. Czapski nawiązuje tu do terminologii chrześcijańskiej, wprowadzając pojęcie łaski, co sugeruje, że współdziałanie artysty i wizji-daru jest głęboką tajemnicą.” Można, mając dużą szansę na wyrażenie słusznego przypuszczenia, zaryzykować hipotezę, że sytuacja odbiorcy sztuki wygląda podobnie do twórcy, on także potrzebuje, pewnego poruszenia płynącego z góry, może już nie tyle wizji lecz z pewnością daru i łaski.

Oprócz owego, można powiedzieć, mistagogicznego charakteru sztuki sakralnej wspomnieć należy również o tym, że uwrażliwienie na piękno w niej zawarte pozwala na odkrycie duchowego piękna i unikalności drugiego człowieka. Oddziałuje zatem sztuka również w wymiarze horyzontalnym, lecz schemat owego działania zdaje się bardziej skomplikowany niż w wypadku oddziaływania wertykalnego. Przede wszystkim także i tutaj istotny jest jed-

nak aspekt działania łaski. Bez niej odbiorca sztuki, na przykład meloman uczestniczący w koncercie, na którym wykonywany jest choćby „Mesjasz” Händla, nie pochyli się nad „jednym z braci najmniejszych”, nie dostrzeże go pozostając na poziomie zsekularyzowanego konsumenta wyrafinowanych arcydzieł.

Wspólnota piękna

Dochodzi tutaj do płynnego przejścia do kolejnego, ostatniego etapu oddziaływania tekstu kultury sakralnej na człowieka – recepcja sztuki zaczyna wydawać dostrzegalne na płaszczyźnie społecznej owoce. Wracając do meritum, przy założeniu, że odbiorca wrażliwy jest na dar nieba, warto podejmując ten problem dokonać pewnego rozróżnienia. Otóż możliwe są zasadniczo dwa rodzaje sytuacji, w których odbywa się recepcja sztuki sakralnej: albo dzieje się to „przy okazji” czynności religijnych, na przykład podczas liturgii, albo poza kontekstem religijnym, na przykład podczas prywatnej lektury. W pierwszym wypadku w oddziaływaniu sztuki na płaszczyźnie wertykalnej ujawni się najwyraźniej budowanie więzi między uczestnikami wydarzenia (szczególnie, gdy ma ono kameralny charakter), wspólnota odbioru będzie ich jednoczyć. Zjawisko to, choć różnorodnie przebiegające w zależności od poziomu estetyczno-kulturowej wrażliwości odbiorców sztuki, jest powszechne. Może dotyczyć stosunkowo niewielkiej grupy religijnej, na przykład parafii, w której obraz patrona pełni funkcję ikony, odnoszącej się do osoby świętego albo większych społeczności, jak w wypadku peregrynacji kopii cudownego wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej po polskich kościołach.

Oddziaływanie horyzontalne sztuki, niezależnie od tego czy prywatne, czy religijno-wspólnotowe owocuje także wytworzeniem się pewnego kulturowego kodu myślenia, uzdalnia do operowania obrazami (stąd cały szereg motywów powtarzających się w sztuce chrześcijańskiej, na przykład motyw

Deesis, przedstawienie Chrystusa fra-sobliwego), które mają jasne znaczenie symboliczne. Można powiedzieć zatem, że sztuka sakralna współtworzy ludzką tożsamość, wytwarzając jednocześnie pewne unikalne sposoby międzyludzkiej komunikacji.

„Pieta”

Mając na uwadze powyższe ustalenia przyjrzyjmy się teraz dokładniej dziełu jednego z artystów, który na stałe wpiisał się w poczet twórców sztuki chrześcijańskiej – Michała Anioła. „Pieta” to kompozycja dwóch postaci: Matki Bożej i spoczywającego na Jej na kolanach ciała zdjętego z krzyża Chrystusa. Odbiorca patrzący na dzieło Michała Anioła za pośrednictwem zmysłów zostaje wprowadzony w Misterium męki i śmierci Pana Jezusa. Patrząc na bezwładne ciało Zbawiciela zostaje zaproszony do medytacji nad bezmiarem miłości tego, który „nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi. A w zewnętrznym przejawie, uznany za człowieka, uniżył samego siebie, stawszy się podobnym do śmierci – i to śmierci krzyżowej.” (Flp 2,6nn)

Ujawnia się tutaj wspomniany wymiar wertykalny sztuki sakralnej, lecz spojrzenie na Matkę i Syna prowadzi również do uświadomienia sobie przez odbiorcę głębokiej relacji łączącej Madonnę ze zmarłym. Zanurzona w smutku trzyma go teraz tak, jak tuliła Go do snu, gdy jako dziecko pogrążony w biernej ufności zasypiał jej na rękach. Ostrożny, wyrobiony odbiorca, o wrażliwych zmysłach dostrzeże w tej rzeźbie więcej, wiele powie mu na przykład sposób w jaki Maryja trzyma lewą dłoń. Jej bezwład i rozluźnienie, symbolizuje bezradność, zdziwienie i smutek. Maryja trwa w swoim *fiat* w sposób milczący i swoją postawą zaprasza odbiorcę do przyjęcia Chrystusa i miłości bliźniego.

Reasumując pozostaje jedynie wyrazić nadzieję, że Bóg ukryty w kulturze da się poznać i obdarzy szukających Go radością płynącą ze swojej obecności. ■

Szekspir nie mógł ujawnić, że jest katolikiem, przeciwnie musiał to ukrywać

Echo Objawienia

Z ks. prof. Jackiem Bolewskim SJ, teologiem, autorem książki *Objawienie Szekspir*, rozmawia Andrzej Jakubik

Czy religia stanowi klucz do zrozumienia twórczości Williama Szekspira?

Tak chyba jednak nie można powiedzieć. Oczywiście, w twórczości Szekspira można odnaleźć wiele elementów biblijnych, lecz materiałem, z którego

nynych pozostaje taka sama i może przemawiać do ludzi wszystkich czasów.

Jak powiedziałem, Szekspir nie był oryginalny jako twórca fabuł, a jego geniusz polegał na tym, że on ze znanych fabuł potrafił stworzyć arcydzieła, czyli

ka. To one naprowadziły mnie na wiele różnych inspirujących skojarzeń. Rozważmy na przykład postawę Hamleta - dlaczego waha się przed pomszczeniem ojca?

Większość zapewne odpowie, że w szkole uczyło się, iż „hamletyzowanie” tej postaci wynika z braku pewności. A jak to widzi teolog?

Moim zdaniem Hamlet waha się, dopóki nie jest pewny, czy to dobry, czy zły duch mu podpowiada. Gdy tę pewność zyskuje, wtedy działa zdecydowanie. Ponadto Szekspir ukazuje nam bardzo chrześcijańską postawę. A mianowicie, żeby nie odpowiadać złem na zło, bo to nakreśla spiralę śmierci.

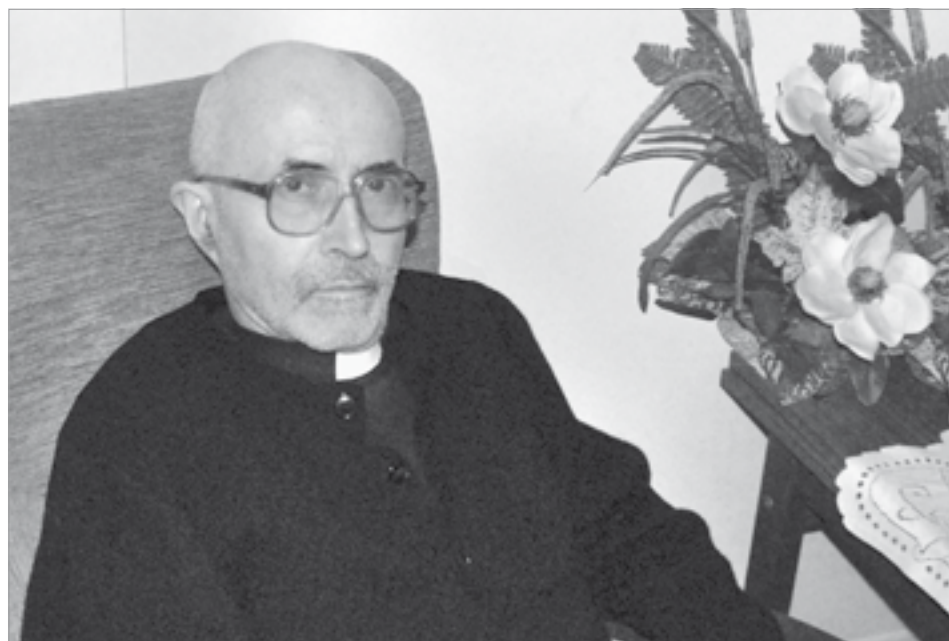
Jakie inne wartości chrześcijańskie przejawiają się w jego sztukach?

Dla mnie osobiście najbardziej poruszające są te sztuki, w których widzimy przemianę bohaterów. Tak jest na przykład w „Wiele hałasu i nic”, „Miarce za miarkę”, „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” czy w „Kupcu weneckim”. Ogólnie można powiedzieć, że w dziełach tych Szekspir pokazuje, że sama sprawiedliwość nie wystarczy. Że potrzebne jest miłosierdzie. A przecież to miłosierdzie jest najgłębszą i najbardziej chrześcijańską prawdą.

I dlatego swoją książkę analizującą sztuki mistrza ze Stratfordu zatytułował *Książd Objawienie Szekspira*?

Ten tytuł zawiera tezę, że poglądy Szekspira są tak głębokie, iż można w nich odnaleźć echo czy światło Objawienia.

A czy przystępując do swojej pracy, słyszał Książd profesor o tym, że Szekspir zachował wiarę katolicką?



Ks. prof. Jacek Bolewski dostrzega chrześcijańskość Szekspira w przekonaniu, że sama sprawiedliwość nie wystarcza, potrzebne jest miłosierdzie | Fot. Dominik Różański

czepał inspiracje, była nie tylko Biblia, ale także kroniki angielskie i rzymskie oraz dzieła innych autorów.

Dlatego uważam, że jeśli ktoś chce odkryć w jego dziełach religijne odniesienia, to sam musi być człowiekiem religijnym, a więc osobą otwartą na sprawy wiary. W przeciwnym wypadku, czytając Szekspira, można się skupić na czymś innym. Na przykład Jan Kott w książce „Szekspir współczesny” odczytuje go jako analityka władzy.

Gdzie dostrzega Książd profesor głębie dzieł Szekspira?

W prawdzie o człowieku oraz ludzkiej naturze, która mimo zmian cywilizacyj-

postaci, które tworzył na kanwie wcześniejszych „schematów”, umiał obdarzyć głęboką ludzką prawdą.

Czy właśnie ta „prawda o człowieku” skłoniła wykładowcę teologii do zajęcia się dziełami Szekspira?

Jako teolog staram się dzielić tym, co mnie osobiście fascynuje nie tylko w teologii, ale również w innych dziedzinach, więc kiedy w literaturze znajduję rzeczy naprawdę mnie pobudzające, to także staram się po prostu tym dzielić.

W przypadku Szekspira konkretną zachętą do pisania o jego sztukach były pierwsze przekłady Stanisława Barańczaka-

Przede wszystkim interesowało mnie to, co mogę znaleźć na temat Boga i człowieka u Szekspira. Sama kwestia tego, że mógł on być katolikiem, nie leżała w polu moich zainteresowań. Niemniej zasiadając do pisania, wiedziałem, że są takie głosy wśród szekspirologów. Czytałem na ten temat artykuły i książkę Hildegard Hammerschmidt-Hummel *Die verborgene Existenz des William Shakespeare*.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tej książce, bo nie została ona przetłumaczona na język polski i jej percepcja jest ograniczona. Czy to nie jest zastanawiające, że to niemiecka autorka dowodzi katolicyzmu Szekspira, a nie zrobił tego nikt z rodaków dramaturga?

Mówiąc dokładnie, punktem wyjścia było odkrycie dokonane w Anglii w 1966 roku. Okazało się, że najbardziej znany portret Szekspira z 1609 roku – który notabene posłużył potem jako model do ryciny dołączonej do pierwszego wydania dzieł pośmiertnych – był malowany z modelu, a więc sam Szekspir musiał pozować artyście. Badania przeprowadzone ponad 300 lat później pokazały, że portret został namalowany na bardzo cennym obrazie maryjnym. A to oznacza, że Szekspir pozując do portretu, musiał świadomie zgodzić się, żeby ten obraz zamalować.

Jakie mogły być przyczyny takiego postępowania?

Motywow mogło być kilka. Przypuszczalnie Szekspir obraz ten dostał od swojej matki, która była katoliczką i krótko wcześniej umarła. Jednak zachowanie obrazu w niezmięnionej formie było niebezpieczne, więc on go zabezpieczył w najlepszy możliwy sposób – malując na nim swój portret. Mówiąc symbolicznie, Szekspir samym sobą osłonił Matkę Bożą, co świadczy o bliskiej relacji do tej ważnej osoby.

Czy to nie jest zaskakujące, że odkrycie dokonane w Anglii, przez lata nie było przedmiotem dalszych dociekań. Mogliśmy za to czytać hipotezy o tym, że Szekspir był żołnierzem,

arystokratą... Dlaczego sama hipoteza o katolicyzmu dramaturga pojawiła się tak niedawno?

W Anglii do niedawna dominowała religia anglikańska. Przypomnę, że w tamtym ustroju królowa jest jednocześnie głową kościoła anglikańskiego i głową państwa, więc Anglicy bardzo się utożsamiają z religią anglikańską. I to, że ich największy geniusz miałby się wyłamywać z tego obrazu, jest dla nich nie do przyjęcia.

Trzeba też powiedzieć, że w Anglii katolicy byli przez długi czas dyskryminowani. Na Wyspach katolicyzm jest ciągle uznawany za element trudny, bo niezależny.

Teraz dowodów wskazujących na to, że Szekspir mógł być katolikiem, jest coraz więcej, lecz część z nich jest bardzo stara, na przykład korzenie rodzinne czy sprawa domu Szekspira, w którym potajemnie spotykali się katolicy na Mszach św.

Panowało przekonanie, że o życiu Szekspira niewiele wiemy. Niektórzy podejrzewali nawet, że autor tych sztuk nie mógł być aktorem. Inni twierdzili, że musiał być to ktoś o wiele bardziej wykształcony. Jeszcze inne hipotezy mówiły, że to grupa osób pisała sztuki. Biografia Szekspira była więc w tajemniczy sposób zakryta.

Dzisiaj natomiast, kiedy coraz więcej jest argumentów za jego katolicyzmem, to ukryty charakter biografii można wytłumaczyć w ten sposób, że Szekspir nie mógł ujawniać się z tym, co dla niego było najważniejsze. Przeciwnie musiał to ukrywać.

A czy w sztukach Szekspira można doszukać się katolicyzmu?

Trudno jest wskazać sztuki, w których katolicyzm był szczególnie wyczuwalny. Są to raczej ślady. Na przykład w sztuce *Romeo i Julia* istotną rolę odgrywa zakonnik, chociaż nie do końca pozytywną. Z kolei w *Wiele hałasu o nic* zakonnik pomaga udowodnić niewinność niesłusznie oskarżanej bohaterki. W innych dziełach w pozytywnym kontekście pojawia się Matka Boża, możemy też znaleźć prawdy o czystości.

Myszę, że jego strategia jeśli tak można powiedzieć w pokazywaniu katolicyzmu polegała na tym, aby pokazywać katolicyzm w znaczeniu etymologicznym. Katolicki to znaczy powszechny. Nieograniczony do jednego wyznania, lecz będący prawdą, która może powszechnie obowiązywać.

A jak zakwalifikować poemat *Feniks i gołębicą*?

Rzeczywiście, w tym wypadku interpretatorzy długo nie wiedzieli, co oznacza ten tekst. Natomiast przeczuwali w nim jakieś zaszyfrowane prawdy. I obecnie twierdzą, że to jest rodzaj elegii na śmierć pewnej wdowy katolickiej, straconej za wyznawanie swojej wiary. Kobieta była wdową, bo jej mąż musiał opuścić Anglię, także z powodu wiary, i zmarł na wygnaniu.

A czy trwająca obecnie wystawa w Papieskim Kolegium Angielskim w Rzymie coś nam wyjaśnia?

Ślady wpisów nie do końca są jednoznaczne, bo nie zostało tam wprost napisane, że to William Szekspir. Podpisała się raczej, i to trzykrotnie, osoba pochodząca ze Stratfordu – choć ukrywanie przez nią tożsamości może wskazywać, że był to młody katolik, który ciągle jeszcze się formował, kształcił, zanim po „wypłynięciu” w Anglii, do której wrócił, zwrócił na siebie uwagę jako wybitny dramaturg. Trzeba przypomnieć, że część jego sztuk dzieje się we Włoszech. Badaczy intrygowało, skąd on tak dobrze zna topografię i szczegóły lokalne. Dlatego przyjęcie co najmniej kilkakrotnych pobytów we Włoszech przybliżyło wyjaśnienie tej zagadki. Dodam jeszcze, że to właśnie wspomniana profesorka niemiecka jako pierwsza wpadła na pomysł, by przejrzeć pod tym kątem archiwalne zapisy w rzymskim Kolegium i zaskakujące odkrycie opublikowała w swojej książce. ■

Jacek Bolewski SJ – kapłan-jezuita, teolog, profesor dogmatyki i kierownik katedry antropologii teologicznej na Papieskim Wydziale Teologicznym Bobolanum w Warszawie.

Mało znany jest fakt, że Bolesław Prus w swojej publicystyce był apologetą chrześcijaństwa

Bolesław Prus jako obrońca religii

Grzegorz Łęcicki

Pamiętamy Bolesława Prusa (1847–1912) głównie jako autora *Lalki*, *Placówki*, *Faraona*, *Emanypantek* oraz opowiadań i nowelek dotyczących ludzkiego cierpienia, biedy, choroby, niedoli, nieszczęścia. *Antek*, *Kamizelka*, *Katarynka*, *Anielka* wraz z wcześniej wymienionymi powieściami należały nie tylko do zestawu obowiązkowych lektur szkolnych, ale również do kanonu książek, które każdy inteligentny Polak powinien znać. Mniej znany jest Prus jako felietonista. W publicystyce okazał się apologetą religii.

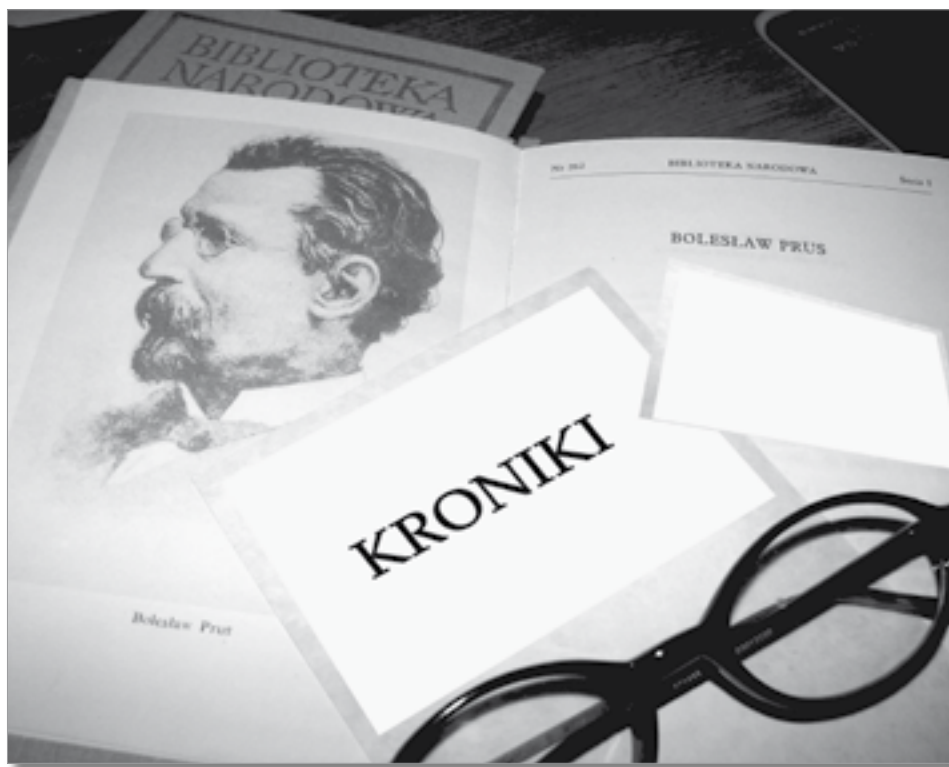
Bardziej wtajemniczeni w biografię pisarza wiedzieli, że był on nie tylko znakomitym literatem (choć zawsze pozostawał w cieniu twórczości Henryka Sienkiewicza), ale przede wszystkim dziennikarzem i publicystą, ojcem i klasykiem polskiego felietonu. Jego *Kroniki tygodniowe* ukazywały się w stołecznej prasie (w „Kurierze Warszawskim”, „Kurierze Codziennym”, „Tygodniku Ilustrowanym”) niemal przez 40 lat i stanowiły swoistą, oryginalną, ważną i liczącą się w opinii społecznej instytucję kulturalną. Do dziś są niezastąpionym źródłem wiedzy o Warszawie przełomu XIX i XX wieku. Prus wnikliwie obserwował niemal wszystkie płaszczyzny życia społecznego; zajmował się ekonomią, gospodarką, różnymi dziedzinami kultury i cywilizacji, postępem technicznym i nowymi wynalazkami, przemianami obyczajów, historią; na ile było to możliwe w warunkach carskiej cenzury podejmował problem polskiej tożsamości i tradycji narodowej, omawiał problemy polityczne, był niestrudżonym orędownikiem oświaty i popularyzatorem wiedzy.

Opisywał zwykłych ludzi, codzienne troski, przeróżne problemy, czyli dole i niedole warszawiaków, ich dni powszednie i świąteczne. Dzięki *Kronikom tygodniowym* Prus stał się najbardziej znanym polskim publicystą; cykliczne felietony

przyniosły mu sławę i popularność nie tylko ze względu na szeroki zakres omawianych zagadnień; specyficzna forma

Publicysta niezależny

W czasach PRL-u, czyli epoce programowej walki państwa z religią i Kościołem, skrętnie unikano akcentowania wszelkich wątków religijnych w polskiej i obcej literaturze, także tej klasycznej, należącej do kanonu lektur narodowych. Zakwalifikowanie literackiej i dziennikarskiej twórczości Bolesława Prusa do epoki pozytywizmu stanowiło jednoznaczny konotację



Apologetyczne teksty Prusa o religii ukazywały się w „Kronikach Tygodniowych” i felietonach | Fot. Dominik Różański

publicystyki Prusa też była jej ogromną zaletą. Odwaga, występowanie przeciw zakłamanemu i konwenansom, przekora połączona z lekkością narracji, okraszona inteligentnym dowcipem, błyskotliwym humorem, trafnym żartem przyczyniała się do popularności Prusa jako dziennikarza i publicysty oraz poczytności jego felietonów.

z ideologią kwestionującą nauczanie Kościoła i wartość religii. Przeświadczenie o tym, że nauka, wiedza, postęp (głównie techniczny, cywilizacyjny) wyjaśnia wszelkie zagadki wszechświata i spowodują powszechną szczęśliwość, redukowałą jednocześnie człowieka i cel jego egzystencji do wymiaru materialnego, doczesnego, co było

w sprzeczności z istotą orędzia chrześcijańskiego. Prus, początkowo bezkrytycznie zafascynowany pozytywizmem, przeżył jednak ogromny duchowy wstrząs, gdy obserwował (w Mławie 19 sierpnia 1887 roku) zaćmienie słońca. To doświadczenie nosiło cechy silnego przeżycia religijnego, odkrycia, że istnieją jednak dwa światy: ziemski i niebieski. Przekonanie o istnieniu dwóch wymiarów rzeczywistości, materialnego i duchowego, nie podważało znaczenia wiedzy, nauki, pragnienia poznawania wszelkich tajemniczych sfer i zjawisk. Prus, ulegając zainteresowaniu spirytyzmem, będącym cechą charakterystyczną tamtych czasów, uczestniczył w seansach spirytystycznych z udziałem słynnego włoskiego medium, Eusapii Palladino, oraz interesował się parapsychologią, hipnotyzmem, telepatią; w 1900 roku w Wiśle był gościem słynnego okultysty, Juliana Ochorowicza.

Pisarz, głośno wyznający niezależność przekonań, potrafiący odważnie przeciwstawić się opinii społecznej (jak było w przypadku krytykowania budowy pomnika Mickiewicza w Warszawie; Prus uważał bowiem, że potrzebniejsze od pomników są szkoły), zauważył coraz bardziej napastliwe tony w ideologiach radykalnych występujących przeciw Kościołowi, chrześcijaństwu i religii. W felietonach pisanych pod koniec życia i publikowanych w „Tygodniku Ilustrowanym” w latach 1908–1911 polemizował z poglądami materialistycznymi i antyreligijnymi.

Apologeta religii

Wobec ataków na religię, a szczególnie chrześcijaństwo, Bolesław Prus zastoso-
wał kilka sposobów obrony wiary. Akcentował przede wszystkim to, że każda religia w sposób znaczący oddziałuje na ludzkie dusze w celu ich uszlachetnienia, uwznioślenia. Pisał: „Religia (...) woli nakazuje (...) staczać wewnętrzne walki o cnotę i panowanie nad sobą; uczuciu zaleca życzliwość dla bliźnich, a nawet dla wszystkiego, co żyje (...) myśli naszej religia ukazuje – Boga Wszechmogącego

i Wszechmądrę, wiekuiste życie i doskonalenie się duszy ludzkiej” (9 maja 1908 r.).

Swoistym sposobem obrony religii było podkreślanie wszelkich cech pozytywnych wynikających ze znaczenia wiary dla ludzkiej duchowości, a więc rozumu, woli, emocji i prawidłowych relacji między nimi.

W znakomitym felietonie dotyczącym wolnej woli analizował dwie postawy wobec wolności; z jednej strony przedstawił ludzką wolność jako niczym nieskrępowaną skłonność do ulegania wszelkim zachciankom i pożądaniam, a więc nakreślił wizję wolności jako samowoli oraz człowieka stawiającego siebie w centrum wszechświata; takiemu obrazowi przeciwstawił fenomen ludzkiej wolnej woli jako rozumnego okiełznania własnych, egoistycznych pragnień. Pisząc o stwórczym dziele Boga, który obdarzył człowieka rozumem i wolną wolą, Prus podkreślił, że „rozumna wola jest to olbrzymia potęga, najcudowniejsza z tych, jakie działają wśród natury (...). Namysłać się, przewidywać wypadki, hamować wybuchy uczuć, przeczekać chwile nieodpowiednie to innymi słowy – znaczy kierować sobą, posiadać rozumną wolę (...). Rozumna wola, wyrażająca się między innymi panowaniem nad sobą, jest siłą bezcenną” (12 marca 1909 r.).

Kolejną taktyką Prusa, jako apologety religii, stało się akcentowanie pozytywnego wpływu wiary na kulturę i cywilizację. Felieton podkreślający wartość społecznego wymiaru religijności ma charakter wyjątkowy; jest to chyba jeden z najlepszych, najbardziej błyskotliwych, a zarazem jeden z najgłębszych tekstów prasowych Prusa: „Religia jest potęgą wielką i dobroczynną (...). Ona wskazuje nadludzkie cele, za którymi dążąc, człowiek wzmacnia swoje siły i rozwija zdolności. Ona, głosząc o życiu zagrobowym, uczy pogardzania śmiercią i męstwa w cierpieniach, czyli oswabadza człowieka od najgorszej niewoli (...). Religię zatem trzeba pielęgnować jak największy skarb, najsilniejszy motor cywilizacji (...). Religia prawdziwa daje moc woli, pogodę sercu, skrzydła rozumowi (...). Ona nie pole-

mizuje z nauką, gdyż nie wątpi, że nauka istotna wcześniej czy później potwierdzi najważniejsze prawdy wiary. Przecież ideałem religii jest Bóg wszechwiedzący i wszechpotężny, zaś ideałem nauki jest zrobić człowieka dużo wiedzącym i dużo mogącym, czyli – ukształtować go na podobieństwo Boże (...) geniusz rodzi się z mądrości, bohaterstwo – z trudów, a świętość – z religii” (27 listopada 1909 r.).

Bolesław Prus nie tylko nie był przychylny przeciwstawianiu wiary i religii, ale także występował przeciw obojętności religijnej. Uważał bowiem, że religia wywiera niezwykle pozytywny wpływ na duchowe życie narodów i społeczeństw; twierdził, że wiara w Boga „rozszerzy, pogłębi i podwyższy duszę ludzką; uraduje i złagodzi serca, wzmocni i uszlachetni wolę, podnieci twórczość umysłową” (12 lutego 1910 r.).

Wobec szerzących się ideologii laickich i materialistycznych, kwestionujących wartość i znaczenie chrześcijaństwa, Prus przypominał: „Chryścianizm w ogóle, a katolicyzm w szczególności, wielkie usiłowania skierował do tego celu, ażeby rozbudzić, rozwinąć i spotęgować wolę ludzką” (26 marca 1910 r.).

Za najważniejszy argument w apolo-
gii chrześcijaństwa Bolesław Prus uznawał i głosił wizję Boga wszechmocnego, wszechobecnego, wszechwiedzącego, sprawiedliwego, miłosiernego jako wiekuistego ideału i niewyczerpanego wzoru do naśladowania, wraz z głoszonym przez Chrystusa przykazaniem miłości, odnoszącym się również do nieprzyjaciół.

O tych mało znanych religijnych, apologetycznych wątkach w publicystyce Prusa warto wiedzieć i pamiętać. W dużym stopniu mają one bowiem znaczenie uniwersalne i ponadczasowe i w pewnym sensie odnoszą się nawet do dylematów współczesnej ludzkości. ■

Doktor Grzegorz Łęcicki jest specjalistą w zakresie teologii kultury, prorektorem Warszawskiej Wyższej Szkoły Humanistycznej im. Bolesława Prusa, wykładowcą w Instytucie Edukacji Medialnej i Dziennikarstwa na Wydziale Teologicznym UKSW.

Pięć tomów „Antologii wileńskiej” zawiera setki utworów od XV wieku począwszy po kres czterowiekowego związku Litwy i Korony

Bezcenny skarbiec piśmiennictwa

Jerzy Biernacki

W połowie roku 2009 wyszedł kolejny, piąty już tom Antologii wileńskiej pt. *Nad przepaścią. Cztery poprzednie to: Litwa – Korona, Rzeczpospolita trzech narodów, Na rubieżach i Zmierzch*. Autor tego niezwykłego dzieła, Romuald Karaś, pracuje obecnie nad tomem zatytułowanym *Kres* oraz planuje tom siódmy i ostatni, poświęcony Karaimom, Tatarom i Żydom na terenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ze szczególnym uwzględnieniem Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Pięć wydanych tomów liczy blisko trzy tysiące stron druku, zawiera wypisy z setek utworów, których metryki sięgają początków XV stulecia, aż po kres czterowiekowego związku Korony i Litwy, oraz setki fragmentów opracowań, zarówno towarzyszących dziejowym wydarzeniom, o których jest mowa, a więc z epoki, jak i późniejszych, historycznych i historyczno-literackich.

Dokument czterowiekowego związku Rzeczypospolitej z Litwą

Olbrzymia różnorodność tematyki, stylistyk literackich, ocen historycznych, niekiedy skrajnie przeciwstawnych, rozmaitość piór i osobowości, niesłychanie barwna mozaika poetycka, literacka i pisarstwa dyskursywnego – słowem antologia, jakiej jeszcze nie było. A przy tym jest to tematyka, którą na dobrą sprawę, poza sferą akademicką nauk humanistycznych, nikt się w Polsce nie zajmuje. Jest pośmiertnym triumfem systemu komunistycznego, że w świadomości Polaków, zwłaszcza młodych, Wielkie Księstwo Litewskie w ogóle nie istnieje. Nie mówiąc o jego dorobku piśmienniczym, kulturowym, politycznym i administracyjnym, jak również o związanym z WXL dziedzictwem literackim polskim, którego niewielkie objętościowo, ale liczne fragmenty wypełniają większość stronic owego (dotychczas) pięcioksięgu.

Zasługą Redaktora i jego współpracowników jest bowiem wydoby-

cie wątków tematycznych, związanych z dziejami wielowiekowego związku Rzeczypospolitej z Litwą (a tym samym z Białorusią i Ukrainą, bo te krainy obejmowały granice WXL) w bogato rozwijającej się literaturze polskiej od XV stulecia poczynając i zaprezentowanie ich w owej *Antologii*.

ja Trzecieckiego, Andrzeja Krzyckiego, a nawet Mikołaja Kopernika, który nie tylko planety i gwiazdy śledził, lecz także osadzał na wyludnionej w wyniku wojny trzynastoletniej ziemi warmińskiej chłopów, jako plenipotent swego wuja biskupa Watzenrode, a także prawdopodobnie był w Wilnie, jak przypuszczają twórcy *Antologii*.

Jest też na przykład mało znana *Jezda do Moskwy* Jana Kochanowskiego, którego *Pieśń zwycięstwa nad Moskwą*, będącą hołdem złożonym Stefanowi Batoremu, pogromcy Iwana Groźnego (właściwiej powiedzieć: Okrutnego), dzięki czemu



Antologia Wileńska – pomnikowe dzieło oficyny „Pod Wiatr”

Któż bo pamięta o tym, jak wyglądało zaangażowanie Mikołaja Reja w prace nad ustanowieniem unii realnej z Litwą w ostatnich latach jego życia, uwieńczonej aktem lubelskim w 1569 roku, roku śmierci pisarza, i kto wie, jakie pogłosy literackie tego zaangażowania znajdują się w jego twórczości? Znajdujemy je w omawianym dziele. A obok plejadę nazwisk, poczynając od Marcina Bielskiego, Biernata z Lublina, Dantyszka, Długosza, Klemensa Janickiego, Andrze-

odzyskał dla Polski Inflanty – wydał Romuald Karaś w osobnym tomie, w nowym, rewelacyjnym przekładzie Wojciecha Stańczaka, w tymże 2009 roku.

Podaję przykłady i wymieniam nazwiska przede wszystkim z XVI wieku, ponieważ nie sposób w omówieniu ogarnąć całości, obejmującej jak już wspominałem cztery stulecia. Naturalnie w kolejnych tomach mamy wiele późniejszych, XVII- i XVIII-wiecznych utworów i plejadę nazwisk, od Piotra Skargi, po-

przez Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, zwanego chrześcijańskim Horacym i sławnego w całej intelektualnej Europie ówczesnej, Stanisława Leszczyńskiego, nieszczęsnego króla, ale i wybitnego pisarza politycznego (*Głos wolny wolność ubezpieczający*), ks. Stanisława Konarskiego, z jego wielkim dziełem odnowy oświaty i nie mniejszym (cztery tomy), ukazującym szkodliwość liberum veto (*O skutecznym rad sposobie*), aż po Franciszka Bohomolca.

Dorobek piśmiennictwa litewskiego i ruskiego

Wszelako *Antologia wileńska* nie porzestaje na piśmiennictwie polskim, lecz odkrywa lub odkrywa na nowo wcale nie małe bogactwo dorobku litewskiego i ruskiego – tym ostatnim słowem obejmujemy zarówno Białoruś, jak i Ukrainę; jak wiadomo, przez czas długi mieszkańców tych krajów nazywano Rusinami. Tutaj na pierwszym miejscu należy wymienić statuty litewskie, a więc zapisy prawa, z lat 1529, 1566 i 1588, napisane w języku staroruskim; jak widać, pierwszy z nich powstał zaledwie 24 lata po statucie Jana Łaskiego, świadczy to zarówno o ambicjach bojarstwa litewskiego, jak i o wpływie Korony, będącej od końca XIV wieku w unii personalnej z Litwą. Język staroruski był wówczas powszechnym językiem Wielkiego Księstwa Litewskiego, literacki język litewski na dobrą sprawę rozwinął się dopiero w XIX wieku. Chociaż...

No właśnie, każdy tom *Antologii* otwierają utwory wierszowane, tłumaczone ze starolitewskiego, zwane dajnami (nazwa pochodzi być może od zawołania typu: oj, dana, dana, oj, dajna, dajna, w innej wersji). Są to, rzekłbym, sielankowe, pogodne, choć powleczone smutkiem (to nie sprzeczność!) pełne prostoty wierszyki, opisujące codzienność ówczesnych mieszkańców WXL. Tematyka lokalna, obyczajowa, uczuciowa, spokój, słodycz, łagodność i smutek.

*Rzadko weselem skrzę się dajny słowa,
Cała treść życia w tej pieśni zakłęta.*

– napisała Julia Wichert-Kajruksztisowa, autorka *Antologii poezji litewskiej*

(1939). Dajnamy zajmowało się wielu zbieraczy, w tym Oskar Kolberg, nie znający nota bene języka litewskiego, ich zbiory to tysiące dajni i śpiewów ludowych, oryginalnej poezji folklorystycznej o szczególnym rodzaju piękności.

W poszczególnych tomach *Antologii* znajdujemy dziesiątki nazwisk pisarzy litewskich i białoruskich z różnych okresów, począwszy od Franciszka Skoryny (lub Skaryny), pierwszego tłumacza Pisma św. na białoruski (jeszcze przed Wujkiem!), a potem idą nic nam nie mówiące dziesiątki nazwisk poetów i prozaików, których utwory, pisane po polsku, po rusku, po litewsku lub po łacinie, odzwierciedlają problematykę i obraz życia w WXL.

Historyczne postaci i zdarzenia

Kompozycja *Antologii wileńskiej* jest w zasadzie dość luźna, ale można wyróżnić kilka zagadnień bądź zjawisk czy zdarzeń historycznych oraz osób, wokół których autorzy dzieła grupują wypowiedzi literackie różnych pisarzy. Pierwszą taką osobą był Władysław Jagiełło, wraz ze swym bratem Witoldem i z żoną Jadwigą, a zdarzeniem chrzest Litwy i unia personalna z Rzeczpospolitą, wielostronnie ocenianymi. Ta wielostronność ocen jest niekiedy skrajna, jak np. opis bitwy pod Grunwaldem Jana Długosza i kronikarza litewskiego, oceniającego wynik bitwy jako zwycięstwo wojsk litewskich i ruskich, przy niemal zupełnej bierności rycerzy polskich, wyjąwszy samą końcówkę, w której wreszcie wzięli udział(!).

Inne zdarzenia, do których odnoszą się zamieszczone w księgach utwory, to Unia Lubelska, Unia Brzeska (religijna), wokół której mamy wypowiedzi zarówno jej zwolenników (z wielką rolą sprawczą ks. Piotra Skargi, autora wielu zamieszczonych tekstów), jak i przeciwników, tzw. dyzunitów, wojny z Moskwą, a ponadto postacie królów, zwłaszcza Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, a także władców Litwy, z Radziwiłłami na czele. Oddzielnie ujęto temat wzrostu potęgi moskiewskiej za Iwana Okrutnego, z czego jasno zdawali sobie sprawę zarówno polscy jak i litewscy pisarze.

Bezcennym rozwiązaniem, przyjętym w *Antologii*, są drukowane w niej w olbrzymiej liczbie komentarze historyków i historyków literatury oraz obfite przypisy redakcyjne, bez których lektura ksiąg byłaby utrudniona i wymagałaby uzupełnień wiedzy z wielu zakresów. Komentarze pochodzą od humanistów współczesnych autorom zamieszczonych tekstów oraz od historyków z XIX i XX wieku: Szujskiego, Bobrzyńskiego, Askenazego, Oskara Haleckiego oraz historyków literatury, Feldmana, Chrzanowskiego, Juliana Krzyżanow3skiego, Nowaka-Dłużewskiego i wielu innych. Charakterystyczne, że cytując zgoła niesprawiedliwe czy niesłuszne, uproszczone oceny jednego historyka, autorzy dzieła natychmiast publikują ocenę przeciwną innego historyka. Tak jest np. w przypadku oceny Czesława Miłosza zawartej w jego *Historii literatury polskiej*, który Unię Lubelską określił mianem przykrywki dla zagrabienia przez Rzeczpospolitą terytoriów na Wschodzie; niżej redaktorzy zamieszczają krótki, ale solenny cytat z Ignacego Chrzanowskiego *Historii literatury niepodległej Polski*, ukazujący pełne bogactwo problematyki unijnej i pośrednio zbijający sąd poprzednika.

Stosunkowo niewielki nakład *Antologii wileńskiej*, poszczególnych jej tomów, niemal w całości przekazywany jest na Litwę i na Białoruś, do szkół, bibliotek, do środowisk intelektualnych i poszczególnych osób, pisarzy i poetów polskich i litewskich, współpracujących z Polską. Jest to, oczywiście, głęboko słuszne, jakkolwiek brak tej niezwyklej pozycji na polskim rynku księgarskim, jest jakimś błędem czy zaniedbaniem, nie obciążającym jednak R. Karasia i jego współpracowników, tylko władze odpowiedzialne u nas za kulturę. *Antologia* jest osiągalna w głównych bibliotekach, z Narodową na czele, szkoda że nie mogą zapoznać się z nią, przynajmniej na wrywki, zwykli czytelnicy. ■

Antologia wileńska, tom I-V, Oficyna Literatów i Dziennikarzy POD WIATR, Warszawa 1997-2009, ss. 2975. Pozycja wyróżniona nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Arcydzieła ze zbiorów Muzeum Czartoryskich zobaczą mieszkańcy kilku miast w Polsce

Leonardo i Rembrandt w podróży po Polsce

Jarosław Kossakowski

Najstawniejsze dzieło sztuki przechowywane w zbiorach polskich, czyli obraz Leonarda da Vinci „Dama z gronostajem” wybiera się w paroletnią podróż po miastach i miasteczkach Polski. Nie kopię, lecz najautentyczniejsze arcydzieło mistrza renesansu Leonarda przez najbliższe dwa lata będzie można oglądać poza historycznymi murami krakowskiego Muzeum Książąt Czartoryskich.

Już w maju br. *Damę z gronostajem* będziemy gościć w Zamku Królewskim w Warszawie – zapewnił prof. Andrzej Rottermund na konferencji w Zamku. – Znajdzie się to arcydzieło na wystawie *Skarby Muzeum Czartoryskich*, na której również zobaczymy obraz Rembrandta van Rijna *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem*.

Dziś *Dama z gronostajem* uważana jest za jedno z najdoskonalszych dzieł Leonarda, podziwianym w Stanach Zjednoczonych, a ostatnio w Budapeszcie. Teraz obraz będzie podróżował po Polsce. Zdecydowano się na ten krok, spełniając oczekiwania miłośników kultury narodowej, którzy coraz częściej chcą zobaczyć większą ilość eksponatów poza Krakowem. Poza tym chodzi o wykorzystanie przeniesienia ich na czas poważnej przebudowy i remontu krakowskiego muzeum. Zostaną one wystawione w czynnych instytucjach muzealnych, tak aby mogło je poznać jak najwięcej chętnych.

Dziś panuje powszechne przekonanie, że Leonardo da Vinci, portretując Cecylię Gallerani, ukazał ją trzymającą na rękach gronostaja. Do niedawna jednak polska historyk sztuki Krystyna Moczulska utrzymywała, iż była to łasica wzięta przez Leonarda z *Metamorfoz* Owidiusza. Starożytny rzymski poeta opowiada w tym utworze o micie narodzin Heraklesa i łasicy symbolizującej życzenie pomyślnego porodu. W takim sensie użył jej malarz w portrecie młodej damy oczekującej przyjścia na świat dziecka.

Gronostaj, po grecku *galc*, stanowił przede wszystkim aluzję do nazwiska wyrafinowanej damy dworu Cecylii Gellerani. Był także tradycyjnym symbolem umiarkowania oraz szczerości i czystości uczuć. Poza tym zwierzę

to było również emblematem rodu Sforzów i samego księcia Lodowica il Moro, którego ukochaną była Cecylia Gallerani. Księżę Lodowico w poetyckiej metaforze Bernarda Bellincioniego nazywany był także „italskim Maurem, białym gronostajem”. Odkryto niedawno i potwierdzono fakt, że Lodovico ubiegał się o order zakonu Armellino (z wł. zakon



Leonardo da Vinci „Dama z gronostajem”

gronostaja), zaszczytne odznaczenie nadane już wcześniej takim osobistościom, jak król Anglii czy księżę Urbino. Order przyznano mu w 1488 roku, czyli w okresie, gdy malował portret Cecylii Gallerani.

Damę z gronostajem we Włoszech w 1800 roku kupił księżę Adam Jerzy Czartoryski i ofiarował swojej matce Izabeli Czartoryskiej, założycielce kolekcji. Przywieziony do Polski obraz eksponowany był w „pokoju zielonym” Domu Gotyckiego w Puławach. W czasie powstania li-

stopadowego wywieziono go do Paryża, skąd do Polski powrócił pod koniec XIX wieku, do powstającego Muzeum w Krakowie. Także w XIX wieku pierwotne, szarobłękitne tło *Damy z gronostajem* zostało pokryte czarną farbą. Wiele argumentów przemawia za tym, że obraz został przemalowany na życzenie księżnej Izabeli. Nie jest bowiem wykluczone, iż cały obszar tła mógł się wydawać właścicielce dzieła zbyt zniszczony lub wręcz niedokończony. Inna hipoteza wiąże się ze sposobem myślenia księżnej Izabeli. Jej decyzja o zmianie wyglądu obrazu mogła być próbą dostosowania dzieła do własnego gustu i upodobań, nadania mu tajemniczego wyglądu, ujednoliciającego i łączącego całą kolekcję. Pierwszą wojnę światową *Dama...* spędziła w Dreźnie, natomiast w 1939 roku obrazu nie udało się uchronić przed rabunkiem. Zgrabiony przez hitlerowców zdołał wawelską rezydencję gubernatora Hansa Franka. Wywieziony później do Niemiec i odnaleziony tam przez prof. Karola Estreichera do Krakowa powrócił na stałe w 1946 roku.

W podróży po Polsce *Damie...* będzie towarzyszyć inne arcydzieło, najlepszy obraz Rembrandta w zbiorach polskich – *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem* (1638 r.). Do ilustrowania przypowieści wziętej z Ewangelii św. Łukasza (X, 30–37) o miłosiernym Samarytaninie niderlandzki mistrz wracał parokrotnie, jednak obraz z Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie jest jego jedyną znaną malarską realizacją na ten temat. Dzieło dla rodziny Czartoryskich kupił w Paryżu w 1766 roku Jan Piotr Norblin, artysta francuski pracujący w Polsce. Później obraz Rembrandta dzielił powstańcze i wojenne losy *Damy z gronostajem*, łącznie ze wspólnym powrotem do Krakowa.

Oba arcydzieła malarstwa europejskiego wraz z innymi wspaniałymi eksponatami ze zbiorów Czartoryskich będą mogli oglądać najpierw mieszkańcy Warszawy (wiosna-jesień 2010 r.), później wystawa *Skarby Muzeum Czartoryskich* odwiedzi Szczecin, Puławę, Stalową Wolę, Legnicę i Sandomierz. ■

Tele-durniej

Wojciech Piotr Kwiatek



Programowy chaos w naszych stacjach telewizji publicznej, wyrażający się często gestami dość rozpaczliwymi, propozycjami programowymi trudnymi do zracjonalizowania, daje jednak – jak każdy bałagan! – pewne korzyści. Porządkując np. mieszkanie znajdujemy czasem coś, czego od dawna szukaliśmy, a na niektóre rzeczy spoglądamy po latach w inny sposób. Podobnie jest ze starymi programami tv.

Jedną z mocnych, „żelaznych” pozycji każdej stacji tv są quizy, teleturnieje, tele-zabawy itp. Dlaczego? Bo taki program łączy w sobie element rywalizacji zwykle (bo nie zawsze!) intelektualnej z elementami *show*, widowiska. O ile to pierwsze może wydać się niektórym nudne, o tyle za to drugie każdy telemaniak da się pokroić w kawałki.

Najpierw było „Kółko i krzyżyk”

Jednym z pierwszych teleturniejów w TVP była zabawa *Kółko i krzyżyk*. Pomysł, znany skądinąd jako gra „w powieszonoego”, został udatnie zaadaptowany: nadal szło o ustawienie w jednym rzędzie – poziomym, pionowym lub ukośnym – trzech kółek lub trzech krzyżyków, tyle że by znak postawić, należało odpowiedzieć na pytanie, przypisane do danego pola. Była to wiedza ogólna, a każdemu polu towarzyszyły dwie dziedziny, gracz miał więc wybór. Zwycięzca jednego pojedynku trafiał na kolejnego przeciwnika, potem ewentualnie na następnego. Gdy pokonał trzech pod rząd, wygrywał telewizor! Tak tak! 14 – czy 17-calowe białe cacuszko! Były to, warto pamiętać, lata, gdy telewizja dopiero nad Wisłą raczkowała, odbiorniki były bardzo drogie i właściwie na państwowym rynku (podobnie jak samochody przez cały PRL) nieosiągalne. Kupowało się za łapówkę w sklepie lub przez „dojścia” (czyli „znajomości”).

Jak łatwo obliczyć, zawodnik, by ten telewizor wygrać, musiał odpowiedzieć co najmniej na 9 pytań. Teoretycznie jednak, bo gdy np. obaj zawodnicy zablokowali się wzajemnie, tzn. żaden nie postawił 3 znaków w rzędzie, „mecz” trzeba było powtórzyć. Program prowadził z początku, o ile pamiętam, arogancki impertynent Ryszard Serafinowicz, potem na szczęście zmienił go elegancki, sympatyczny i kulturalny (oraz przystojny!) Bolesław Kielski (prywatnie mąż aktorki Ireny Kwiatkowskiej), który sposobem bycia, osobistym ciepłem i urokiem oraz organiczną niezdolnością do stresowania zawodników przypominał do złudzenia późniejszego o lat jakieś 40 Tadeusza Sznuka.

Kółko i krzyżyk było oczywiście bardzo oglądane i emocjonujące. Ciekawość z jednej strony, jaką taktykę wybiorą zawodnicy, z drugiej – jaki będzie poziom ich wiedzy ogólnej, z trzeciej wreszcie – jakie będą dziedziny. Zawodnik miał na odpowiedź 15 sekund – i to właściwie było wszystko, jeśli idzie o reguły tej sympatycznej zabawy.

Wielka „Wielka gra”

To był najdłużej emitowany teleturniej w historii TVP. I dodajmy od razu: niedościgniony jeśli idzie o uczciwość formuły i jednoznaczność zasad. Fakt, że TV Polonia zdecydowała się go nagle przypomnieć – pod

hasłem „*Wielka gra*” na bis – świadczy, że dostrzeżono w tym pewne elementy atrakcyjne. Z kolei fakt, że uczynił to kanał dla Polonii na świecie, dowodzi jednak pewnego bezhołowia. Choć oczywiście wiedza to wiedza, nigdy jej dość, nigdy za dużo.

Pomyśli ktoś: co może być ciekawego w odpowiadaniu na nietawne pytania z wybranej dziedziny? Czy to może interesować kogoś oprócz specjalistów bądź fanatyków podobnych tym, którzy w *Wielkiej grze* startowali? No... to oczywiście zależy od potrzeb, które każdy ma prawo kształtować dowolnie (choć można powiedzieć: pokaż mi swoje potrzeby, powiem ci, kim jesteś). Ale fakt, że *Wielka gra* gościła na ekranach przez ponad 40 (*sic!*) lat, wskazuje, iż władze programowe TVP uznały, że warto, że oglądalność (chyba nie miała, teleturniej emitowany był w sobotnie popołudnia, a więc niemal w *primetime!*) plus walory edukacyjne (zawodnicy odpowiadali ze wszystkich ważniejszych dziedzin wiedzy, z wyłączeniem nauk ścisłych) składają się łącznie na widowisko interesujące.

Wielka gra – to były emocje różnorakie, ale to nigdy nie była hucpiarska zabawa dla życiowych farciarzy na zasadzie: a może się uda. Tu jak ktoś nie wiedział, to mu się nigdy nie udało! Najpierw obserwowaliśmy pojedynek *sensu stricto* – dwaj rywale odpowiadali na te same 20 pytań, odpadał ten, kto pierwszy popełnił 2 błędy. A potem już do końca przeciwnikami gracza były: jego własna pamięć, stres, rozległość dyscypliny, którą wybrał. Więc dalej był to pojedynek, tyle że już wyłącznie z sobą samym. Pojedynek często najciekawszy.

Prócz tych emocji widz zyskiwał wiedzę ogólną, słuchał muzyki klasycznej, rozrywkowej bądź jazzowej, oglądał dzieła sztuki: rzeźby, obrazy...

Gra była poza tym uczciwa: jednoznaczne pytanie wymagało jednoznacznej odpowiedzi. Byli oczywiście eksperci, a w razie wątpliwości zawodnik mógł zaskarżyć ich werdykt. Zwykle wygrywał, powracał do gry.

I jeszcze jedno: zawodnikom nie dostarczano więcej stresu, niż to wynikało z faktu rywalizacji o dość duże pieniądze. Mieli na odpowiedzi – zwłaszcza na te trudniejsze, „droższe” pytania – dużo czasu 120, a nawet 150 sekund. Dość, aby zebrać myśli, zastanowić się nad odpowiedzią, pogrzebać w skarbnicy pamięci.

Kto chce, może sobie to wszystko w sobotnie popołudnia obejrzeć (lub przypomnieć) w TV Polonia.

Tylko show

Quizy „naszych czasów” to zupełnie inna bajka. Nawet gry tak niby eleganckie, jak *Jeden z dziesięciu*, uwzględniają już zdobycze zachodnich „nauk o człowieku” (psychofizjologia, neurofizjologia), a zwłaszcza o jego słabościach (to ciekawe: dawniej szukano mocnych stron człowieka, dziś staje się na głowie, aby znaleźć te najsłabsze...). Toteż rywalizacja przenosi się tam z pola wiedzy na pole rozgrywek personalnych: walki zęb za zęb często, zwanej dziś „wyścigiem szczurów”. Wygra ten, kto wykończy wszystkich przeciwników. Ocaleje wszak tylko jeden z dziesięciu. Muszę więc ich wszystkich (a przynajmniej większość) wyeliminować, wyciąć z konkurencji w wyścigu po... weekend w Hotelu „Gołębiwski”, po markowy zegarek, po 40 tys. zł. Zadanie jest o tyle niełatwe, że paść tu może dosłownie każde pytanie: i o imię psa Ali z *Elementarza* Mariana Falskiego i o XVII cesarza z dynastii Ming. A na odpowiedź – mam zawsze tylko 3 sekundy.

Wiele podobnych programów aspekt rozhuśtanych emocji brało za funda-

ment formuły programu. Przykład czysty laboratoryjnie – polsatowska *Awanturna o kasę*. Rzeczywiście – awantury były, bo owa „kasa” (w cinkciarsko-melnelskim slangu oznacza to pieniądze) przyprawiała chwilami o zawrót głowy. Za to pytania były banalne, żeby sobie miłośnik owej „kasy” zwojów mózgowych nie przepalił. Wystarczyło czytać „tabloidy” i mieć jaką taką maturę, by z odpowiedziami nie było specjalnych problemów.

„Milionerzy”, czyli „wolna amerykanka”

Skrajnym przykładem, jak może wyglądać „wiedzowy” teleturniej, był realizowany za gigantyczne pieniądze *remake* zachodniego quizu *Milionerzy*. Jak to w TVN, stacji,



Trudno o lepszy sposób oglądania przez media niż teleturnieje | Fot. Archiwum

uznanej przez wielu za rozsądnik wszelkiego medialnego zła, pogwałcono tu wszystkie możliwe zasady, to znaczy niby wywoływano wrażenie, że te zasady istnieją, ale w praktyce okazywało się, że wiele z nich to fikcja.

Po pierwsze – teoretycznie nieograniczony był czas na zastanawianie się. Ale w telewizji czas to złoto, więc Hubert Urbański zaczynał pod adresem zastanawiającego się gracza swoje śpiewki: *Słuchaj, chcę ci tylko przypomnieć, że masz jeszcze dwa koła ratunkowe albo Masz jakieś podejrzenia? Coś ci się kojarzy?* Chodziło tylko o to, by wciągnąć gracza w rozmowę, a następnie skutecznie uniemożliwić mu jakikolwiek namysł.

Po drugie – z tą wiedzą też było ciekawie. Uczestnik chcący zagrać w *Milionerach* musiał wcześniej podpisać klauzulę, w której uznawał, że prawo do wyboru źródeł weryfikacji poprawności odpowiedzi należy do organizatora gry. Gdyby więc TVN zdecydował się na skorzystanie z jakiejś „encyklopedii” wydawnictwa, powiedzmy, „Sowa Mądra Głowa”, a w tej encyklopedii byłoby napisane, że ostatnim królem Polski był Zygmunt III Waza, na nic zdałoby się odwoływanie się do autorytetów i innych kompendiów. Ktoś utrzymujący, że w tym wypadku chodzi o Stanisława Augusta Poniatowskiego, przegrałby z kretesem. Aż tak skrajnych przypadków nie było, ale kilka razy, pamiętam, mocno się odpowiedziami Urbańskiego zadziwiłem.

TVN-owscy *Milionerzy* nie dali Polsce ani jednego milionera, dali tylko jednego czy dwóch półmilionerów. No, ale można powiedzieć, stosując logikę TVN, że dwóch półmilionerów to razem jeden milioner... Ciekawe, czy analogicznie dwóch półgłówków to cały inteligent...

Wiedza – nie-wiedza

Są poza tym w naszej tv inne jeszcze quizy i teleturnieje, gdzie niby idzie o wiedzę. Najwięcej wątpliwości pod tym względem wzbudza *Familiada*, gdzie to prowadzący Karol Strasburger ocenia, co naprawdę powiedział gracz, a co mieli na myśli ankietowani, których wypowiedzi posłużyły za bazę odpowiedzi „obowiązującej”. W ogóle jeśli idzie o quizy, gdzie trzeba się zmierzyć ze statystyką, lepiej tam nie zaglądać. Wiemy przecież – że posłużę się analogią do sfery polityki – jaką merytoryczną wartość mają sondaże poparcia dla polityków, czyli tzw. rankingi. Są jednym więcej źródłem politycznej indoktrynacji, niczym innym.

Pamiętajmy więc, że gdy ktoś mówi, że idzie o wiedzę, inteligencję, mądrość, to zwykle chodzi mu zupełnie o coś innego. ■

Istotnym elementem sprzyjającym nawiązaniu współpracy niemiecko-rosyjskiej po I wojnie światowej była antypolskość

Polska między Niemcami a Rosją w okresie międzywojennym (część I)

Stanisław Gregorowicz

Na początku lat dwudziestych czynnikiem w znacznym stopniu kształtującym stosunki polityczne między Warszawą, Moskwą a Berlinem był podpisany 16 kwietnia 1922 roku w Rapallo układ między Niemcami a Rosją Sowiecką. Znaczenie tego układu nie polegało na zawartych w nim postanowieniach, lecz na jego politycznych implikacjach. Otworzył on bowiem dziesięcioletni okres intensywnej wojskowej i politycznej współpracy niemiecko-sowieckiej, nastawionej przede wszystkim na podważanie ustanowionego w Wersalu systemu politycznego.

Podpisany przez zwycięskie państwa Ententy 28 czerwca 1919 roku w Wersalu traktat pokojowy z Niemcami stał się nieoczekiwane płaszczyzną zbliżenia między Niemcami a zrewolucjonizowaną Rosją Sowiecką. Nałożenie na Niemcy ogromnych reparacji wojennych oraz ustanowienie dla nich ograniczeń w dziedzinie zbrojeń uczyniło z nich państwo o statusie specjalnym pozostające pod kontrolą międzynarodową. Zadecydowało to o ich wrogim nastawieniu do tzw. „dyktatu wersalskiego” oraz polityce podważania wersalskiego systemu politycznego. Na podobnie nieprzyjaznych pozycjach w stosunku do Wersalu znajdowała się bolszewicka Rosja. Takie usytuowanie Niemiec i Rosji po I wojnie światowej zbliżyło je do siebie i stworzyło przesłanki do rozwijania politycznych, wojskowych i gospodarczych powiązań, które w tym kontekście zarówno dla Moskwy, jak i Berlina nabierały szczególnego znaczenia.

Antypolskość Rosji i Niemiec

Dodatkowym, lecz niemniej istotnym elementem w nawiązaniu współpracy niemiecko-rosyjskiej, której symbolem później stało się Rapallo,

był aspekt antypolski. Zdecydowanie nieprzyjazne czy wręcz wrogie nastawienie do Polski obydwu wielkich jej sąsiadów wynikało z kolizji ich interesów terytorialnych z odrodzonym państwem polskim oraz powstałych w wyniku tego konfliktów zbrojnych: polsko-niemieckiego i polsko-sowieckiego, które wybuchły na przełomie 1918/1919 roku.

W Niemczech powszechnie panowała opinia, że Polska nie przetrwa jako niepodległe państwo i jej upadek jest rzeczą przesądzoną. Tak zwany Korytarz, Wolne Miasto Gdańsk i wszystkie terytorialne nabytki Polski kosztem cesarskich Niemiec traktowano jako krwawiące rany, a nową wschodnią granicę Niemiec określano „die brennende Grenze” (płonąca granica). Politycznie nowe państwo polskie uważano za satelitę Francji, a hasło jego rozbicia i zniszczenia przyjmowała większość politycznych partii Niemiec.

Zaciekłość i determinacja, z jaką Niemcy dążyły do zmiany swojej wschodniej granicy, stały się trwałym czynnikiem polityki zagranicznej Berlina. Przyczyniły się one do ukształtowania się tzw. wschodniej orientacji, która zakładała, że współpraca z Ro-

sją (każdą Rosją) jest niezbędna po to, żeby złamać Polskę lub przynajmniej okroić ją terytorialnie. Głosicielem tej koncepcji był gen. Hans von Seeckt, od listopada 1919 roku szef Heeresleitung, zakamuflowanego sztabu generalnego. W lutym 1920 roku wysunął on koncepcję wspólnego z Rosją ataku na Polskę, a następnie ofensywy z Armią Czerwoną na Francję i Wielką Brytanię. Później, w czasie ofensywy bolszewickiej na Warszawę na tyle otrzeźwiały, że już tylko obiecywał Armii Czerwonej „życzliwą neutralność” Niemiec.

Niemniej, zawsze chętnie wsłuchiwał się w nawet mało realne pomysły akcji antypolskich, na przykład podczas rozmów z wysłannikiem Moskwy Karolem Radkiem, który w grudniu 1921 roku, a potem w lutym 1922 roku proponował mu przeprowadzenie wspólnej operacji wojskowej przeciwko Polsce. I mimo że pomysły te wzbudzały u von Seeckta szczerą sympatię, musiał się jednak odnieść do nich sceptycznie. Głównie w obawie przed przewidywaną reakcją Francji, a także ze względu na słabe przygotowanie Reichswery i Armii Czerwonej do działań ofensywnych. W ówczesnych warunkach współdziałanie Niemiec i Rosji przeciwko Polsce widział on w dalszej perspektywie. Upływ czasu – jego zdaniem – miał być czynnikiem sprzyjającym antypolskim celom obu krajów. Nie rezygnował jednak z żadnej okazji lansowania swoich antypolskich koncepcji, w tym również na polu dyplomatycznym. W memorandum z 11

września 1922 roku pisał do kanclerza Josefa Wirtha: „Istnienie Polski jest nie do zniesienia, nie do pogodzenia z żywotnymi interesami Niemiec. Polska musi zniknąć i zniknie przez swoją wewnętrzną słabość i w wyniku działań Rosji, której my pomożemy. (...) ten cel można osiągnąć (...) jedynie dzięki Rosji lub z jej pomocą”.



i działania obu krajów. Wrogi stosunek do Polski odgrywał też rolę katalizatora w funkcjonowaniu niemiecko-sowieckiego sojuszu wojskowego, jakim faktycznie była tajna współpraca wojskowa obu państw w latach 1922-1933.

Współpraca wojskowa między Niemcami a bolszewicką Rosją rozpoczęła się po zakończeniu I wojny światowej.



roku. W Niemczech powstała wówczas tajna grupa do współdziałania z Armią Czerwoną, której przedstawiciele z czasem przenieśli się do Moskwy, gdzie na przełomie 1923 i 1924 roku utworzono specjalny ośrodek koordynujący współpracę wojskową obu stron, tzw. Moskiewskie Centrum. W sierpniu 1922 roku zostało



General von Seeckt, Władimir Potiomkin i Karol Radek – realizatorzy antypolskiej polityki Niemiec i Rosji

Kanclerz Wirth całkowicie podzielał poglądy von Seeckta. W instrukcji z lipca 1922 roku dla posła niemieckiego w Moskwie Ulricha von Brockdorff-Rantzaua stwierdził: „Oświadczam Panu jasno i bez ogródek: Polskę trzeba wykończyć” (Polen muss erledigt werden). Polityka moja zmierza do tego celu. (...) W tym punkcie panuje całkowita zgoda między mną a wojskowymi, szczególnie generałem Seecktem”.

Podważanie nienaruszalności granic państwa polskiego

Głównym celem głoszonego przez Niemcy programu zwalczania państwa polskiego było podważanie na arenie międzynarodowej nienaruszalności polskich granic oraz wymuszenie ich rewizji. Jednocześnie ten program stanowił płaszczyznę, na której niemiecka i sowiecka polityka zagraniczna znajdowały mnóstwo punktów łączących interesy

towej, kiedy dowództwo niemieckie na Wschodzie (Ober-Ost) ułatwiałoby posuwającej się za Niemcami Armii Czerwonej zajmowanie opuszczanych przez Niemców terenów, wchodzących niegdyś w skład Rzeczypospolitej. Te pierwsze przykłady lokalnej współpracy wojskowej niemiecko-sowieckiej nabrały rozmachu w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920. Przybierała ona różne formy: od pomocy niemieckiej w zaopatrzeniu, sprzęcie i amunicji, aż do wspomaganie Rosji kadrą dowódczą, ochotnikami oraz udzielaniem rozbitym oddziałom Armii Czerwonej schronienia w Prusach, gdzie odzyskiwały one zdolność bojową.

Niemiecko-sowiecka współpraca wojskowa

Niemiecko-sowiecka współpraca wojskowa przybrała nowy kształt organizacyjny już po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej, na początku 1921

podpisane tymczasowe porozumienie o współpracy między Armią Czerwoną a Reichswerą, a już kilka miesięcy wcześniej ruszyła współpraca techniczna w dziedzinie przemysłu zbrojeniowego. 15 marca 1922 roku rząd sowiecki podpisał tajne porozumienie z niemiecką firmą „Junkers” o budowie wojskowych zakładów lotniczych na terytorium Rosji, które zlokalizowano w Filiach, wówczas miejscowości podmoskiewskiej, obecnie w granicach stolicy Rosji.

Na początku lat dwudziestych niemiecko-rosyjska współpraca wojskowa napotykała na szereg trudności. A w latach 1926-1927 groziło jej nawet kompletne fiasko, gdyby nie pomoc niemieckiego Ministerstwa Reichsweru. Dzięki tej pomocy na terytorium ZSRR powstało i rozwinęło się sporo dużych tajnych wojskowych ośrodków szkoleniowych i produkcyjnych, przygotowujących kadrę specjalistów oraz

sprzęt i materiały wojenne na użytek sił zbrojnych obu krajów. Wśród nich trzeba wymienić, obok ww. filii: ośrodek lotniczy w Lipiecku k. Woroneża, działający w latach 1925-1933; szkołę wojsk pancernych „Kama” w Kazaniu, funkcjonującą w latach 1926-1933 oraz ośrodek broni chemicznej „Tomka” k. Saratowa, od 1929 do 1932 roku zajmujący się badaniami i produkcją środków trujących i gazów bojowych.

Współpraca wojskowa między Reichswerą a Armią Czerwoną nie ograniczała się tylko do przemysłu zbrojeniowego, techniki wojennej i szkolenia kadr. Obejmowała ona również współpracę wywiadowczą oraz współpracę studyjno-sztabową wymierzoną przeciwko Polsce. W ramach tej ostatniej ówczesny zastępca ludowego komisarz obrony Michaił Tuchaczewski opracował w 1932 roku szczegółowy plan rozgromienia Polski, który przewidywał użycie nowoczesnego sprzętu, uzyskanego w kooperacji z Niemcami, w m.in. „uderzenie ciężkiego lotnictwa w rejonie Warszawy”.

Mimo aktywnej współpracy przeciwko Polsce w kwestiach polskich między Berlinem a Moskwą panowała nieufność. Sprawy polskie były zbyt często wykorzystywane do celów taktycznych, co wywoływało atmosferę podejrzliwości. Przykładem mogą być rozmowy z końca 1924 roku, kiedy Moskwa przestrzegała Berlin przed możliwością uznania wschodniej granicy Polski jako skutku ewentualnej decyzji o wstąpieniu Niemiec do Ligi Narodów. Niemcy zaś ostrzegali Moskwę przed gwarantowaniem zachodniej granicy Polski „w wyniku jakiegoś porozumienia Rosji z Francją”. W celu przekonania Berlina o negatywnym stosunku do Polski przedstawiciel kolegium NKID Wiktor Kopp zapewniał w grudniu 1924 roku Brockdorff-Rantzau o gotowości ZSRR do wspólnego z Niemcami „wywarcia nacisku na Polskę”, jednak pod warunkiem że Niemcy nie zrezygnują ze swoich pretensji do Górnego Śląska i „Korytarza”. W odpowiedzi poseł niemiecki oznajmił Cziczerinowi, że „roz-

wiązanie kwestii polskiej przez Niemcy i Rosję sprowadza się, w gruncie rzeczy, do zmuszenia Polski, aby cofnęła się do swoich etnicznych granic”.

W tym czasie żadnych realnych widoków na zepchnięcie Polski do „granicy etnicznych” nie było. Wysuwanie tego typu antypolskich sugestii służyło raczej „cementowaniu” wzajemnych stosunków. Pojawiły się bowiem wtedy symptomy rozchodzenia się europejskiej polityki obu państw. Moskwę szczególnie niepokoiła w niemieckiej polityce zagranicznej, kierowanej od połowy 1923 roku przez Gustava Stresemanna, tendencja do porozumienia się z mocarstwami zachodnimi, czego przejawem były m.in. plany wstąpienia Niemiec do Ligi Narodów. W celu przeciwdziałania tej niekorzystnej dla niej tendencji Moskwa postanowiła jeszcze raz posłużyć się czynnikiem polskim jako środkiem nacisku na Niemcy.

Rozmowy polsko-rosyjskie w sprawie nieagresji

W drugiej połowie grudnia 1924 roku podjęto decyzję o nawiązaniu rozmów z Polską w sprawie paktu o nieagresji (o czym niezwłocznie poinformowano Berlin) oraz jednocześnie przedstawiono Niemcom propozycję podpisania nowego układu politycznego umacniającego związku obu państw.

Nawiązanie rozmów z Polską na temat paktu o nieagresji okazało się łatwe, istniało bowiem wiele powodów, dla których Polska była zainteresowana w odprężeniu stosunków z ZSRR. Przede wszystkim Warszawa także z pewnym niepokojem patrzyła na perspektywę przystąpienia Niemiec do Ligi Narodów. W tej sytuacji rozmowy na temat paktu o nieagresji z ZSRR były na rękę polskiej dyplomacji, umacniały bowiem pozycję Polski zarówno wobec Niemiec, jak i sojuszniczej Francji. W obliczu niezwykle silnej niemieckiej kampanii rewizjonistycznej wymierzonej przeciwko Polsce, rozmowy polityczne z ZSRR były z punktu widzenia Warszawy elementem pozytywnym, bo siłą faktu

przyczyniały się do osłabiania Rapallo i wzmacniały jej pozycję na europejskiej scenie politycznej.

Rozmowy z Polską na temat paktu o nieagresji zostały nawiązane na początku 1925 roku. Ważnym momentem okazał się dla nich początek 1926 roku, kiedy w decydującą fazę weszły niemiecko-sowieckie negocjacje na temat układu politycznego potwierdzającego Rapallo. W ich toku Stresemann zdecydowanie negatywnie odniósł się do prowadzonych równoległe przez Moskwę rozmów z Polską. Oświadczył on, że żaden niemiecko-rosyjski układ nie dojdzie do skutku, jeśli Rosja będzie sprzyjała zabezpieczeniu wschodniej granicy Polski w jakiegokolwiek postaci. Na taką groźbę Moskwa zapewniła Niemców, że „nie ma zamiaru gwarantować polskiego stanu posiadania odnośnie do obszarów należących dawniej do Niemiec”. „Czynnik polski” zadziałał i już bez przeszkód 24 kwietnia 1926 roku Niemcy i ZSRR podpisały w Berlinie traktat polityczny potwierdzający układ rapallski.

Traktat berliński

Traktat berliński umocnił podstawę, na jakiej opierały się dotychczasowe założenia sowieckiej polityki wobec Niemiec oraz potwierdził ogólny kierunek europejskiej polityki ZSRR, w tym również wobec Polski. Z punktu widzenia Warszawy nie pozostawiało wątpliwości, że współdziałanie polityczne i współpraca wojskowa ZSRR z Niemcami poważnie ograniczają możliwość jakiegokolwiek porozumienia polsko-sowieckiego, a nawet praktycznie je wykluczają. Niewątpliwie znaczną rolę odgrywał w tym nieprzejednany stosunek Niemiec do Polski i ich gotowość przeciwstawienia się wszystkiemu, co mogłoby w jakikolwiek sposób umocnić pozycję Polski. Dopóki więc cały ciężar europejskiej polityki ZSRR opierał się na współpracy z Niemcami, nie było szans na jakiegokolwiek porozumienie na linii Warszawa-Moskwa. Dopiero pod koniec lat dwudziestych pojawiły

się pierwsze symptomy ewoluowania polityki sowieckiej w kierunku rozluźnienia współpracy z Niemcami.

Sygnalem ostrzegawczym dla Moskwy, wskazującym na potrzebę szukania alternatywy dla jej polityki europejskiej, stał się rozwój wydarzeń we wstrząsanych wielkim kryzysem ekonomicznym Niemczech. Zwiększając się od wrześniowych wyborów 1930 roku niebezpieczeństwo przejścia władzy w Niemczech przez partię Hitlera postawiło przed polityką sowiecką szereg zasadniczych problemów. Z ogłoszonego przez Hitlera programu politycznego, w którym ostro zwalczał koncepcję Rapalla, jednoznacznie wynikało, że po dojściu do władzy radykalnie zmieni on niemiecką politykę zagraniczną i doprowadzi do zerwania współpracy z Moskwą. Taka perspektywa rozwoju wydarzeń oznaczała całkowite załamanie się koncepcji europejskiej polityki ZSRR. Powyższe przesłanki skłoniły Moskwę do zmodyfikowania swojej linii polityki zagranicznej i przygotowania alternatywnego programu dla współpracy z Niemcami. Jedyną realną alternatywą było wtedy nawiązanie dialogu politycznego z Francją i jej sojusznikami. Moskwa podjęła taką próbę wiosną 1931 roku i nadspodziewanie szybko, po nawiązaniu rozmów z Francuzami, 10 sierpnia 1931 roku parafowano w Paryżu francusko-sowiecki pakt o nieagresji.

Zbliżenie polsko-sowieckie

Fakt nawiązania rozmów i parafowanie francusko-sowieckiego paktu o nieagresji przyjęto w Warszawie z zadowoleniem. Znamionowało to bowiem zmianę polityki sowieckiej i rozchodzenie się dróg ZSRR i Niemiec oraz powolny rozkład Rapallo. To m.in. zdecydowało o tym, że również Warszawa, w sierpniu 1931 roku, podjęła kroki w celu wznowienia przerwanych rozmów z ZSRR na temat paktu o nieagresji. Mimo początkowo negatywnej postawy Moskwy, inicjatywa polska została przyjęta i po dzie-

sięciu miesiącach negocjacji, 25 lipca 1932 roku podpisano w Moskwie polsko-sowiecki pakt o nieagresji, który otworzył trzyletni (1933-1935) okres zbliżenia polsko-sowieckiego.

Zbliżenie polsko-sowieckie pozostawało w ścisłym związku z rozwojem wydarzeń politycznych w Europie. Dojście Hitlera do władzy w Niemczech w styczniu 1933 roku oraz gwałtowne załamanie współpracy niemiecko-sowieckiej gruntownie zmieniły dotychczasowe uwarunkowania na scenie europejskiej. Polityka Hitlera postawiła Moskwę przed koniecznością zmiany strategii europejskiej i przejścia do pozytywnych działań politycznych wobec Francji i Polski. W powstającym nowym układzie sił pozycja Polski nabierała dla Moskwy kluczowego znaczenia. Jakkolwiek bowiem współpraca polityczna ZSRR z Francją bez udziału Polski z powodów geopolitycznych była pozbawiona większego znaczenia. W Moskwie oceniano, że Polska stanowi pomost dla realnej współpracy z Francją.

Jednocześnie gra tzw. czynnikiem polskim była w rękach Moskwy najsukcesyjniejszym instrumentem oddziaływania na Niemcy. Mimo negatywnej oceny strategicznych celów polityki Hitlera wobec ZSRR w Moskwie wcale nie zapomniano o licznej i wpływowej w Niemczech grupie zwolenników współpracy z Rosją. Gorącym zwolennikiem Rapalla był m.in. ambasador niemiecki w ZSRR Herbert von Dirksen, który jeszcze wiosną 1933 roku przekonywał zwierzchników w Berlinie o konieczności kontynuacji współpracy z Rosją i tłumaczył im, że na wrogości niemiecko-sowieckiej korzystają nieprzyjaciele Niemiec, zwłaszcza Polska. Jednak wbrew wysiłkom zwolenników Rapalla w Niemczech oraz dyplomacji sowieckiej, która starała się łagodzić wszelkie zadrażnienia, stosunki niemiecko-sowieckie w 1933 roku uległy pogorszeniu. Z czasem stawało się pewne, że Hitler dokonuje zasadniczego zwrotu w polityce zagranicznej Niemiec i współpraca niemiecko-sowiecka należy do przeszłości.

Konstatacja ta nie wywoływała jednak ze strony Moskwy gwałtownych reakcji. W swoich planach bowiem Moskwa nadal uwzględniała możliwość powrotu Niemiec do współpracy z ZSRR, po „wyszumieniu się rewolucji nazistowskiej”. W wyrażaniu więc swojego niezadowolenia z pogorszenia się stosunków z Niemcami przyjęła taktykę cierpliwego wyciągania ręki do zgody i zapewniania przy każdej okazji o swoich najlepszych intencjach wobec Niemiec.

Na przykład wybitny dyplomata sowiecki Władimir Potiomkin w rozmowie z Mussolinim latem 1933 roku zapewniał włoskiego dyktatora, że „rząd radziecki w najmniejszym stopniu nie byłby skłonny do radykalnej weryfikacji swoich stosunków z Niemcami, które do niedawna były przeniknięte duchem przyjacielskiej współpracy. Jednakże z żalem musi stwierdzić, że rząd Hitlera prowadzi wobec ZSRR taką politykę, która nie może nie wywoływać w Związku Radzieckim uzasadnionego niepokoju”.

Podobnie w sierpniu 1933 roku wypowiadał się premier Władimir Mołotow podczas pożegnalnej wizyty ambasadora Dirksena. Podkreślając mocno, że Moskwa nigdy nie przejawiała tendencji do podważania Rapalla stwierdził: „Nasze dalsze stosunki z Niemcami będą zależą wyłącznie od tego, jaką pozycję wobec ZSRR będą utrzymywać Niemcy. Jeśli poprowadzą one poprzednią politykę, to i my nie będziemy mieli podstaw do zmiany naszego stanowiska”. Takie stawianie sprawy wzajemnych stosunków przez Moskwę było niezwykle dogodnie dla strony niemieckiej, bowiem klucz do tych stosunków Rosjanie oddawali w ręce niemieckie. Przy biernej postawie Moskwy, czekającej na pozytywne reakcje Niemiec, Hitler upewniał się, że kiedy zajdzie taka potrzeba, zawsze będzie mógł powrócić do współpracy z ZSRR. To dawało mu większą swobodę manewru w stosunku do mocarstw zachodnich, a także wobec Polski. ■

Wolny świat przez lata nie znał prawdy o zbrodniach komunizmu

Zapomniany Gułag

Z prof. Dariuszem Tołczykiem z University of Wirginia, autorem książki „Gułag w oczach Zachodu“ rozmawia Petar Petrović

W książce „Gułag w oczach Zachodu“ opowiada Pan, jak świat zachodni bronił się przed prawdą o sowieckiej rzeczywistości – zwłaszcza o jej najciemniejszych stronach: o Gułagu, terrorze, zbrodniach i prześladowaniach. Jakie były główne powody tej niechęci do prawdy? W czym należy upatrywać źródeł naiwności i łatwowierności Zachodu? Dlaczego tak często wybierano wizję sowieckiego raję, mimo doniesień o komunistycznym piekle?

Zacznę od przyczyn obiektywnych. Wiadomo, że władze sowieckie izolowały własny kraj i trudno było ludziom na Zachodzie stwierdzić, co się tam naprawdę dzieje. Pojawiały się na Zachodzie relacje uciekinierów z łagrów, opowieści uchodźców, ale zachodnia opinia nigdy nie miała możliwości ich bezpośredniej weryfikacji. Jednocześnie pojawiały się „doniesienia” o ZSRR preparowane czy inspirowane przez sowiecką propagandę. Według nich Kraj Rad był oazą wolności, sprawiedliwości i prawdziwego humanizmu. Powstawało więc zrozumiałe pytanie: komu wierzyć? Trzeba było sobie po prostu wybrać jedną z tych dwóch prawd, bo pogodzić ich się nie dawało. Wyboru tego dokonywano za względu na rozmaite czynniki. Ci, którzy szczerze nieraz starali się poznać prawdę, próbowali kierować się prawdopodobieństwem i zdrowym rozsądkiem. Ale tu też sprawa nie zawsze była prosta. No bo jak uwierzyć, że państwo prześladowuje, zsyła, zamyka w obozach i rozstrzeliwuje miliony własnych obywateli, którzy wcale mu nie zagrażają? Zachowania sowieckiego reżimu nie mieściły się w tradycyjnych zachodnich kategoriach racjonalności, a więc prawdopodobieństwa. Jak zauważali tacy znawcy przedmiotu jak Robert Conquest czy Francois Furet, prawdę o Sowietach

negowano nieraz po prostu dlatego, bo nie mieściła się w głowie.

Często jednak o odmowie uznania prawdy decydowało ideologiczne zaślepienie wielu zachodnich środowisk opiniotwórczych...

Zachodni opiniotwórcy wybierali bardzo często taką prawdę o Sowietach, która najbardziej im pasowała. Kierowali się

tych niepokojących doniesień. Zadziwiająco często wybierano drugie wyjście. Gdy wiara i wiedza przeczyły sobie nawzajem, wybierano wiarę wbrew wiedzy.

Nie tylko jednak ideowi zwolennicy rewolucji zamykali oczy na prawdę. Pi-sze Pan także o tym, jak wielki przemysł na Zachodzie bez skrupułów wchodził w kontakty z Sowietami.



Więźniowie gułagu podczas budowy Kanału Białomorskiego

przeważnie jednym z trzech motywów: ideologią, zyskiem albo polityczną kalkulacją. Motyw ideologiczny korzeniami sięgał mitu założycielskiego europejskiej lewicy, czyli pragnienia ostatecznego dokończenia rewolucji francuskiej i przemiany świata na lepszy. Jeśli to spełnienie marzeń ludzkości wymagało koniecznych ofiar, to trudno, trzeba je było zaakceptować. Ale doniesienia o bolszewickich zbrodniach, zamiast z czasem zaniknąć, ciągle się potwierdzały i nasilały. Więc pojawiało się pytanie, gdzie jest granica, za którą cel przestaje uswięcać środki? Prędzej czy później trzeba było albo zrewidować własne poglądy na temat komunizmu, albo w ogóle przestać słuchać

Sowieci od początku potrzebowali zachodniego kapitału i technologii. Bez tego w ogóle nie byli w stanie odbudować kraju po wojnie domowej, nie mówiąc już o stworzeniu własnego przemysłu i sowieckiej potęgi militarnej w latach 30. ZSRR był ogromnym rynkiem i zachodnie firmy wręcz paliły się do robienia tam interesów. Żeby jednak zostać do nich dopuszczonym, należało stosować się do wyznaczonych przez nie reguł. Nie można było mówić źle o sowieckim partnerze. Rola zachodniego kapitału i myśli technicznej, zwłaszcza amerykańskiej, w tworzeniu sowieckiej gospodarki była ogromna. Te wszystkie Dnieprostroje, Magnitogorski, Stalingra-

dy opiewane w socrealizmie, zbudowano w gruncie rzeczy dzięki Amerykanom. Im bardziej zachodni kapitał był zaangażowany w Sowietach, tym bardziej zachodnie władze skłonne były go chronić i nie zadrażniać swoich stosunków z Kremlen. A im silniejsza stawała się sowiecka gospodarka, a wraz z nią stalinowska machina militarna, tym bardziej zależało Zachodowi, żeby mieć w Stalinie raczej ewentualnego sojusznika niż wroga. Odkąd Roosevelt objął prezydenturę w USA w czasie wielkiego kryzysu, taki był kierunek polityki amerykańskiej w tych sprawach. Dopiero po jego śmierci, zaraz po wojnie, to się zmieniło, ale wówczas Sowiety były już wielkim mocarstwem.

Jakie były główne sposoby manipulowania zachodnią opinią publiczną? Rosjanie od wieków odnosili w tej dziedzinie znakomite rezultaty.

Już w latach 20. Sowietci błyskawicznie poradzili sobie z większością zachodnich korespondentów w Moskwie. Wykorzystali po prostu wzajemną konkurencję między zachodnimi gazetami i zaczęli udzielać akredytacji w ZSRR tylko tym gazetom, które nie pozwalały sobie na zbyt docieklive kwestionowanie oficjalnej linii kremłowskich władz. I już niebawem amerykańscy czy brytyjscy korespondenci samorzutnie ustawiali się w kolejce do sowieckiego urzędnika, który bez żenady cenzurował ich doniesienia. Dzięki temu ich posady były niezagrożone a ich redaktorzy w Nowym Jorku czy Londynie zadowoleni. W ten sposób na przykład moskiewski korespondent „New York Timesa” Walter Duranty - który cynicznie negocjował prawdę o Gułagu, wielkim głodzie i terrorze - otrzymał w 1932 roku nagrodę Pulitzera i stał się autorytetem w sprawach sowieckich. Radził się go m. in. prezydent Roosevelt.

W latach 30. w Związku Sowieckim rozwinięto tradycję potiomkinowskich wiosek.

Całe stada zachodnich „pożytecznych idiotów” podziwiała rzekomą resocjalizację więźniów w pokazowych łagrach. Ci ludzie jeździli do Kraju Rad jak pielgrzymi do

miejsz świętych - w oczekiwaniu cudów. Nic dziwnego, że z łatwością ulegali takim manipulacjom. Bo bywali też i tacy, którzy szybko dostrzegali ten cały fałsz - na przykład Malcolm Muggeridge czy Andre Gide.

Pisze pan, że krytykami systemu komunistycznego bywali także intelektualiści o lewicowych przekonaniach, którzy wierzyli, że można stworzyć system komunistyczny bez przemocy. Komunizm z „ludzką twarzą” okazał się jednak zwodniczą iluzją.

Kiedy Lenin rozpoczął swoje panowanie w Rosji, od razu przystąpił do tępienia innych tamtejszych lewicowych partii. Zachodnia lewica od samego początku była więc podzielona, jeśli chodzi o stosunek do bolszewików. Władzom sowieckim zależało na tym, żeby nie stracić poparcia wśród zachodniej lewicy, więc początkowo ulegali jej naciskom. Zgodzili się, na przykład, przyznać uwięzionym socjalistom i anarchistom status więźniów politycznych. Przez to traktowali ich, we wczesnych latach 20., lepiej od pozostałych niewolniczych więźniów politycznych, których torturowali i mordowali bez skrupułów. Zachodni socjaliści i anarchiści oburzali się i krytykowali bolszewików wówczas, gdy chodziło o los ich ideowych pobratymców w Rosji. Los pozostałych ofiar CZEKA rzadziej ich interesował. Co więcej, często krytykowali reżim za to, że stosując przemoc wobec rosyjskich socjalistów i anarchistów, bolszewicy podkopywali własne poparcie wśród zachodniej lewicy, która im przecież tak dobrze życzy. Potem, w latach 30. wiele osób, nie tylko wśród radykalnej lewicy, przestało w ogóle krytykować Sowiety, dochodząc do wniosku, że nie ma innej nadziei na przezwyciężenie kapitalistycznego zła (były to przecież czasy wielkiego kryzysu), jak popieranie jego alternatywy, czyli Stalina. Pozostawał jeszcze Trocki, czyli wieczna wyższość niezrealizowanych marzeń nad rzeczywistością.

Nawet stalinowskie czystki w ruchu komunistycznym w drugiej połowie lat 30. nie przyniosły otrzeźwienia?

Na wszystkie dylematy szybko znajdowano sobie jakieś wytłumaczenie, w tym

przypadku, trzeba było zwierzać szeregi w walce z Hitlerem czy generałem Franco. Pakt Stalina z Hitlerem niejednego wprawiał w osłupienie, ale i to nie trwało zbyt długo. W czasie wojny natomiast trzeba było milczeć o zbrodniach Stalina, bo - wiadomo - wszelka krytyka (na przykład kwestia Katynia) to „woda na młyn” hitlerowców. Moim zdaniem ważny przełom w myśleniu części zachodniej lewicy nastąpił wraz z Kongresem Wolności Kultury w Berlinie Zachodnim w roku 1951. Definitywna rewizja postaw zaczęła się dopiero wtedy, gdy poważnie potraktowano opowieści Chruszczowa o komunizmie „z ludzką twarzą”. Kiedy tę twarz pokazał Breżniew w Czechosłowacji, a Sołżenicyn w „Archipelagu Gułag”, to już nawet Sartre i Simone de Beauvoir zaczęły się ostentacyjnie spotykać z rosyjskimi dysydentami w Paryżu.

Dzisiejsza postawa zachodnich elit zarówno kulturalnych, jak i politycznych wobec Rosji, wydaje się niewiele różnić od fascynacji Zachodu systemem stalinowskim.

Stosunek Zachodu do Rosji tak naprawdę niewiele się zmienił od czasów Piotra I, czyli odkąd Rosja stała się mocarstwem. Z jednej strony zawsze można było zauważyć na Zachodzie oczekiwanie, że Rosja się niebawem ucywilizuje, czyli stanie się częścią Zachodu, a jej władcy przestaną zachowywać się agresywnie i po barbarzyńsku, i zaczną szanować prawa i swobody obywatelskie. Kiedy Rosja te swobody gwałci i nie sposób tego ukryć, wówczas pojawia się wieczne pytanie: co bardziej służy ucywilizowaniu Rosji - czy naciski, czy raczej rozwijanie z nią stosunków? Większość dysydentów i uchodźców z Rosji przeważnie twierdziła, że tylko naciski skłaniają tamtejszych władców do przestrzegania cywilizowanych standardów. Ich zdanie miało czasem wpływ na zachodnią politykę, ale nie tak znów często, bo zachodni kapitał, a wraz z nim znaczna część politycznego establishmentu, parł zwykle w stronę przeciwną, czyli bez oglądania się na despotyzm chciał robić z Rosją interesy. ■

Autor jest dziennikarzem Polskiego Radia

Najbardziej prawdopodobnym motywem rezygnacji Tuska z ubiegania się o prezydenturę wydaje się chęć ratowania jedności swej partii

Zaskakujący unik Tuska

Zbigniew Borowik

Chociaż o możliwości rezygnacji Donalda Tuska z kandydowania w tegorocznych wyborach prezydenckich wspomniano już nie raz, nikt przy zdrowych zmysłach takich prognoz nie traktował poważnie. Rezygnacja premiera z ubiegania się o prawo do zamieszkania w Pałacu Namiestnikowskim zburzyłaby bowiem całkowicie dotychczasową „doktrynę” Platformy, stanowiącą alibi dla miernych efektów rządu.

Wedle tej „doktryny”, uprawiana od dwóch lat przez rząd „polityka nicnierobienia” jest prostą konsekwencją faktu, że na fotelu prezydenckim zasiada zaciekły przeciwnik polityczny, który gotów jest zawetować każdą wypracowaną w pocie czoła ustawę. Po cóż więc się trudzić? Trzeba zaczekać do wyborów i po prostu odebrać mu władzę.

Mamy jeszcze w pamięci nie tak dawne wystąpienia przedstawicieli rządzącej koalicji podsumowujące dwa lata swoich rządów. Wszyscy jak jeden mąż nader skromny bilans swojej działalności usprawiedliwiali potencjalnym zagrożeniem weta ze strony prezydenta. Potencjalnym, bo realne okazało się raczej niewielkie, a w każdym razie nie odbiegające od dotychczasowej średniej z poprzednich kadencji. Wedle tej logiki, prezydent miałby być odpowiedzialny za nieuchwalenie nawet tych ustaw, których projekty nigdy nie powstały.

Dla nikogo nie było też tajemnicą, że jedyną postacią z życia politycznego, która mogłaby skutecznie odebrać obecnemu prezydentowi władzę, jest Donald Tusk. Tylko on jest bowiem w stanie zjednoczyć wszystkich, którym nie podoba się prezydentura Kaczyńskiego. Mówiły o tym nie tylko sondaże, ale i zdrowy rozsądek, bo pierwsze trzy lata obecnej prezydentury rzeczywiście nie były najlepsze. Aż tu nagle okazuje się, że pan premier w poczuciu odpowiedzialności za państwo rezygnuje z ubiegania się o najwyższe stanowisko i zamierza mimo wszystko zająć się realnym rządzeniem.

Decyzja ta jest zaskakująca z co najmniej dwóch powodów. Realizacja nowego planu rządu, którego ujawnienie premier zapowiedział nazajutrz po rezygnacji z kandydowania, będzie przecież przebiegała przez co najmniej rok w tych samych warunkach, a więc będzie narażona na prezydenckie weto. Czyżby premier liczył tym razem na taryfę ulgową ze strony prezydenta? Chyba nie. A w takim razie nasuwa się pytanie, czemu premier od początku nie zastosował skutecznej metody przeciwdziałania destrukcyjnej roli prezydenta. Trudno się oprzeć wrażeniu, że PO zmarnowała ostatnie dwa lata.

Po drugie, zdumienie budzi pewność, z jaką Tusk przewiduje sukces w wyborach prezydenckich innego kandydata z Platformy. Może i przesadą jest twierdzenie, że rezygnacja Tuska daje Kaczyńskiemu prezydenturę już w pierwszej turze, ale jakoś trudno jest uwierzyć, by kandydatury Bronisława Komorowskiego czy Radka Sikorskiego mogły zapobiec reelekcji obecnego prezydenta.

Pierwszy z nich ma słabe oparcie w partyjnych strukturach i jest raczej niemożliwe, by zmobilizował do ciężkiej pracy w terenie jakąś większą grupę członków PO. Nie wydaje się też jakoś szczególnie popularny. Funkcja marszałka sejmu nie gwarantuje codziennej obecności w mediach. Ciągną się za nim ponadto niewyjaśnione zarzuty ze sławnego raportu o likwidacji WSI, a ostatnio zapisał się bardzo źle w pamięci potencjalnych wyborców stwierdzeniem, że



Fot. Andrzej Stelmach

aby mieć coś do powiedzenia w sprawie funkcjonowania nadzwyczajnej komisji sejmowej (do zbadania afery hazardowej), trzeba najpierw wygrać wybory.

Drugi, choć może liczyć na głosy ludzi przywiązujących wagę do aparycji i dobrych manier kandydata, jest właściwie człowiekiem z nikąd i ma niewielkie szanse pociągnąć za sobą jakieś szersze kręgi społeczne. A już na pewno nie pomoże mu to, że jest renegatem PiS-u. Platforma może oczywiście też sięgnąć po jakieś bardziej egzotyczne kandydatury, choćby Janusza Palkiota. Jeśli nie może być lepiej, to niech przynajmniej będzie śmieszniej.

Dlatego też nie należy się dziwić, że wielu komentatorów deklarację Tuska o rezygnacji z wyborów potraktowała jako błąd. Do wyborów wszak jeszcze daleko i premier z takim samym poczuciem odpowiedzialności za państwo jak dziś może za kilka miesięcy zmienić zdanie i wziąć jednak udział w wyborach. Ciekawe tylko, czy nie wyczerpie tym cierpliwości swoich zwolenników, którzy i tak już od pewnego czasu stanowią grupę malejącą.

Decyzja o wycofaniu się z wyborów z całą pewnością nie przyszła premierowi łatwo. Znajdzie się zapewne wielu, którzy uznają to za wynik tchórzostwa. Ponowna porażka oznaczałaby bowiem dla niego śmierć polityczną. Znacznie bardziej prawdopodobny wydaje się jednak inny motyw, a mianowicie chęć ratowania jedności partii, która po jego zaangażowaniu się w kampanię wyborczą i ewentualnym przeniesieniu do pałacu prezydenckiego narażona byłaby na bezpardonową walkę o schedę po nim. Nie zmienia to faktu, że najnowsza decyzja Tuska to unik, o którym tak naprawdę nie wiadomo, czy będzie mu przez zwolenników wybaczone. ■

W naszym Kościele tylko niewielki procent księży identyfikuje się z jakimkolwiek ruchem lub wspólnotą

Kościół z akcentem

Robert Hetzyg

Zależnie od światopoglądu proboszcza oraz od jego „widzimisię” okazuje się, że różne pobożności lub duchowości albo ruchy czy wspólnoty w jednej parafii mogą istnieć i swobodnie się rozwijać, a w innej okazują się być „poza Kościołem”.

Ostatnio pisałem do Państwa z małej hiszpańskiej wioski, gdzie spędziłem trochę ponad dwa miesiące na nauce mowy Cervantesa. Tym razem siedzę w domu na Czternastej Ulicy Brooklynu. Tak, tak, chodzi o ten Brooklyn w Nowym Jorku w Stanach Zjednoczonych. Jestem tu zaledwie od kilku dni i dopiero się oswiam z nowym miejscem. Pierwszą lekcję tutejszego Kościoła odbyłem podczas rozmowy z jednym z proboszczów. Usłyszałem od niego między innymi, że rdzenni Amerykanie (cokolwiek to słowo mogłoby oznaczać), a w każdym razie ci, którzy za swój język uważają angielski, stanowią coraz mniejszy procent katolików w Stanach Zjednoczonych. Coraz więcej wierzących to imigranci z różnych stron świata. A imigrantów w Stanach dostatek, nie ma co mówić. I nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to oni dla tutejszego Kościoła stali się ostatnią deską ratunku. Tym bardziej że biali amerykańscy katolicy bez obcego akcentu nie tylko coraz rzadziej występują w przyrodzie, ale też zdają się dość wymagającymi „klientami” parafii, w których i księża coraz częściej mówią po angielsku ze śladami mowy nieamerykańskich przodków. Angloamerykańscy wierni tymczasem chcieliby słyszeć duszpasterzy mówiących bez obcego akcentu. A powołania, jak na złość, również najczęściej są kolorowe, z akcentem, a często i z obcym paszportem.

Ale co tam Stany! W najbardziej katolickim kraju byłego RWPG również da się zaobserwować coś podobnego,

jednak tym razem chodzi o tak to nazwijmy duszpasterskie fobie. Zależnie od światopoglądu proboszcza (pozostańmy na tym szczeblu) oraz od jego „widzimisię” okazuje się, że różne pobożności lub duchowości albo ruchy czy wspólnoty w jednej parafii mogą istnieć i swobodnie się rozwijać, a w innej okazują się być „poza Kościołem”. Każdy, kto ma choć odrobinę władzy, ustala sobie własne kryteria katolicyzmu i kościelności, lekceważąc obiektywny stan rzeczy, o potrzebie sprzyjania zaangażowaniu świeckich nawet nie wspominając (taka fanaberia Drugiego Soboru Watykańskiego). Jedni mają tyle przyzwoitości, żeby się zasłaniać dobrem parafii, która akurat tego czy innego ruchu/pobożności w ich opinii nie potrzebuje. Inni nie troszczą się nawet o przysłowiowy listek figowy.

Ten nasz Kościół staje się powoli „Kościołem bez akcentu” także dlatego, że niewielki procent księży identyfikuje się z jakimkolwiek ruchem lub wspólnotą. No, ale ksiądz „musi być księdzem wszystkich parafian”, co wszyscy oczywiście rozumiemy. Rzecz jednak w tym, że może okazać się pasterzem, który nie tylko nie zna swoich owiec, ale i dokąd je wyprowadzić na popas również nie wie. Jak to było z tymi, którzy nie widząc, chcą prowadzić innych?

No, rozumiem, że nie wypada tak otwarcie o tym pisać, ale Państwo się już przyzwyczaili, że ja najchętniej piszę o tym, o czym pisać nie wypada. A piszę, bo ciągle wierzę, że Duch



Święty, Opatrzność i zwykłe ludzkie pragnienie autentycznej wiary, którą się wciela w życie, okażą się silniejsze niż opór niechętnych duszpasterzy. Ten czy ów sparzył się i zraził i dlatego nie chce już próbować. Inni, mądrzejsi o przykład poprzedników, na wszelki wypadek nie będą próbować. A ja znam osobiście duszpasterzy i to nie tylko proboszczów, ale i biskupów, którzy nie ukrywają, skąd czerpią pokarm dla swojej wiary. No tak, ale oni również swojej wiary nie ukrywają! Bo może to się Państwu wyda dziwne, ale my, księża, mamy się troszczyć nie tylko o Waszą - świeckich - wiarę, ale i o własną. No więc są ci, którzy się troszczą, i to widać. Na ogół można poznać wierzącego (zaangażowanego) duszpasterza po jego otwartości na tych, którzy, choć inaczej niż on sam, również poszukują głębszego doświadczenia wiary. Na przykład w parafiach z silną obecnością Drogi Neokatechumenalnej także i inne wspólnoty najczęściej dobrze się mają. Jak jednak nazwać pasterza, który jakimkolwiek akcentem w religijności wytyczonej kalendarzem Mszy św. i nabożeństw tępi i odsądza od czci i wiary (tym razem to nie przenośnia)?

W Stanach Zjednoczonych wierni posługujący się językami innymi niż angielski lub przynajmniej mówiący po angielsku z akcentem zdają się ratunkiem dla pustoszejącego Kościoła anglofonów. Obawiam się, że i u nas dopiero pustoszejące kościoły zwrócą uwagę niektórych duszpasterzy na tych, których w czasie religijnej hossy z powodu akcentu w ich wierze wpisali na duszpasterski indeks. ■

Naukowcy mówią, że pole eksperymentów biotechnologicznych jest pełne zagrożeń i świat w imię nauki powinien być na nie przygotowany

Ogranicza nas wyobraźnia

Radosław Kieryłowicz

Być jak Bóg — marzenie, które od wieków chcieli spełnić rozmaici szarlatani, determinowało próby podejmowania karkołomnych działań. A to stworzyć wieżę aby oglądać Boga, a to wywoływać kataklizmy w ułamku sekundy, a to tworzyć życie.

Zamiary zbudowania wieży, aby oglądać Pana Boga zostały w Księdze Rodzaju dosyć dokładnie opisane i nie ma sensu do nich powracać. Również wywoływanie kataklizmów w ułamku sekundy, które obracają w niwecz wielkie przestrzenie mamy już za sobą. W sierpniu 1945 r. spotkało to dwa japońskie miasta.

Są jednak naukowcy, którzy miast niszczyć życie próbują je tworzyć. Protoplasta doktora Frankenstein — postaci z powieści Mary Shelley niemiecki alchemik z przełomu XVII i XVIII w. Johann Konrad Dippel próbował w rozmaity sposób stworzyć życie i jedyne co po nim zostało to barwnik do tkanin, zwany błękitem pruskim. W tym kolorze nosili mundury żołnierze niemieccy i austriaccy podczas I wojny światowej, a później Chińczycy pod rządami Mao Tsetunga jako stroju narodowego.

Nastał burzliwy wiek dwudziesty i sprawa stworzenia życia ożyła na nowo, z początku za sprawą genetyków i marksistów. W latach 30. udało się to uczonej radzieckiej — Oldze Lepieszyńskiej, która stwierdziła że po dokładnym roztrzcieniu słuźbi w mózdzierzcu i wrzuceniu jej na pożywkę ożyła ona z powrotem, z czego wniosek, że życie istnieje poza komórką, a więc można je stworzyć... Za jej teoriami stał potężny na ówczesne czasy sojusznik — materializm dialektyczny. Za niewiarę w niego umarło kilkadziesiąt milionów ludzi, tak więc jej teorie były w pewnym momencie dogmatami bezdyskusyjnymi...

Równoległe do postępowej nauki Związku Sowieckiego rozwijała się w burżuazyjnym świecie genetyka. Jednakże mędrca szkiełko i oko, a zwłaszcza upor-

czywe dociekanie skuteczniejszym było niż materializm dialektyczny, wobec czego już w 1953 r. dwaj uczeni amerykańscy James Watson i Francis Crick odkryli strukturę kwasu dezoksyrybonukleinowego i stwierdzili, że to właśnie on jest nośnikiem informacji genetycznej przekazanej z pokolenia na pokolenie, a konkretniej cztery białka wchodzące jego skład, których właściwe uporządkowanie określa cechy wszystkich organizmów zwierzęcych. Nici kwasu DNA zgromadzone są w chromosomach, a te jądrach komórkowych i że każdy organizm posiada właściwą swojemu gatunkowi liczbę chromosomów a te determinują wszystkie indywidualne cechy osobnicze. Geny zaś to określone odcinki DNA, które odpowiadają za konkretne cechy i funkcje danego osobnika.

W 1991 r. odczytano całą sekwencję bakterii *Escherichia Coli*, a w 2001 r. cały genom człowieka...

I tu się zaczęło. Skoro bowiem znane jest położenie każdego genu, to czyż nie można „ulepić” życia na nowo? Człowiek, rzecz za duża, dlatego trzeba zacząć od jednej komórki. Taki właśnie projekt zrodził się w głowie Johna Craiga Ventera — amerykańskiego naukowca, który ma zamiar napisać genom nowej syntetycznej komórki bakterii, której już nadał nazwę „Syntia”. Już nawet zaprogramowano jej funkcję. Będzie to minifabryka białek potrzebnych w medycynie. Nie jest on nowicjuszem na rynku biotechnologii. W 1995 r. „rozbroił” bakterię *Mycoplasma Genitalium* z genów zagrażających człowiekowi i oznaczył ją sekwencją genową, uniemożliwiającą przechwycenie przez inną grupę naukowców.



Inny zespół uczonych stworzył sztuczny rybosom, czyli organellum komórkowe odpowiedzialne za produkcję białek, a więc związków chemicznych niezbędnych do funkcjonowania komórki. Tak krok po kroku zbliżają się oni do wytworzenia sztucznej komórki ze wszystkimi jej elementami niezbędnymi do życia. Jeden z naukowców miał również wyrazić się, że: zaprojektowanie takiej komórki jest to nic innego jak napisanie pewnego rodzaju programu komputerowego, który ma wykonywać określone funkcje...

Kiedyś prace nad rozszyfrowaniem genomu człowieka wymagały wybudowania olbrzymiego laboratorium, zatrudnienia dziesiątków naukowców i funduszy idących w dziesiątki miliardów dolarów. Obecnie „stworzenie” dowolnego fragmentu kodu genetycznego i wklejenie go do jakiegokolwiek istniejącej komórki, to koszt nie przekraczający kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Wiele laboratoriów oferuje pewne „elementy” układanki, zwanej „komórka”: odcinki genów, organelle, enzymy. Jednym słowem za „niewielkie” pieniądze można zabawić się w „małego genetyka”.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że geny czasem mutują, czyli zmieniają swoje funkcje w sposób nieprzewidywalny. Może się to również przydarzyć i Synthii, a wtedy zamiast pożytecznej bakterii wyrosnie zarazek, który wywoła pandemię groźniejszą od „medialnej” świńskiej grypy...

Naukowcy bez ogródek mówią, że pole eksperymentów biotechnologicznych jest pełne zagrożeń i świat w imię nauki powinien być na nie przygotowany, a John Craigh Venter formułuje rzecz wprost: „Ogranicza nas tylko nasza wyobraźnia”. Miejmy nadzieję, że uczeni zechcą jej czasami użyć, nim będzie za późno. ■



W numerze 90 krakowskiego dwumiesięcznika znajdziemy szkic prof. **Andrzeja Nowaka** „Od Polski do post-polityki?” zadaje pytanie, czy rządzący

chcą utrzymania i rozwoju struktur oraz ducha polskiej wspólnoty politycznej, czy może dążą do ich ostatecznego rozwiązania w ramach szerszej wspólnoty europejskiej. Zdaniem Nowaka, Polska nie ma obecnie żadnego scenariusza obrony interesów narodowych w sytuacji kryzysu Unii Europejskiej. Autor przewiduje, że w związku z wyraźnym ograniczeniem suwerenności państw narodowych w Traktacie Lizbońskim, w samej Unii rosą szeregi niezadowolonych z obecnego *status quo*. Największą wspólnotę polityczną Starego Kontynentu czekają więc w najbliższym czasie poważne tarcia i wstrząsy, na które Polacy nie są w ogóle przygotowani. Nowak dostrzega słabość alternatywnych propozycji (zarówno z prawej jak i lewej strony sceny politycznej) wobec rządu i proponuje „szukać nowego języka, którym można by nawiązać kontakt z młodszym pokoleniem - uśpionym przez szkołę Handkego - Łybackiej - Hall, przez media Lisa - Wojewódzkiego i Farfała.



Najnowszy numer kwartalnika (4/ 2009) poświęcony jest w dużej części postaci wybitnego myśliciele, który jako jeden z pierwszych w dziejach podjął refleksję nad kulturą masową. Benjamin nie podzielał katastroficznych wizji głoszących, że kultura masowa zabija prawdziwą wartość sztuki i stanowi zagrożenie dla integralnego rozwoju jednostki. Filozof zwracał uwagę, że także artyści wysokiej klasy mogą z powodzeniem korzystać z narzędzi i języka nowoczesnej kultury, aby

przekazać światu swoje głębokie przesłanie moralne.



W eseju „Polskie katolicyzmy” **Zbigniew Nosowski** (nr 1/2010) wyróżnia cztery zasadnicze typy postaw polskich katolików. Pierwszą z nich jest „katolicyzm twierdzy”, zakładający, że religia i polska tradycja są bezlitośnie atakowane. Zwolennicy tej postawy raczej demaskują zło niż z nim polemizują. Według autora, postawa taka nie podejmuje walki o kształt świata zewnętrznego. Drugim typem jest „katolicyzm walki”, dla którego głównym pytaniem staje się chrystianizacja świata postchrześcijańskiego. Reprezentujący tę postawę nie chcą odwracać się od świata, lecz zamierzają podjąć aktywną walkę o jego kształt. Sferą do której zwolennicy tego nurtu przykładają sporą wagę jest kultura, rozumiana jako świat wartości. „Katolicyzm dialogu” wychodzi z krytycznej akceptacji współczesnego świata i uznaje co prawda, że istnieją w nim niebezpieczne tendencje, ale jednocześnie też oznaki wzrastającego głodu duchowego i tęsknotę za trwałymi wartościami. Katolicyzm ten zabiega o wpływ na społeczeństwo obywatelskie. Wreszcie „katolicyzm prywatny” koncentruje się na jednostce i świadomie rezygnuje z wpływania na społeczeństwo przez prawo i struktury. Jego zwolennicy przyjmują obecny proces laicyzacji jako zjawisko nieuchronne, a kluczowym problem staje się dla nich nadążanie za zmianami świata.



Ostatni numer kwartalnika (9/2009) podejmuje refleksję, czy w Polsce możliwe jest istnienie prawicowej i konserwatywnej prawicy nie odwołującej się już bezpośrednio

do doświadczeń „Solidarności”. Wnioski redakcyjnej dyskusji, której punkt wyjścia stanowi analiza **Rafała Matyji** są jednak niejednoznaczne, tym bardziej, że przez lata dziedzictwo Pierwszej Solidarności było wielokrotnie wykorzystywane w koniunkturalnych celach przez polityków ideowo dalekich od programu z sierpnia 1980 roku. Dzisiaj więc, z uwagi na spory zamęt semantyczny w polskiej myśli politycznej, trudno jest dokładnie ocenić, co pozostaje rzeczywistym dziedzictwem „Solidarności”, a co jedynie jego sloganową imitację. W numerze zwraca również uwagę adresowany do młodych czytelników komiks **Ryszarda Mozgola** przybliżający postać Wojciecha Korfantego oraz szkic **Dawida Zadury** o niezwykle barwnej postaci generała Stanisława Bułak-Bałachowicza.



Interesująco zapowiada się drugi numer **Magazynu Apokaliptycznego 44**. W „Manifeście neomesjanistycznym” **Rafał Tichy** zauważa: „Mesjanizm tkwi w samym sercu chrześcijańskiego kerygmatu. Bez mesjanizmu chrześcijańska wizja historii staje się zmierzającym donikąd ciągiem bardziej czy mniej szczęśliwych wydarzeń. Bez mesjanizmu chrześcijańska eschatologia zostaje sprowadzona do pogańskiej wiary w zaświaty. I odwrotnie, tylko ożywiona duchem mesjanizmu eschatologia otrzymuje szerszy, właściwy nadziei chrześcijańskiej, społeczny, historyczny i kosmiczny kontekst. Tylko dzięki jej przyjęciu możemy dostrzegać pod płaszczem dziejów i cykli kosmicznych, pod powierzchnią przemian społecznych i ustrojowych, narodzin i upadku królestw, powstań i bitew, ich drugie, duchowe i teologiczne dno, możemy odczytać sens i znaczenie tych wydarzeń w kontekście objawionego w Chrystusie ostatecznego przeznaczenia człowieka i ludzkości”.

Zebrał: ŁK

Styczeń

1 stycznia 1492

W bitwie po Preszowem król Jan Olbracht uległ wojskom Stefana Zapolyi, co ostatecznie położyło kres jego staraniom o objęcie tronu węgierskiego.



4 stycznia 1919



W Warszawie dokonano nieudanej próby zamachu stanu przeprowadzonego przez płk Mariana Januszajtisa i księcia Eustachego Sapiechę.

7 stycznia 1993

Sejm przyjął ustawę zabraniającą wykonywanie aborcji na życzenie, a jej przeprowadzenia obwarował surowymi przepisami.

14 stycznia 1355

Król Kazimierz Wielki zawarł układ sukcesyjny z Ludwikiem Węgierskim, w którym zobowiązał się, że po jego bezpotomnej śmierci korona przypadnie potomkowi Andegawenów.



18 stycznia 2006

Zmarł poeta ks. Jan Twardowski.

24 stycznia 1925

Rząd podjął decyzję o umieszczeniu grobu Nieznanego Żołnierza pod arkadami Pałacu Saskiego w Warszawie.

27 stycznia 1951

Rząd bez porozumienia z episkopatem usunął tymczasową administrację kościelną na Ziemiach Zachodnich.

28 stycznia 2006

Podczas międzynarodowych targów gołębiarzy zawalił się dach hali wystaw

wienniczej w Katowicach. W katastrofie zginęło 65 osób.

30 stycznia 1927

W Warszawie zakończył się pierwszy międzynarodowy konkurs pianistyczny im. Fryderyka Chopina, w której główną nagrodę zdobył Lew Oborin z ZSRS.

Luty

1 lutego 1411

Krzyżacy zawarli z Polską pokój w Toruniu. Zobowiązali się do zwrotu Żmudzi Litwie, do końca życia Witolda i Władysława Jagiełły, oddanie Ziemi Dobrzyńskiej i wypłatę 100 tys. kóp groszy praskich (czyli 6 mln gr)

3 lutego 1947

Zakończył się proces organizacji WiN, w którym Jan Rzepecki skazany został na 8 lat więzienia, a Marian Gołębiowski na karę śmierci.



8 lutego 1296



W Rogoźnie Brandenburczycy zamordowali króla Polskiego Przemysła II. Był on pierwszym koronowanym władcą Polski od Bolesława II Śmiałego.

8 lutego 1863

Rosja i Prusy zawierają konwencję Alvenslebena, zakładającą współdziałanie w celu przeciwdziałania Powstaniu Styczniowemu.

10 lutego 1321

W Inowrocławiu ogłoszono wyrok w procesie Brzeskim (Kujawy) o zagarnięcie Pomorza Gdańskiego przez Zakon Krzyżacki. Krzyżacy mieli zwrócić ziemie

i wypłacić 30 tys. grzywien odszkodowania. Papież, nie uznał wyroku.

10 lutego 1925

Polska i Watykan podpisały umowę konkordatową.

14 lutego 1792



Sejmiki relacyjne przyjęły Konstytucję 3 Maja wśród tej części posłów sejmiku, którzy byli dokooptowani do sejmu skonfederowanego.

16 lutego 1720

Rosja i Prusy zawarły układ poczdamski, w którym zobowiązały się do utrzymywania aktualnego ustroju w Rzeczypospolitej, przede wszystkim zasady liberum veto i wolnej elekcji.

16 lutego 1919

W Trewirze zawarto rozejm pomiędzy Niemcami a powstańcami wielkopolskimi. Rozgraniczenie nastąpiło w miejscu aktualnego przebiegu linii frontu.

20-21 lutego 1846

W Krakowie wybuchło powstanie krakowskie, przeciw Austrii, równocześnie wybuchło powstanie chłopskie przeciw ziemianom w Galicji (rabacja). W Chochołowie księża miejscowej parafii umiejętnie skierowali górali przeciw zaborcy.



26 lutego 1861

Cesarz Austrii Franciszek II Józef nadał Królestwu Galicji i Lodomerii i Wielkiemu Księstwu Krakowskiemu Statut krajowy.

Opracowanie Radosław Kieryłowicz

Oddział Terenowy „Civitas Christiana” w Żarach uhonorowany został sztandarem za swą niezwykle aktywną działalność regionalną

Wspólnota budująca civitas christiana

Data 11 stycznia 2010 roku wpisze się do kroniki Oddziału Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Żarach. Ten bardzo prężny oddział pod kierunkiem przewodniczącego Piotra Jankowiaka jest dumą Stowarzyszenia na ziemi lubuskiej. W styczniu miało miejsce uroczyste wręczenie i poświęcenie sztandaru.

Sztandar jest symbolem godności i wartości prezentowanych przez Stowarzyszenie. Uzewnętrznia jego cele i misję. Uroczysta Msza św. i poświęcenie sztandaru wzmocni fundament żarskiej organizacji, która jak dotychczas zgodnie ze wskazaniami Sługi Bożego Jana Pawła II będzie budować „Civitas Christiana” z poczuciem odpowiedzialności za wspólne dobro Kościoła, chrześcijańską społeczność obywatelską i sprawiedliwe państwo, służąc pełnemu rozwojowi każdego człowieka.

Sztandar poświęcił ks. bp. Paweł Socha laureat Nagrody im. ks. Bolesława Domańskiego. Ks. biskup wysoko ocenił działalność Piotra Jankowiaka i żarskiej organizacji szczególnie na polu kultury i formacji podkreślając ciekawe formy działania. Życzył organizatorom aby pod znakiem „Civitas Christiana” stawali się wspólnotą pokoju służąc innym.

Sztandar przyjął Piotr Jankowiak a ucałował Karol Irmiler wiceprzewodniczący Stowarzyszenia. W darze ołtarza młodzie członkowie Stowarzyszenia przekazali piękną kapliczkę z Chrystusem Frasobliwym i książki Instytutu Wydawniczego PAX od przewodniczącego Ziemowita Gawskiego.

Piękny, gotycki kościół farny w Żarach był świadkiem jeszcze jednej uroczystości.

Karol Irmiler wręczył ks. bp. Złotą Odznakę Honorową Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” za wsparcie

i zrozumienie oraz ogromną życzliwość w codziennej pracy formacyjnej i programowej zwłaszcza w okresie przejścia od Stowarzyszenia PAX do „Civitas Christiana”. Duchowa opieka i pomoc ks. biskupa w tych trudnych momentach historii była bardzo potrzebna dla budowy „Civitas Christiana” na ziemi lubuskiej. Ksiądz biskup Paweł Socha bardzo serdecznie podziękował członkom Rady Głównej

za udział w uroczystościach szczególnie tym, którzy wspierają nasze zadania przede wszystkim ks. dziekanowi Stanisławowi Pojnarowi, ks. praładowi Tadeuszowi Dobruckiemu, ks. Janowi Poźniakowi, przewodniczącemu Rady Głównej „Civitas Christiana” Ziemowitowi Gawskiemu i wiceprzewodniczącemu Karolowi Irmilerowi, prezesowi Zarządu Sławomirowi Józefiakowi, staroście powiatu



Sztandar żarskiej organizacji „Civitas Christiana” poświęcił biskup Paweł Socha

za przyznanie Złotej Odznaki wskazując, że sztandar ze św. Wojciechem będzie natchnieniem i wyzwaniem dla ducha chrześcijańskiego. Idzie prąd europejski, który chce pominąć Jezusa i chrześcijaństwo i to jest zadanie dla katolików. My mieliśmy do czynienia z zagrożeniami ze Wschodu, teraz zagrożenie przychodzi z Zachodu.

Po uroczystej Mszy św. z udziałem licznych pocztów sztandarowych żarskich organizacji udano się do lokalu „Civitas Christiana” by podzielić się opłatkiem.

Przewodniczący Piotr Jankowiak łamiąc się opłatkiem serdecznie dziękował

żarskiego Markowi Cieślakowi, burmistrzowi Żar Romanowi Pogorzalcowi, Lubka Bogdanowi Bakalarzowi, wójtowi Żar Januszowi Dzydze, przewodniczącemu Rady Miejskiej Dariuszowi Grochli, radnym z Forum Samorządowego Żar i „Tobie i Miastu”, członkom NSZZ Solidarność, komendantowi Powiatowej Straży Pożarnej Dariuszowi Łosiowi oraz licznym fundatorom prywatnym, firmom: „Awa” – Urszula Połtyn, Grażyna Husar-Zakowicz, Foto – Marek Przedwojski i Dewocjonalia Jankowiak.

Mszę św. i spotkanie opłatkowe umilił swoim występem chór Con_Anima. JS

Oddział Okręgowy w Białymstoku Białystok

Członkowie i sympatycy z Oddziału Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Białymstoku spotkali się na tradycyjnym oplatku. W spotkaniu uczestniczyli m.in. ks. dr Dariusz Wojtecki, asystent stowarzyszenia, kleryk Łukasz Klimaszewski posługujący w parafii Matki Bożej Fatimskiej i Edyta Ostrowska przewodnicząca Rady Ruchów Katolickich Archidiecezji Białostockiej. Obecni też byli przedstawiciele KIK-u i Podlaskiego Stowarzyszenia Absolwentów KUL.

Wieczór uświetnił występ młodzieży licealnej i studenckiej pod kierunkiem Jerzego Binkowskiego. Zaprezentowany tekst, przeplatany utworami skrzypcowymi, zwracał szczególną uwagę na rolę kobiety w wypełnianiu jej powołania do macierzyństwa.

Spotkanie zakończyło wspólne kolędowanie przy akompaniowaniu akordeonu, na którym grał Bogdan Obrycki, nauczyciel Zespołu Szkół Muzycznych w Białymstoku, oraz gitary,



Spotkanie kolędowe w Białymstoku

na której grał Romuald Gumienniak – dyrektor okręgu. Nad przebiegiem spotkania czuwał Roman Majewski, przewodniczący Rady Oddziału.

* * *

W styczniu odbyło się kolejne spotkanie „Kręgu biblijnego”. Tym razem ks. dr Wojciech Michniewicz w oparciu o tekst Księgi Rodzaju, kontynuując problematykę z zeszłego miesiąca, analizował drugi opis stworzenia.

BOGUSŁAWA WENCLAW

Boćki

W ramach projektu „Rodzina i autorytety podstawą wychowania”, realizowanego przez Oddział Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Boćkach, odbyło się już drugie spotkanie z młodzieżą Gimnazjum Publicznego. Omawiano problemy związane z dojrzewaniem do miłości i małżeństwa.

Na początku prowadzący zwrócili uwagę na znaczenie, jakie dla kierowania własnym rozwojem ma poznanie samego siebie, swoich słabych i mocnych stron. Wypracowanie właściwej, adekwatnej samooceny należy do zadań wczesnej młodości, wpływa na nasze samopoczucie, stosu-



Młodzieżowe warsztaty o rodzinie w Boćkach

nek do innych ludzi oraz podejmowane wybory. Ważne, aby człowiek akceptował siebie i miał poczucie własnej wartości.

Przekazano uczniom informacje o okresie dorastania i stworzono im okazję do rozmowy na tematy, które ich niepokoją. Młodzież otwarcie dzieliła się swoimi spostrzeżeniami dotyczącymi obserwowanych w sobie zmian zarówno w sferze fizycznej, psychicznej, jak i w kontaktach z innymi ludźmi. Na podstawie ich wypowiedzi i doświadczeń prowadzący mogli omówić najważniejsze aspekty wieku dorastania.

Temat przyjaźni i miłości wzbudził najwięcej zainteresowania i emocji. Lektura fragmentów *Małego Księcia*, opis spotkania głównego bohatera z Lisem, stała się podstawą do pracy w grupach nad cechami przyjaźni i miłości oraz sposobami ich zawierania, jak również dyskusji o odpowiedzialności za powstające więzy z innymi ludźmi.

BARBARA I WOJCIECH JOCZ

Ciechanowiec

W święto Objawienia Pańskiego odbyło się spotkanie oplatkowe w Oddziale Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Ciechanowcu. Uroczystość zaszczylił swoją obecnością ks. Andrzej Kalinow-



Spotkanie oplatkowe w Ciechanowcu

ski, nieformalny opiekun oddziału. Z Oddziału Okręgowego przybyli dyrektor Romuald Gumienniak i szef pionu organizacyjnego Roman Majewski. W atmosferze radosnego skupienia nad Słowem Bożym i refleksji nad Narodzeniem Pańskim wszyscy zebrani podzielili się oplatkiem, wymieniając się serdecznymi życzeniami. Daleszą część spotkania wypełniło wspólne kolędowanie. **R.G.**

Łomża

12 stycznia w siedzibie stowarzyszenia odbyło się spotkanie kolędowe członków i przyjaciół miejscowego oddziału stowarzyszenia. Na uroczystość przybył zaprzyjaźniony ze środowiskiem ks. bp Tadeusz Zawistowski, byli również przedstawiciele ruchów i stowarzyszeń katolickich z Łomży. Po wspólnej modlitwie, łamaniu się oplatkiem ksiądz biskup podzielił się refleksjami na temat zagrożeń dla cywilizacji zachodniej ze strony islamu, zwracając uwagę na dezawuowanie dorobku kulturowego Kościoła przez decydentów państw Zachodu, którzy z tego nurtu cywilizacyjnego się wywodzą. Zauważył jednocześnie, że współczesne wojenne fronty, na przykład Afganistan czy Irak, są wynikiem zderzenia cywilizacji łańciskiej z islamską i nie należy patrzeć na nie wyłącznie w kontekście tworzenia i umacniania wpływów gospodarczych.

Niezwykle miłym akcentem spotkania było wręczenie Jego Ekscelencji przez Przewodniczącą Rady Oddziału Okręgowego w Białymstoku Edwarda Wróbla i dyrektora Oddziału Okręgowego Romualda Gumienniaka upominku z okazji 80. urodzin. **RoGu**

Oddział Okręgowy w Gdańsku Gdańsk

Jak co roku członkowie gdańskiego Oddziału Okręgowego spotkali się w Galerii Mariackiej na wspólnym kolędowaniu i łamaniu się oplatkiem. Wśród zaproszonych gości był również abp Tadeusz Gocłowski, który podkreślił przy tej okazji wagę zadań podejmowanych przez stowarzysze-



Gościem spotkania opłatkowego był abp Tadeusz Gościowski

nie, akcentując konieczność kształtowania i formowania chrześcijańskiego społeczeństwa.

Lamaniu się opłatkiem towarzyszył koncert kołęd w wykonaniu zaprzyjaźnionej z gdańskim oddziałem Kapeli Mariackiej prowadzonej przez Joannę Orzeł.

* * *

Podczas tegorocznego spotkania opłatkowego ruchów i stowarzyszeń katolickich, które odbyło się w sali reprezentacyjnej Dworu Artusa w Gdańsku, Maria Wójcik, przewodnicząca Oddziału KS „Civitas Christiana” w Pruszczu Gdańskim została uhonorowana wyróżnieniem Pro Ecclesia et Populo. Otrzymują je katolicy wyróżniający się zarówno w działalności na rzecz Kościoła, parafii, jak i społeczności lokalnej.



Nagrodę Pro Ecclesia et Populo wręczył Marii Wójcik abp. Sławoj Leszek Głódź

Maria Wójcik otrzymała je z rąk Metropolity Gdańskiego abpa Sławoja Leszka Głódzia za „...wielkie i bezinteresowne zaangażowanie w działalność Katolickiego Stowarzyszenia »Civitas Christiana«, jak również za pomoc materialną i psychologiczno-wychowawczą udzielaną rodzinom znajdującym się w sytuacjach kryzysowych, kształtowanie postaw obywatelskich i patriotycznych oraz aktywne uczestnictwo w budowie struktur NSZZ »Solidarność«, szczególnie za pomoc

działaczom »Solidarności« świadczoną w czasie stanu wojennego...”

W.J.

* * *

W styczniu w Galerii Mariackiej odbyło się kolejne spotkanie z cyklu „Wieczorów historycznych” współorganizowane przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku. Spotkania są adresowane do miłośników Gdańska i Pomorza zainteresowanych historią regionu. Tym razem gościem był Jan Daniluk, asystent prasowy Biura Edukacji Publicznej IPN Oddział Gdańsk, który wygłosił referat traktujący o akademickich korporacjach, działających w Trójmieście od 1904 roku. Przybliżył ich istotę, podał ważne daty z historii korporacji, opowiedział o klasyfikacji i insygniach, a także omówił etapy ich rozwoju. Uzupełnieniem wykładu była możliwość rozmowy z obecnymi na spotkaniu członkami dzisiejszych korporacji „Polonia, i „Wisła”. Kolejne spotkanie w ramach „Wieczorów historycznych”, odbędzie się 18 lutego, na którym prof. Grzegorz Berendt przedstawi mało znane fakty powrotu Polski nad Bałtyk w 1920 roku.

Więcej na stronie oddziału: www.pomorski.civitaschristiana.pl

W.J.

Wejherowo

W Oddziale Okręgowym w Wejherowie zorganizowano kolejne spotkanie w ramach cyklu spotkań poświęconych historii miasta jego regionu. Bogusław Breza, wieloletni dyrektor Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej przedstawił temat „Wejherowo i jego mieszkańcy w okresie II wojny światowej”. Wiele uwagi poświęcono również osobistym wspomnieniom niektórych członków, którzy przeżyli osobiście ten okres bolesny i tragiczny dla wejherowian.

* * *

Członkowie i sympatycy Oddziału Terenowego w Wejherowie spotkali się na kolejnym wykładzie i dyskusji z ks. dr. Leszkiem Jażdżewskim, asystentem kościelnym oddziału. Cykl spotkań „W trosce o pełnię wiary” poświęcony jest rachunkowi sumienia według Dekalogu.

(JOL)

Oddział Okręgowy w Katowicach Bielsko-Biała

W siedzibie oddziału w Bielsku-Białej odbyło się spotkanie inauguracyjne Klubu Filozoficznego. Referat otwierający spotkanie, „Poglądy Stefana Świeżawskiego i ich wpływ na polskie chrześcijaństwo, wygłosił dr Marek Rembierz.

Klub Filozoficzny działający przy tutejszym oddziale ma być miejscem spotkań członków i sympatyków stowarzyszenia, a także różnych osób, środowisk zainteresowanych zagadnieniami filozoficznymi, a więc poszukiwaniem mądrości życia.

STANISŁAW CIUPKA

Katowice

Oddział Okręgowy w Katowicach zorganizował konferencję pod hasłem „Kultura chrześcijańska wobec współczesnych zmagania o jej sens, kształt i miejsce”. Była ona poświęcona problemom kultury chrześcijańskiej we współczesnym świecie w ujęciu filozoficzno-teologicznym oraz etycznym. Pierwszy referat „Spotkanie kultury laickiej z chrześcijańską – autonomiczność państwa i Kościoła” przedstawił red. Tadeusz Żeleznik. Drugim prelegentem był profesor ATH, dr hab. Wiesław Wójcik z referatem „Polski spór o kształt życia publicznego”.

BARTOSZ FILIPIUK

* * *

Jak co roku, w siedzibie katowickiego oddziału „Civitas Christiana” odbyło się spotkanie członków i sympatyków stowarzyszenia. Pierwszą częścią spotkania wypełniło wspólne czytanie i słuchanie wierszy i pieśni o charakterze patriotycznym. W drugiej natomiast części podjęty został przewodni temat katowickich spotkań „Górny Śląsk wczoraj, dziś, jutro”, w ramach którego Krzysztof Chwolik – redaktor naczelny „Głosu z Katowic”, lokalnego, oddziałowego wydawnictwa, omówił problematykę oświaty na Górnym Śląsku.

* * *

W grudniu ub.r. w katowickim oddziale okręgowym odbył się adwentowy dzień skupienia. Mszę św. odprawił wieloletni misjonarz w Afryce, ksiądz January Liberadzki.

KRZYSZTOF CHWOLIK

Oddział Okręgowy w Kielcach Kielce

Członkowie Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” z okręgu kieleckiego po raz kolejny wzięli udział w pielgrzymce do Sanktuarium Matki Boskiej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennej. W minionym roku przypadało dwudziestolecie Sanktuarium.

Celebracji odprowionej z tej okazji Mszy św. przewodniczył ks. prałat Jerzy Karbownik, kustosz skarżyskiego sanktuarium. W wygłoszonej homilii ksiądz prałat przybliżył historię sanktuarium, wspominając przy tym ogólnopolskie rekolacje Stowarzyszenia „Civitas Christiana”, jakie przed kilkunastoma laty miały miejsce w Skarżysku-Kamiennej.

Po Mszy św. przedstawiciele poszczególnych oddziałów odmówili różaniec. Rozważano tajemnice Światła, a wybrane fragmenty Pisma św. czytał Leszek Steć, wiceprzewodniczący Rady Oddziału w Skarżysku-Kamiennej.

LUKASZ DZIĘCIOŁ

Oddział Okręgowy w Lublinie Zamość

Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” i Ludowe Towarzystwo Naukowo-Kulturalne w Zamościu zorganizowały promocję posesyjnego

wydawnictwa „Zamojszczyzna w służbie Polsce. Ludzie – myśli – czyny”. W spotkaniu wziął udział prof. dr hab. Jan Jachymek.

Książka ta stanowi szczegółową dokumentację konferencji, która odbyła się w Zamościu 16 maja 2009 roku. Zostały w niej zaprezentowane wybitne indywidualności wywodzące się z Zamojszczyzny. Autorzy nie ograniczyli się jednak jedynie do przypomnienia sylwetek ludzi, którzy już odeszli, ale starali się również przybliżyć postaci aktualnie działające dla dobra, kraju, kultury i nauki – wiele z resztą z tych osób zaszczyliło obecnością uczestników konferencji.

„Ambicją autorów było wniesienie i usystematyzowanie nie zawsze i powszechnie znanej sumy wiedzy o ludziach, którzy byli związani z Zamojszczyzną pochodzeniem bądź pracą” mówił prof. Jan Jachymek.

* * *

Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” oraz Koło Przewodników Terenowych PTTK w Zamościu zorganizowały spotkanie z przewodniczącym oddziału zamojskiego Łukaszem Kotem na temat „Leopold Skulski - premier z Zamościa”.

ŁUKASZ KOT

* * *

Łukasz Kot, przewodniczący Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Zamościu, otrzymał Nagrodę Prezydenta Miasta Zamość Marcina Zamojskiego „W podziękowaniu za aktywne uczestnictwo w życiu kulturalnym miasta, wzbogacanie i promowanie jego dorobku oraz podejmowane inicjatywy na rzecz kreowania współczesnego oblicza kultury Zamościa”. Wręczenie nagrody odbyło się 12 grudnia podczas Podsumowania Roku Kulturalnego 2009 w 17. rocznicę wpisu Zamościa na Listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO.

Włodawa

Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” we współpracy z Miejską Biblioteką Publiczną we Włodawie zorganizowało wernisaż prac plastyka, rysownika i grafika Henryka Grocholskiego.

Uroczystego otwarcia dokonał przyjaciel artysty, pomysłodawca, a zarazem kustosz wystawy ks. dr Krzysztof Stola. Na wstępie przybliżył on sylwetkę i twórczość Grocholskiego: „Jest to artysta, który stworzył wiele plakatów, grafik, a jego ulubioną formą wyrazu artystycznego są ekslibrisy, w których zamyka historie ludzi, ich pasji, zainteresowań, związków przyjacielskich”.

W ekslibrisach często przewija się motywy małżeństwa, wiele z nich poświęca rodzinie, a także grupom zawodowym: lekarzom, bibliotekarzom, osobom duchowym. Jak mówi kustosz wernisażu, ekslibrisy artysty charakteryzują się często finezyjnym poczuciem humoru i smaku.

W kolejnej części prezentacji wystawy ks. Stola omówił najistotniejsze zagadnienia związane z tworzeniem ekslibrisów m.in. techniki,



Wystawę exlibrisów we Włodawie zaprezentował kustosz ks. dr Krzysztof Stola

jakimi posługuje się autor. Wystawa prac wrocławskiego artysty spotkała się z ogromnym zainteresowaniem zarówno wśród członków KS „Civitas Christiana”, młodzieży gimnazjalnej i nauczycieli, jak i studentów wydziałów artystycznych oraz lokalnego środowiska artystycznego. Wystawa będzie czynna do 15 stycznia 2010 roku.

AGNIESZKA SKAŁECKA

Lublin

W parafii św. Andrzeja Boboli w Lublinie odbyło się piąte spotkanie z cyklu „Szczęśliwa Rodzina”. Prelekcję „Rodzina święta wzorem świętości rodzin” wygłosiła prof. dr hab. Władysława Bryła, językoznawca, wykładowca KUL i UMCS. Spotkanie zostało zorganizowane przez Stowarzyszenie Oaza, Stowarzyszenie Akademia Społeczna oraz Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”.

W swoim wystąpieniu Pani Profesor przedstawiła najczęściej spotykane wizerunki Świętej Rodziny. Został również zorganizowany kiermasz książek o tematyce rodzinnej. Całkowity dochód z kiermaszu został przeznaczony na budowę ośrodka formacyjnego Stowarzyszenia Oaza.

MARCIN CHLEBICA

* * *

W lubelskiej siedzibie „Civitas Christiana” odbyło się spotkanie z dr. Marcinem Paluchem zatytułowane „Gen. Stanisław Sosabowski i Polska Samodzielna Brygada Spadochronowa”.

Głównym punktem programu była projekcja filmu *Honor Generała* w reżyserii Joanny Paciukiewicz opowiadający historię życia polskiego generała – służby w Polskich Siłach Zbrojnych, współpracy z wojskami alianckimi, operacji Market Garden, czasów powojennych oraz pośmiertnego odznaczenia przez rząd Holandii, gdzie mieszkał po zakończeniu II wojny światowej.

M.K.

* * *

Lubelski oddział Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” zorganizował jubileusz twór-

czości literackiej i plastycznej Zbigniewa Strzałkowskiego połączony z promocją książki *Przestrzeń niepodległa*. Jubilat jest absolwentem i asystentem wydziału historii sztuki KUL. Niemniej jego twórczość obejmuje również poezję, prozę, eseje i plastykę – grafiki, rysunki, ekslibrisy.

Spotkanie miało niezwykle podniosły i przyjacielski charakter. Zgromadziło przede wszystkim przyjaciół autora i osoby śledzące jego działalność artystyczną. Poza bogatą wystawą, na którą składały się grafiki, ekslibrisy, projekty znaczków dla poczty podziemnej, można było usłyszeć wiersze autora recytowane przez bliskich przyjaciół Zbigniewa Strzałkowskiego. Zaprezentowano utwory autora, do których specjalnie na tę okazję została ułożona muzyka.

M.K.

* * *

Lubelski oddział „Civitas Christiana” we współpracy z Polskim Klubem Ekologicznym Okręgu Środkowowschodniego oraz Towarzystwem Inicjatyw Społecznych „Etos” zorganizowały konferencję pod hasłem „Ekospołeczne nauczanie Kościoła katolickiego i stan środowiska w województwie lubelskim”.

Tłem spotkania była 30. rocznica ogłoszenia przez Jana Pawła II św. Franciszka z Asyżu patronem ekologów. Jego charyzma i szczególne umiłowanie przyrody przedstawił ks. kan. Jan Hałasa archidiecezjalny referent ds. ochrony środowiska, a nauczanie Kościoła w kwestii ekologii i ochrony środowiska wygłosił ks. prof. dr hab. Janusz Mariański. Stan środowiska, zarówno poziomego zanieczyszczenia oraz miejsca, które cieszą się bardzo dobrym stanem, omówił dr inż. Arkadiusz Iwaniuk, zastępca wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska. O nowatorskim programie selektywnej zbiórki odpadów, który jako pierwszy wprowadzono w województwie lubelskim, a został on wskazany jako wzór dla innych gmin, mówił mgr inż. Jan Stani, a 35 lat działalności Roztoczańskiego Parku Narodowego podsumował mgr inż. Jan Smoła, wicedyrektor parku.

ZIELONY ROBACZEK

Parczew, Włodawa, Rejowiec

Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” z oddziałami we Włodawie, w Parczewie i Rejowcu zorganizowało spotkania zatytułowane „Miejsce i rola mediów katolickich w Polsce”. Poprowadził je Tomasz Rzymkowski, prezes Klubu Myśli Społeczno-Politycznej „Vade Mecum” KUL i stażysta Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Omówił on podstawy prawne istnienia i funkcjonowania mediów we współczesnej Polsce, problematykę związaną z aktualną sytuacją mediów katolickich, dokonał także szczegółowej charakterystyki wybranych tytułów prasy, radia i telewizji katolickiej.

Podczas prezentacji została omówiona geneza polskich mediów katolickich, analiza porównawcza z innymi państwami europejskimi i aktualny stan oraz perspektywy rozwoju katolickich środków społecznego przekazu.

AGNIESZKA SKAŁECKA

Oddział Okręgowy w Łodzi

W auli łódzkiego Wyższego Seminarium Duchownego odbyło się Międzynarodowe Sympozjum pod hasłem „Dialog jako konieczny model życia w dzisiejszym społeczeństwie pluralistycznym i w Kościele”.

Głównym organizatorem konferencji był łódzki Instytut Teologiczny (filia Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie) oraz miejscowy oddział Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”. W sympozjum uczestniczyli m.in. studenci teologii z Instytutu Teologicznego, członkowie i sympatycy stowarzyszenia oraz klerycy z Wyższego Seminarium Duchownego.

Sympozjum zostało podzielone na dwa bloki tematyczne. Pierwszy dzień poświęcony był zagadnieniu dialogu w jego wymiarze społecznym. Referaty przedstawili: Frederic Poche z Uniwersytetu w Angers „Filozoficzne spojrzenie na praktykowanie dialogu”, Jean-Francois Tallio, zastępca mera w Nantes Saint Herblain, „Dialog w życiu społecznym”, ks. Wiesław Kamiński, duszpasterz głuchoniemych archidiecezji łódzkiej, „Dialog w »świecie ciszy«” oraz Sławomir Józefiak, prezes Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” – „Dialog jako fundament ładu społecznego”. Na zakończenie pierwszego dnia sympozjum swój referat „Człowiek istotą dialogiczną – moralny wymiar praktykowania dialogu” przedstawił rektor łódzkiego Instytutu Teologicznego, ks. dr Stanisław Skobel.

Przewodnim tematem drugiego dnia sympozjum było zagadnienie dialogu w jego ekumenicznym wymiarze. Mufti muzułmanów w Polsce, Nidal Abu Tabak, przybliżył możliwości i szanse dialogu między chrześcijaństwem a islamem. Z kolei o możliwościach dialogu luterańsko-katolickiego mówił ks. Michał Kulka, proboszcz parafii luterańskiej pw. św. Mateusza w Łodzi. Benedyktyn, o. Jan Bereza, jeden z najwybitniejszych polskich znawców tematyki buddyzmu, zaproponował temat o dialogu chrześcijańsko-buddyjskim

z perspektywy monastycznej. Specyfikę dialogu greko- i rzymskokatolickiego przedstawił Calin Saplacan, grekokatolik z Uniwersytetu w Cluj-Napoca w Rumunii. Natomiast prof. Eugeniusz Sakowicz z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie przybliżył, w oparciu o wytyczne Magisterium Kościoła Katolickiego, zasady prawidłowego dialogu chrześcijańskiego z wyznawcami innych religii. Jako ostatni swój referat wygłosił ks. dr Andrzej Perzyński. Poświęcił go aktualnemu zagadnieniu, jakim jest Kościół dialogu w świecie wolności. Sympozjum zakończyło się wspólną ekumeniczną modlitwą o pokój na świecie.

AGNIESZKA GRACZYK

Oddział Okręgowy w Olsztynie

Miejsce środowisko „Civitas Christiana” wraz z Uniwersytetem Trzeciego Wieku zorganizowało spotkanie z Andrzejem Taborskim „Wielcy wychowawcy narodu”. Prelegent w swoim wykładzie uwypuklił przede wszystkim wkład Kościoła, rodziny i szkoły w podnoszenie kondycji moralnej Polaków, wymienił szereg postaci zasłużonych w tej dziedzinie: świętych, kapłanów, pisarzy, poetów, malarzy, kompozytorów, założycieli różnych wspólnot i stowarzyszeń. (TR)

Kętrzyn

7 stycznia oddział kętrzyński „Civitas Christiana” zorganizował spotkanie oplatkowe. Słowo wstępne wygłosił Andrzej Taborski, który w imieniu władz stowarzyszenia złożył wszystkim gorące bożonarodzeniowe życzenia. Następnie ks. prałat dr Zygmunt Klimczuk poświęcił oplatki oraz skierował do zebranych okolicznościowe słowo,



Spotkanie oplatkowe w Kętrzynie

w którym nawiązał do najnowszej encykliki Benedykta XVI *Caritas in veritate* i w jej kontekście mówił o Bożym Narodzeniu jako o wielkim darze Bożej miłości do człowieka. Słowo do uczestników

skierowała również przewodnicząca rady oddziału kętrzyńskiego, Zenobia Alejun. Spotkanie ubarwił występ ucznia klasy V SP, Michała Dolewskiego, który zaintonował kilka kołęd na flecie. (t)

* * *

21 stycznia w oddziale kętrzyńskim odbyło się spotkanie z Tomaszem Nakielskim i Andrzejem Taborskim, autorami książki *Piórkami i skalpelem. Aforyzmy w ilustracjach*. Gości powitała przewodnicząca Zenobia Alejun. Tomasz Nakielski w krótkim wystąpieniu omówił aforyzmy jako gatunek literacki. Następnie piątka gimnazjalistów (Agata Cieślak, Aneta Kalinowska, Konrad Poleć, Konrad Połubiński, Tomasz Popielarz) przedstawiła, opracowany pod kierunkiem Urszuli Konieczka montaż aforyzmów Tomasza Nakielskiego. W dalszej części spotkania Andrzej Taborski przedstawił prezentację multimedialną części swoich aforyzmów rysunkowych.

Olsztyn

W olsztyńskiej siedzibie „Civitas Christiana” czynna jest wystawa prac dr. Antoniego Sudoły „Madonny Wschodu i Zachodu”. Prace te powstały w okresie, gdy Sudoła pracował w polskich szkołach na Ukrainie i w Kazachstanie. (t)

* * *

19 grudnia 2009 roku w Olsztynie odbyło się kolejne posiedzenie Rady Oddziału Okręgowego „Civitas Christiana”. Posiedzenie poprzedziła sesja Ośrodka Formacji Katolicko-Społecznej, podczas której ks. dr Michał Tunkiewicz, adiunkt na Wydziale Teologii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, wygłosił referat „Czy katolikom świeckim grozi »wypalenie«?”. Prelegent przedstawił miejsce i rolę laikatu w Kościele i świecie. Omówił bieżącą sytuację

w kontekście zmian soborowych, podkreślając fakt malejącej w wielu krajach Europy liczby kapłanów, co rodzi konieczność większego angażowania się katolików świeckich w życie Kościoła. Podzielił się



Sesja Ośrodka Formacji Katolicko-Społecznej w Olsztynie. Referat wygłasza ks. dr Michał Tunkiewicz

także refleksjami na temat laikatu w Polsce, w tym ruchów i stowarzyszeń katolickich.

* * *

14 stycznia w olsztyńskim oddziale „Civitas Christiana” odbyło się spotkanie opłatkowe członków i przyjaciół stowarzyszenia. Rozpoczął je przewodniczący oddziału, Lech Sienkiewicz. Następnie ks. prałat Jan Roslan skierował do uczestników okolicznościowe słowo, w którym oprócz życzeń przedstawił najważniejsze w nadchodzącym roku wydarzenia w Archidiecezji Warmińskiej. Po podzieleniu się opłatkiem śpiewano kolędy, a Rita Kostka zaprezentowała opowieść warmińską. Swoje refleksje przedstawili także Anna Andrusikiewicz, Barbara Marszałek, Maria Damińska i Zygfryd Śmieszek. (t)

Ostróda

17 stycznia, z inicjatywy ks. prałata Romana Wiśniowieckiego, dziekana dekanatu Ostróda Zachód oraz Rady Oddziału Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Ostródzie, został zorganizowany koncert kolędowy zespołów dziecięcych z Kaliningradu: „Pszczółka” i „Wieczorki” z Dziecięcej Szkoły Muzycznej pod kierunkiem Tatiany Kliemiszewej oraz „Brewis” z Pałacu Twórczości Dzieci i Młodzieży „Jantar” pod kierunkiem Wiktorii Sierebrańskiej. Koncerty odbyły się w kościele pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny i pw. św. Marcina z Tours.

* * *

20 stycznia zostało zorganizowane spotkanie z Anną Wróbel. Członkini stowarzyszenia na

przygotowanym wykładzie i prezentacji multimedialnej opowiedziała o swoich podróżach po Ekwadorze i Kolumbii.

Warto wspomnieć, że prezentacja multimedialna została przygotowana przy współpracy z Wojciechem Gudaczewskim, rzecznikiem prasowym Starosty Ostródzkiego. Przy organizacji spotkania pomógł również Mieczysław Jędrał, przewodniczący Maksymiliańskiego Ruchu Absyntencko-Trzeźwościowego w Ostródzie.

ZBIGNIEW POŁONIEWICZ

* * *

Na zaproszenie Klubu Garnizonowego w Ostródzie z promocją książki *Piórkem i skalpelem. Aforyzmy z ilustracjami* wystąpili Tomasz Nakielski i Andrzej Taborski.

Oddział Okręgowy w Poznaniu Gniezno

14 stycznia w siedzibie gnieźnieńskiego oddziału KS „Civitas Christiana” odbyło się spotkanie opłatkowe „Wspólnoty Społeczności Chrześcijańskiej”, do której przynależą: Gnieźnieńskie Wieczniki Rodzin, Zjednoczenie Apostolstwa Katolickiego, Akcja Katolicka, Ruch Szensztacki, Odnova w Duchu Świętym, III Franciszkański Zakon Świeckich, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Prawo i Sprawiedliwość oraz KS „Civitas Christiana”.

Opiękę duszpasterską nad spotkaniem sprawował asystent kościelny wspólnoty, ks. kan. Jan Kasproicz, oraz sprawująca posługę słowa s.

Gaudencja SAC, która przywołała myśli św. Wincentego Pallottiego.

EDWARD FRĄCKOWIAK

* * *

4-6 stycznia Gnieźnieńskie Wieczniki Rodzin, apostołskie ramię „Civitas Christiana”, już szósty raz zorganizowały Triduum Epifanijne. W obchodach Triduum uczestniczyli: bp Wojciech Polak – sufragan gnieźnieński, Kapituła Prymasowska oraz licznie zgromadzone duchowieństwo wraz z klerykami Prymasowskiego Seminarium Duchownego i siostrami pallotyńkami z Domu Gnieźnieńskiego.

Tematem przewodnim tych dni były, jak zawsze, słowa św. Pawła: „A teraz pozostaje: Wiara, Nadzieja i Miłość, a z tych największa jest Miłość”.

Tegoroczne kazania epifanijne wygłosił ks. płk Mariusz Stolarczyk, kapelan WP garnizonu lotniczego w Powidzu k. Gniezna.

Na zakończenie Triduum Epifanijnego przedstawiciele duchowieństwa i organizatorzy spotkali się z ks. bp. Wojciechem Polakiem. W kontekście przesłania epifanijnego omawiano aktualną sytuację Kościoła zarówno w kręgach polonijnych na świecie, jak i aktualnych polskich warunkach.

Oddział Okręgowy w Szczecinie Gryfice

17 stycznia odbyło się spotkanie opłatkowe zorganizowane przez KS „Civitas Christiana” w Gryficach. Spotkanie zostało poprzedzone Mszą św. w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa, którą odprawił ks. proboszcz Ireneusz Pastryk. Podczas Mszy św. dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 4 przedstawiły jasełka, a pani Alicja Czerwińska złożyła wszystkim zgromadzonym życzenia noworoczne w imieniu „Civitas Christiana”.

W spotkaniu opłatkowym uczestniczyli m.in. ks. proboszcz Ireneusz Pastryk, burmistrz gminy Andrzej Szczygieł, dyrektor stowarzyszenia Jacek Stróżyński, wieloletni przewodniczący Krzysztof Puc, dr Antoni Cieśliński, przedstawiciele „Solidarności” oraz młodzież z „Pustyni Miast” i członkowie „Civitas Christiana”.

Głos zabrali wiceprzewodnicząca Teresa Bzdurska oraz burmistrz Andrzej Szczygieł. Również dyrektor Jacek Stróżyński dołączył się do życzeń, przypominając o peregrynacji Różańca Jasnogórskiego po oddziałach „Civitas Christiana” w całej Polsce oraz mającej nastąpić w tym roku beatyfikacji Ojca Świętego Jana Pawła II. Na koniec głos zabrał ks. proboszcz Ireneusz Pastryk, który życzył wszystkim prawdziwie głębokiej wiary.

TERESA BZDURSKA

Nasz Głos

MIESIĘCZNIK
KATOLICKIEGO
STOWARZYSZENIA
„CIVITAS CHRISTIANA”

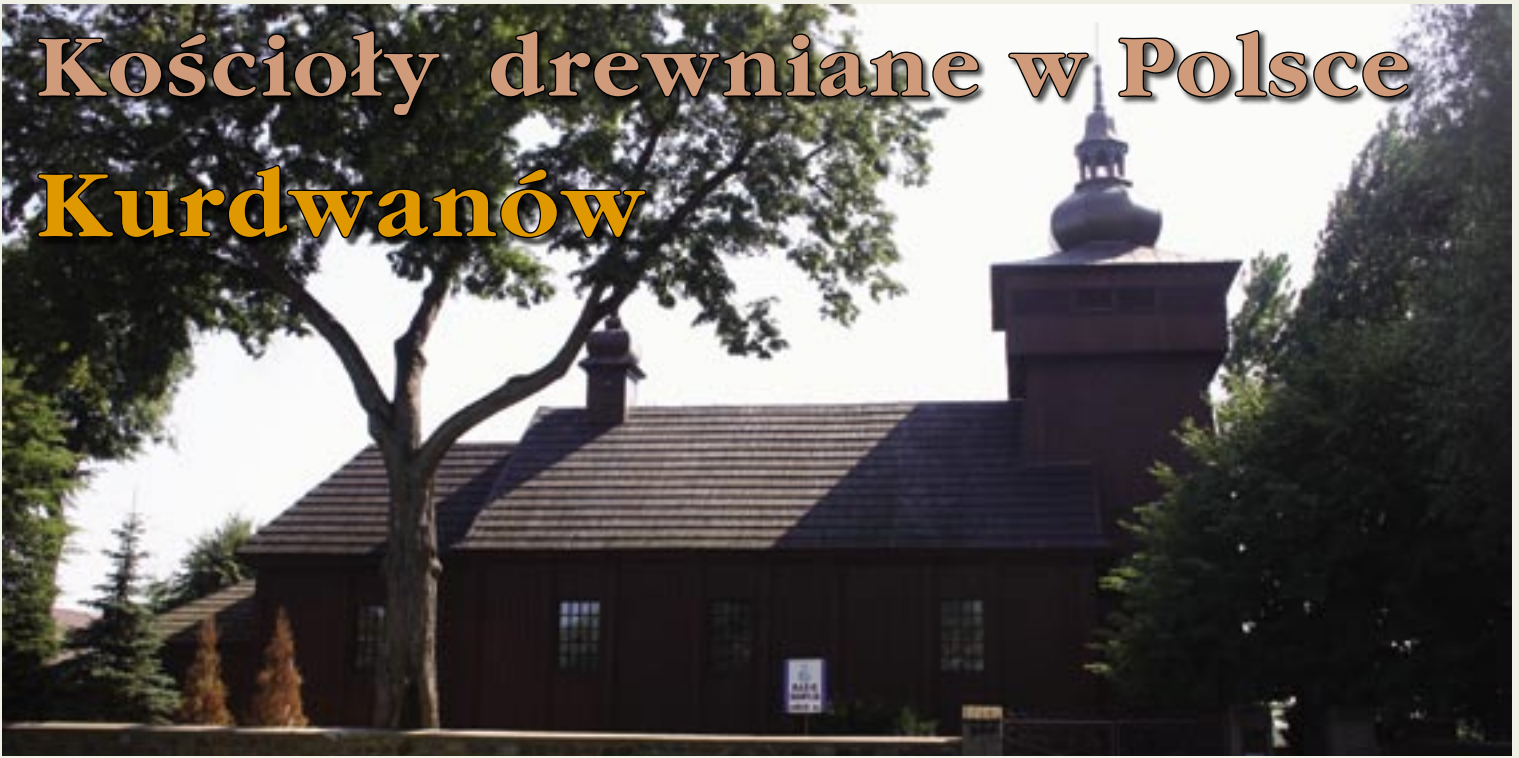
Redakcja: Zdzisław Koryś (redaktor naczelny) tel. kom. 605558944 naszglas@civitaschristiana.pl Patrycja Guevara-Woźniak (sekretarz redakcji) Patryk Różycki (p.o. sekretarza redakcji) tel. kom. 783981854 naszglas@civitaschristiana.pl, Łukasz Kobeszko tel. kom. 783981854 kobeszko_ng@civitaschristiana.pl, oraz Zespół, Radosław Kieryłowicz (lamanie),

Adres redakcji: ul. Nabelaka 16, 00-743 Warszawa, tel. 022 851 49 82 w. 022, 024, 025, fax 023. Wydawca: Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”.
naszglas.civitaschristiana.pl Druk: Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna ADAM, ul. Rolna 191/193, 02-729 Warszawa.

Numery miesięcznika można otrzymać w redakcji i w Oddziałach Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”. Teksty prosimy dostarczać w zapisie elektronicznym w formacie Word, pocztą elektroniczną, na dyskietkach lub płytach CD, materiały fotograficzne w formacie jpg.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.

Kościół drewniany w Polsce Kurdwanów



Kościół Przemienienia Pańskiego ufundował w 1676 r. jako kaplicę Świętego Michała Archanioła w Miedniewicach Mikołaj Wiktoryn Grudziński. W 1737 r. przeniesiono go na obecne miejsce (ok. 7 km). Właściciele Guzowa – rodzina Sobańskich odremontowała go w 1909 r., a w latach 1934-38 rozbudowano go przedłużając nawę i dobudowując wieżę.

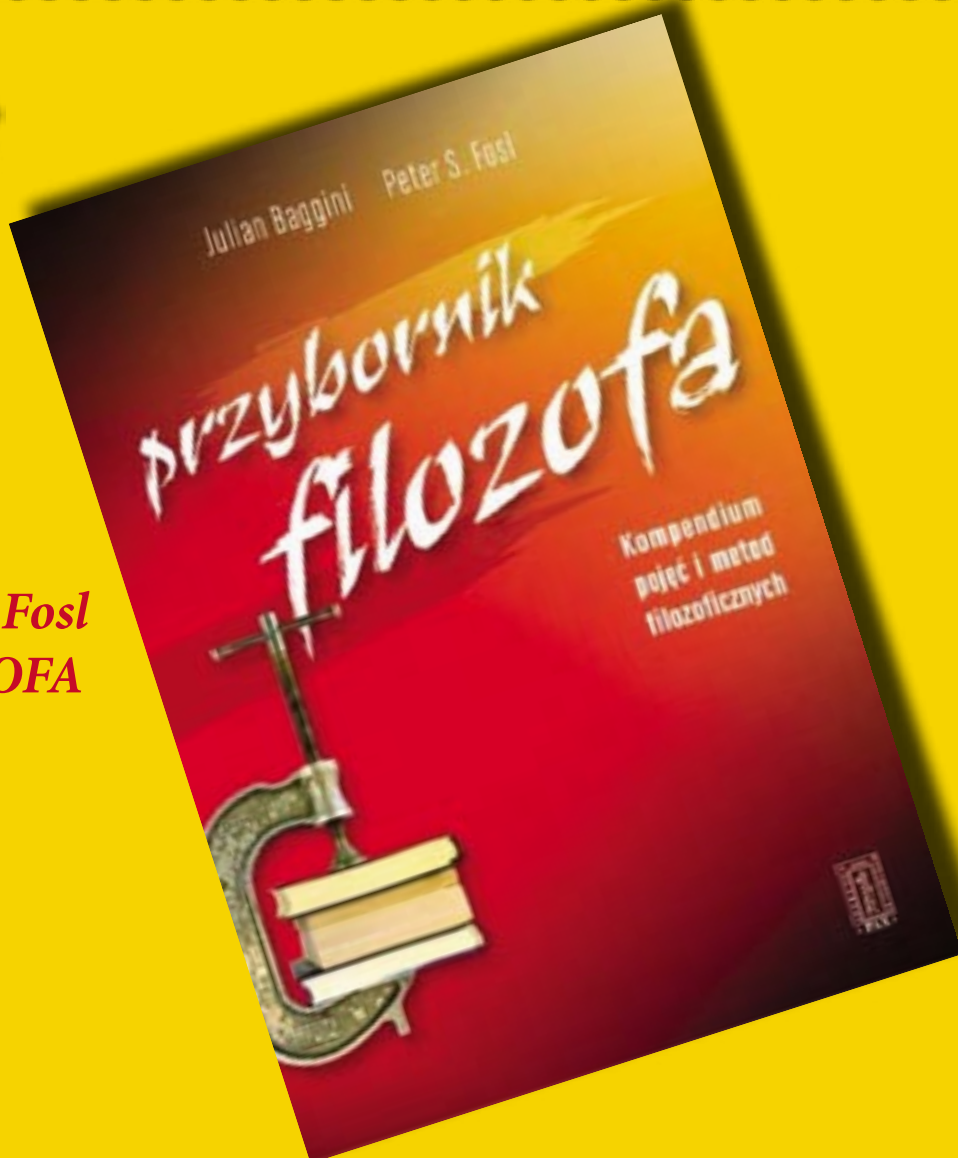
Świątynię o konstrukcji zrębowej wzniesiono z drzewa modrzewiowego. Po przebudowie w latach 30. nadano jej cechy stylu podhalańskiego. W środku znajdują się zabytki barokowe z XVII w. – belka tęczowa z krucyfiksem, oraz XVIII w. – ołtarz główny i ambona.

Tekst i zdjęcia Radosław Kieryłowicz



prezentuje:

Julian Baggini, Peter S. Fosl
PRZYBORNİK FILOZOFA
Kompendium pojęć
i metod filozoficznych



Jak uniknąć błędów w rozumowaniu? Czy wyjątek naprawdę potwierdza regułę? Dlaczego niektóre rzeczy nie mieszczą nam się w głowie? Czym się różni argumentacja od wyjaśniania, a dedukcja od redukcji? Co można obciąć brzytwą Ockhama? Na te i inne pytania pomoże nam znaleźć odpowiedź Przybornik filozofa – znakomite kompendium dla wszystkich zainteresowanych szeroko rozumianą problematyką filozoficzną. Autorzy w przystępnym, potoczystym, niekiedy wręcz żartobliwym stylu przybliżają fundamentalne pojęcia, metody i koncepcje funkcjonujące w filozofii. W Przyborniku znajdziemy wszelkiego rodzaju „narzędzia filozoficzne” – idee, definicje, przykłady, argumentacje itd. – bez których niepodobna poważnie i kompetentnie zastanawiać się nad sobą, światem i samym myśleniem. Ważną zaletą książki jest hasłowy układ zagadnień, dzięki któremu może ona służyć także jako leksykon. Uzupełnieniem tej publikacji jest Przybornik etyka. Kompendium pojęć i metod etycznych (Instytut Wydawniczy Pax, 2010).